Part Code
ST1316
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

CHINY BEZ MASKI

EGON ERWIN KISCH

CHINY BEZ MASKI

V. 5;

WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA"

WARSZAWA 1948

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD
TADEUSZA ZABŁUDOWSKIEGO
OBWOLUTĘ PROJEKTOWAŁ
MIECZYSŁAW BERMAN

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
13740
ASG im. gen. b
BIBLIOTEKA AKADEMII
SZTABU GENERALNEGO
15482

DRUKOWANO W NAKŁADZIE 10000 EGZ.
FORMAT A 5 NA PAPIERZE OFFSETOWYM
KL. V 80 G/61 x 86 CM W ZAKŁADACH
GRAFICZNYCH WINW W ŁODZI NR 381/48
D-027644

OD WYDAWNICTWA

W ramach cyklu wydawnictw antyimperialistycznych oddajemy do rąk czytelnika książkę zmarłego niedawno wybitnego pisarza komunistycznego, bezkompromisowego bojownika przeciwko faszyzmowi i reakcji, który z ogromną siłą ekspresji i talentu opisuje walkę międzynarodowego imperializmu z ludem chińskim.

Zdarzenia opisywane przez autora, mimo dezaktualizacji niektórych zagadnień, i dziś jeszcze zachowały w całej pełni swą demaskatorską wymowę pozwalając zrozumieć rewolucyjne przeobrażenia, jakie przechodzi lud chiński w zwycięskiej walce o swe wyzwolenie.

Na końcu książki znajdzie czytelnik posłowie Stanisława Brodzkiego, stanowiące uzupełnienie książki, niezbędne dla poznania obecnej sytuacji w Chinach.

NA RUINACH WUSUNGU

Morze Żółte jest tu już Jangtsekiangiem, ale nie dostrzega się tego. Wspaniała jest ta rzeka, jak Łaba pod Cuxhaven; na razie fale nie przestały jeszcze kołysać ośrodków mózgowych pasażerów, na razie brzegi nie są jeszcze brzegami, lecz dalekim wybrzeżem.

Dopiero gdy parowce skręcają w boczną odnogę, wybiegają pasażerowie na pokład i zwracają ramiona, dłonie i palce, oczy, obiektywy i lunety w kierunku prawego brzegu.

Tam, gdzie Wangpoo wlewa swe wody do Jangtsekiangu, wznosi się brama wejściowa prowadząca do wielkiego rynku towarowego doliny Jangtsekiangu.

Od końca stycznia słowo Wusung, port Wusung, mknęło przez eter i kable jak groźne brzęczenie granatu; Liga Narodów, kawiarniane stoliki i artykuły wstępne zachłystywały się tym słowem.

Teraz pasażerowie wychylają się przez burtę, kierują wzrok lub soczewkę na Wusung. Oto on, *in natura*, bez wątpienia on. Japońskie towarzystwo na pokładzie spacerowym przygląda się trupom domów, w których padli trupem ludzie, śmiejąc się pokazuje sobie najbardziej groteskowe fragmenty ruin i zgliszcz. Przed kilku jeszcze dniami działa nadbrzeżne bynajmniej nie prezentowały się tak otwarcie; nosiły maskę z cementu i betonu.

Nie na długo zatrzymuje się statek pasażerski w Wusungu; bez porównania krócej, niż musieli zatrzymywać się tu oblegający i oblężeni. Parowce robią ledwo osiem węzłów, na rzece bowiem roi się od statków i łodzi; pośrodku rzeki powinienby stać policjant z latarnią i regulować ruch, ów ruch kontrastów. Spotykają się tam ze sobą największe pancerniki świata i najmniejsze łodzie rybackie.

10 000 ton wynosi pojemność amerykańskiego okrętu admiralskiego „Houston", każdy jego pocisk jest większy od każdego z sampanów, których setki uwijają się dokoła niego; tabaczkowe łaty, naciągnięte na bambusowe żerdzie, są ich żaglami. Dżonki od tysiąca lat zachowują kształt ciężarnego smoka; ich oczy, wymalowane na dziobach, wpatrują się przerażone w Signore „Trento"; grozi on dżonce rozpruciem brzucha swym dziobem. „Cornwall", Brytyjczyk, napina gigantyczną katapultę, której pociskiem jest samolot. Żółte promy płyną od brzegu do brzegu, pięciopiętrowe, cytrynowo-żółte okręty, raczej domy niż okręty, zdążają w górę Jangtsekiangu. Pasażerowie ich zostali pozbawieni dachu nad głową przez działa japońskich pancerników, o których rufy teraz niemal ocierają się.

Z budynków na wybrzeżu ocalały tylko te, nad którymi powiewały cudzoziemskie flagi. Ocalały srebrzyste cysterny Shellu, Standard-Oilu, Texas-Oilu; ocalał czerwony gmach Nordish Telegraph Co., na którego szczycie Danebrog zatknął swój opiekuńczy krzyż; ocalała elektrownia, z wieży jej zwiesza się czerwono-biała chorągiew z niebieskim trójkątem — godło czechosłowackich zakładów Škody. Poza tym nie ocalało nic. Nic.

Wolno płyną okręty wzdłuż tych spustoszonych terenów. Pozostają daleko w tyle za wytwornymi autami, pędzącymi aleją wybrzeża do portu. W wytwornych autach siedzą delegaci Ligi Narodów. Panowie obejrzeli przed południem nowopowstałą Pompeję i pragną w porę przyjechać na obiad.

*

Jak wiadomo, Japończycy żądali w swym ultimatum, by burmistrz Wielkiego Szanghaju zakazał bojkotu towarów japońskich, rozwiązał Związek Obrony Narodowej, aresztował przywódców ruchu bojkotowego i wypłacił odszkodowanie za zabójstwo mnicha japońskiego. Ultimatum zostało przyjęte 28 stycznia 1932 roku. Mimo to oddziały marynarki japońskiej zaczęły o wpół do jedenastej w nocy obsadzać szereg ulic, które wybiegając z koncesji międzynarodowej, prowadzą przez terytorium chińskie i są strzeżone przez policję obcych mocarstw.

Japończycy spodziewali się, że tego samego dnia zajmą nie tylko Tszapei, pobliską, gęsto zaludnioną dzielnicę fabryczną, lecz również

cały brzeg Wangpoo, aż do jej ujścia. Już następnego rana tokijskie agencje telegraficzne donosiły o zdobyciu Wusungu. Jednak przedwcześnie. Oddziały, które wtargnęły do Tszapei (rzekomo chciały tam tylko zburzyć Świątynię Nieba, siedzibę Komitetu Bojkotowego), nie posunęły się daleko. Niebawem 19 armia chińska powstrzymała natarcie Japończyków. Bitwa rozwinęła się na froncie dwudziestopięciokilometrowej długości i trwała sześć tygodni. Walki te pochłonęły dziesiątki tysięcy domów. Jeńców nie brano. Nie dawano pardonu.

Wusung został zdobyty dopiero 4 marca.

*

Z domów settlementu międzynarodowego można było przypatrywać się wojnie jak z loży proscenium. Po kolacji składano serwety i podchodzono do okien. Barwnie i jaskrawo rozbłyskiwały ognie sztuczne, syczały pociski pancerników, spadały bomby z samolotów i rozrywały się szrapnele kartaczownic. Ogień i piroksylina tryskały z nieba na ziemię i w tej samej sekundzie ogień i piroksylina tryskały z ziemi w niebo. Sprawa jednej sekundy, jednej sekundy, w której życie ludzkie i całe dzielnice ulegały zniszczeniu.

Ponieważ od północy do piątej rano nie wolno było przebywać na ulicy, już o wpół do dwunastej musiano śpieszyć na karty lub na dancing, gdzie pozostawano właśnie do piątej.

W dzień w settlemencie prawie nie zdawano sobie sprawy, że tuż obok dzieją się rzeczy straszliwe. Okręty tramwaje, ryksze jeździły jak zwykle, kina były czynne, sklepy otwarte, władze celne urzędowały, gazety ukazywały się, podczas gdy na firmamencie krzyżowały się granaty, całe ulice stawały w ogniu, gdy dzieci ginęły pod gruzami walących się domów, gdy uciekły rodziny i bezustannie padali bez życia trafieni kulami ludzie.

Komisja Ligi Narodów nie śpieszyła się obejrzeć pola bitwy. Japończycy zdążyli więc tymczasem uprzątnąć nieco teren wojny. Jak Holofernes Nestroya: „Zabierzcie precz te trupy, nie mogę patrzeć na to ścierwo". To wywarło by doprawdy przykre wrażenie: trupy straconych Chińczyków i Chinek, trupy z zakneblowanymi ustami, z odrąbanymi członkami. Taki widok mógłby popsuć apetyt panom z Ligi Narodów, tak przeciążonym przyjęciami, herbatkami,

obiadami i bankietami. Bezpośrednio po obejrzeniu Tszapei i Wusungu spożyli obiad w Cathay Hotel. Uroczysty ten obiad został wydany przez sprawców wojny, chociaż Szanghaj leży właściwie w Chinach, a nie w Japonii. Podano szesnaście różnych marek win i szampanów, cygara Upmana (cena detaliczna 1 dolar 60 sztuka, importowane z Hawany w luksusowym opakowaniu) i obfite menu:

Dinner given by The Japanese Minister to China in Honour of The Commission of Inquiry of The League of Nations

Menu: Oeufs de Beluga gris perlés
Consommé double en Tasse
Paillettes d'or
Turbotin Ambassade
Coeur de filet armenonville
Pommes jetée Promenade
Petits pois fins
Asperges froides Sauce Vincent
Dindonneau au Parfum des Gourmets
Salade Gauloise
Mousse Glacés Cathay
Corbeilles de Mignardises
Café filtre

*

W ciągu sześciu tygodni, kiedy konie, dżokeje, totalizator i bookmacherzy pola wyścigowego świętowali, murawa była świadkiem walk, wielkich, emocjonujących, ale walk bez startów, i bez finiszów, i bez nagród, jak cała ta wojna. Pole wyścigowe nie jest zbyt zdewastowane. Japońskim generałom nie zależało na jego zniszczeniu.

Zależało im na przykład na zniszczeniu Labour University i w ogóle wszystkich chińskich szkół, bibliotek i drukarń. Z tych nie powinien był pozostać kamień na kamieniu. Z uniwersytetu robotniczego w Kiangwan pozostało rzeczywiście równie mało jak z Commercial Press i jej starych druków-unikatów. Pomnik założyciela uniwersytetu strzelcy japońscy z nudów wzięli sobie za cel, aż kamienna głowa stoczyła się na piasek. Zanim przybyła komisja Ligi Narodów, tors zdjęto z cokołu i starto na miazgę, aby komisja nie mogła już ujrzeć tego pomnika zbędnego wandalizmu. Tylko gdy się pieszo

obejdzie pole bitwy, odnajdzie się w rumowiskach szczątki kamiennego uczonego wśród podartych legitymacji uniwersyteckich i zeszytów szkolnych.

Również zdemolowany jest niemiecki uniwersytet w Tungszi. Stoi on na uboczu, dokoła, na przestrzeni kilometra, ciągną się szczere pola, zabłąkane kule nie mogły go dosięgnąć. Japonia celowała weń, Japonia nie liczyła się z czarno-czerwono-złotą flagą, ponieważ słuchaczami tej uczelni są Chińczycy. Z samolotu została zrzucona bomba na halę maszyn, działa okrętowe zasypały pociskami Instytut Fizjologiczny, klinikę i pawilon profesorów. Na środku boiska sportowego ustawiono teraz jak kręgle, dla zabawy, a jednak z niemiecką skrupulatnością, wszystkie łuski od granatów.

Im bliżej portu, tym straszliwsze jest dzieło zniszczenia. Nie deski pozostały z drewnianych domów, lecz odłamki, nie kamienie z kamiennych domów, lecz pył. Pola wzdłuż kanału Wusung, gdzie Japończycy usiłowali przerzucić mosty, zamieniły się w teren kraterów; nie pozostał ani jeden metr kwadratowy nierozszarpany, nawet murowane grobowce, stojące przed domami i w ogrodach na skraju pól ryżowych, rozsypały się pod ogniem dział.

Wusung był celem dział okrętowych. Z rzeki, z bezpośredniej bliskości, bombardowały kontrtorpedowce i lekkie krążowniki Japonii, wieże obrotowe i załogę fortu. Chiny nie chciały narazić na straty żeglugi swego portu, nie chciały przez uszkodzenie jakiegoś europejskiego parowca narazić się Europie. Toteż Wusung nie strzelał do okrętów, które go bombardowały, podobnie jak Chińczycy z Tszapei nie dokonali wypadu na japońską bazę wojenną Hongkiu, ponieważ leży ona na granicy settlementu międzynarodowego. Wusung musiał ulec, nie stawiał należytego oporu.

Flaga Japonii z czerwonym słońcem i czerwonymi promieniami słonecznymi powiewa nad trupem Wusungu. Chińczycy przed wycofaniem się podłożyli ładunki dynamitowe w sklepienia pancerne, lufy armatnie i lawety. Naciśnięcie guzika, i wstrząs ziemi pogrzebał fortecę. Wykrzywione, zniekształcone, okaleczone, sterczą stalowe lufy dział.

Słońce na płachcie sztandaru jest jak okrągła rana, z której na wszystkie strony cieknie krew.

POGRZEB ZBRODNIARZA

Umarł Czang Tsi-Kuej. Czang Tsi-Kuej był prezesem „Tsa-Bao-Tong", „Towarzystwa Udzielającego Pomocy i Opieki". Wobec jego raka żołądka towarzystwo to było bezsilne, nie mogło mu udzielić pomocy. Zdając sobie sprawę, że jest skazany na śmierć, zjawił się on przed kilku tygodniami w szczególnie świętym klasztorze buddyjskim w Putu i zaofiarował przeorowi sumę 24000 taelów jako dar, ofiarę za odpuszczenie grzechów. Święty Laodah odwrócił się od niego plecami: „Tsien bu tszing tsang — to nie są czyste pieniądze". Czang Tsi-Kuej wrócił, jak przyszedł z rakiem w żołądku, śmiertelnym strachem w sercu i pieniędzmi w kieszeni.

Nikt inny poza świętym Laodahem, opatem z Putu, nie ośmieliłby się rzucić Czang Tsi-Kuejowi w twarz takiej obelgi. Ale z drugiej strony również Czang Tsi-Kuej nie ofiarowałby nikomu poza opatem z Putu pieniędzy, nie należał bowiem do kategorii dających, lecz biorących — szanghajska dzielnica Hongkiu znała Czang Tsi-Kueja dobrze, bała się go i nie zapomni go nigdy.

Pogrzeb prezesa tajnych towarzystw jest owym rzadkim momentem, kiedy to uchylony zostaje rąbek zasłony. Ludzie mroku defilują wtedy w blasku słońca. Nie jeden cudzoziemiec, który uważa opowiadanie o podziemnych klanach przestępców chińskich za niewiarygodny mit, pouczony zostaje w tę godzinę, że mówią one jednak prawdę.

Co za pogrzeb! Cała dzielnica miasta wyległa na ulicę; ci, którzy nie brali czynnego udziału w pogrzebie, tworzyli szpaler. Przodem, na rosłych rumakach, jechało trzech długobrodych sikhów w turbanach, z halabardami, ba, towarzyszył im nawet europejski

sierżant policji. Trzem Hindusom płacili organizatorzy za udział w pogrzebie po dziesięć dolarów srebrnych, białemu piętnaście.

Europejskiego cywila z Hongkiu, który by kroczył jako żałobnik za trumną, nie udało się znaleźć. Pomiędzy osobnikami, których usiłowano pozyskać do tej roli za honorarium stu dolarów, był również dobrze mi znany Amerykanin M. Mister M. zawsze jest gotów za trzy kieliszki brandy lub uncję opium popełnić każdą żądaną niegodziwość. Wciąż ma do czynienia z sądami, policją i więzieniem, żaden szanujący się człowiek nie obcuje z nim. Mimo to jednak odrzucił on z pogardą propozycję uświetnienia uroczystości żałobnej swą obecnością.

Zresztą i bez pana M. pogrzeb odbył się z dostateczną pompą. Za halabardzistami hinduskimi i europejskim sierżantem jechali jeźdźcy chińscy w strojach mongolskich, za nimi posuwał się tradycyjny pochód maszkar: olbrzymie, trzy-czterometrowej wysokości kukły z kolorowego papier-maché, wyobrażające bogów, smoki, psy; pomiędzy nimi lektyki z pięknymi kobietami, służba, konie, krótko mówiąc — wszystkie te istoty, które mogą odprowadzać nieboszczyka w zaświaty. Czternaście orkiestr maszerowało za maszkarami.

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Trumnę niosło 32 kulisów, jak tego wymaga pogrzeb pierwszej klasy. (Druga klasa: 16 kulisów, trzecia klasa: 8 kulisów, czwarta klasa: 4 kulisów, żadna klasa: rzuca się trupa w szczerym polu, gdzie obgryzają go psy i koty albo pod drzwiami Europejczyka, który musi zająć się jego pogrzebem).

Za trumną kroczy zwykle najstarszy syn zmarłego. W tym wypadku najstarszy syn nie kroczył, lecz spoczywał w lektyce.

Członkowie towarzystwa mieli na sobie na znak żałoby białe kitle z najlichszego płótna. Niekończący się sznur ich pojazdów zamykał kondukt. Zmierzał on z domu żałoby przy Yaloo road do domu klanu Yangchow, Sinza road. Tam modlili się kapłani (bynajmniej nie tak surowi na punkcie „czystych pieniędzy", jak może sobie na to pozwolić bogaty arcykapłan z Putu), bili w bębny, grali na fletach i śpiewali modlitwy. Dym kadzideł ofiarnych unosił się w niebo.

Zwłoki pozostają w szanghajskim domu ziomków z Yangchow aż do dnia, który geomanci po długich rozmyślaniach i obserwowaniu gwiazd uznają za najodpowiedniejszy do pochowania. Tego właśnie najpomyślniejszego dnia zmarły Czang Tsi-Kuej, który w Yangchow przyszedł ongiś na świat, zostanie z powrotem przewieziony do Yangchow.

Z takim samym przepychem, jak książę podziemnego świata, mógłby odbywać swą ostatnią podróż również każdy inny bogaty mieszkaniec Szanghaju. Ale różnica pomiędzy księciem świata podziemnego a każdym innym bogatym mieszkańcem Szanghaju tkwi tam, gdzie — wszak sobie przypominacie? —pomiędzy 14 orkiestrami i 32 kulisami, niosącymi trumnę, postawiliśmy dwa rzędy myślników. Te dwa wiersze oznaczają dwa tysiące gangsterów, dwa tysiące członków „Tsa-Bao-Tong", Towarzystwa Udzielającego Pomocy i Opieki, dwa tysiące wiernych do grobu członków tajnego związku. Tę swoją solidarną wierność demonstrują dzisiaj, tylko dzisiaj caram publico, tworząc pierścień, wydłużony, posuwający się naprzód biały pierścień. Wszyscy oni — całe dwa tysiące — trzymali wspólnie długą, białą wstęgę, opasującą cały orszak.

Krokiem statecznych obywateli posuwały się przed tłumem profanów czcigodne łotry z Hongkiu, ludzie czcigodnego łotra Czang Tsi-Kueja, złączeni ze sobą żałobą i białą wstęgą.

Ojciec pokazuje ich swemu dziecku: Widzisz ich.... Ci, którzy idą tam, otoczeni białą wstęgą, to oni! Wysysają z nas krew, ściągają daniny, są towarzystwem udzielającym pomocy tym potężnym, którzy do nich należą lub biorą ich w opiekę. Oto idą, zapamiętaj ich sobie dobrze i strzeż się ich, są bowiem nożem w karku.

Nic nie zmieni się przez to, że Czang Tsi-Kuej umarł. Przyjdzie nowy herszt. Tym razem nie może nim zostać jego najstarszy syn, bowiem ma zaledwie sześć miesięcy. Dlatego też nie może kroczyć za trumną, lecz trzeba go nieść. Nowy herszt został już wybrany, krewny nieboszczyka, nazywa się Tszao Mo-Lun. Będzie on zarządzał majątkiem Czang Tsi-Kueja, jego zamkami i nałożnicami, a dla nas pod rządami Tszao Mo-Luna wszystko pozostanie po staremu, tak jak było pod rządami Czang Tsi-Kueja. W święto jesieni, piętnastego dnia osiemnastego miesiąca, w Ching Ming, święto Wiosny, piątego dnia

piątego miesiąca, i w święto Nowego Roku zjawi się u ciebie banda i przedstawi ci swój rachunek. Jeśli chodzi o wysokość daniny, jaką ci wyznaczą, nie ma odwołania. Goniec powie ci, ile masz zapłacić, i nie da ci żadnego pokwitowania, lecz ty zapłacisz mu żądaną sumę, a on ją przekaże zwierzchnikom, inaczej bowiem byłoby z wami obydwoma źle. Pamiętaj o nożu w karku.

Płać regularnie swój okup; nieregularne, nadzwyczajne daniny będą ci wyznaczali od wypadku do wypadku. Jeśli wygrasz w domu gry, jeśli kuc, na którego postawiłeś, przyjdzie pierwszy w gonitwie Sweepstake, jeśli otrzymasz spadek — nie myśl, że uda ci się zachować to w tajemnicy. Nie unikniesz podatku nadzwyczajnego na rzecz „Towarzystwa Udzielającego Pomocy i Opieki". Ma ono swe placówki informacyjne wszędzie. Zazdrosna kochanka wyda cię wcześniej czy później, czy to dlatego, że pragnie zemścić się na tobie, czy też po to, by zaszkodzić swej rywalce. Przed tajemnym związkiem nie ukryje się żadna tajemnica.

Nie z samych tylko danin bezpośrednich żyją w dobrobycie owe dwa tysiące, nie z tych tylko dochodów utrzymują Czang Tsi-Kuejowie i ich zausznicy swoje pałace, nałożnice i auta. Bardziej intratnym procederem niż ściąganie danin (choć jeszcze nie najintratniejszym, o najintratniejszym będzie mowa później) jest zatruwanie ludu. Loterie prywatne, niekoncesjonowane jaskinie gry, potajemny handel dziećmi, przynoszą wielkie zyski. Ale więcej jeszcze przynoszą kombinaty opiumowe, koncerny plantatorów maku, handlarzy opium, hurtowników i sprzedawców detalicznych.

Poczynając od pól makowych dalekiej prowincji Setszuan aż do fajki opiumowej w pobliskiej Yohang road droga jest wybrukowana daninami na rzecz „Towarzystwa Udzielającego Pomocy i Opieki", które zaiste może udzielać opieki, policja bowiem — Hongkiu należy do międzynarodowego settlementu — jest jego narzędziem.

Podobnie ze sprawiedliwością. Czy z ręką na białej wstędze kroczą w orszaku również owi sędziowie, którzy są członkami „Tsa-Bao-Tong"? Jednego z nich znam dobrze, Kwang Wa-Siena, dzisiaj go jednak nie widziałem. Kwang Wa-Sien już w czasach cesarstwa był mandarynem czwartego stopnia, w republice osiągnął jeszcze wyższe stanowisko: został członkiem Wielkiej Rady „Towarzystwa Udziela-

jącego Pomocy i Opieki" i zarazem sędzią przewodniczącym we wszystkich wielkich procesach. Teraz złożył swój urząd sługi sprawiedliwości. W majątku ma kilka milionów.

Obfitym, nieprzerwanym strumieniem biją od stuleci te źródła. Więcej jednak niż ograbianie i zatruwanie ludu przynosi nowoczesny interes: trzymanie ludu w karbach, pławienie we krwi każdej próby buntu — ba, każdego odruchu solidarności — i skrytobójcze mordy na podejrzanych o radykalne poglądy.

Gdy Czang-Kai-Szek, by pozyskać sobie życzliwość Anglii, wydał rozkaz wytępienia rewolucjonistów, „Towarzystwo Udzielające Pomocy i Opieki" od razu zaofiarowało mu swe usługi. Wprawdzie konkurencyjny tajny związek, „Towarzystwo Błękitno-Czerwone", które pod rządami Du Ju-Sena przekupuje Francuzów w koncesji francuskiej i wysysa krew z Chińczyków, zdołał wyrżnąć znacznie więcej robotników i studentów w Nantao i w Parku Zabaw (Recreation Ground) niż „Tsa-Bao-Tong" na ulicach Hongkiu i graniczącego z nim Tszapei, ale, bądź co bądź, także w Tszapei i Hongkiu padło po stronie czerwonych tysiące zabitych.

Takimi czynami pozyskuje się zaufanie zarówno rządu chińskiego jak i cudzoziemskich panów, takimi czynami bandy przestępców wykazują, że są podporami społeczeństwa. Nigdy już nie będzie się państwo wtrącało do tajemnych spraw związkowych tak użytecznych obywateli. Mogą, dumni, defilować publicznie z jeźdźcami i orkiestrami, gdy umrze któryś spośród nich.

SPEKULACJE PIENIĘŻNE

I. Złoto

Krzyk o złoto wydziera się z Kiukiang road, Wall streetu Chin, i słychać go daleko.

Tak przeraźliwie nie wrzeszczy pijany; tak chciwie nie jęczy głodny, tak rozpaczliwie nie krzyczy napadnięty, tak straszliwie nie wyje torturowany.

Jazgot giełdziarzy w innych wielkich miastach jest wobec tego krzyku cichą modlitwą, wszystkie sale giełdowe są zacisznymi kącikami wobec sali giełdy szanghajskiej. Jeżeli kiedykolwiek twierdziliśmy co innego, jeżeli, na przykład, przyznaliśmy prymat w zgiełku chicagowskiej giełdzie pszenicznej, to cofamy niniejszym te słowa wobec zgromadzonej rady giełdowej Szanghajskiego Gold-Bar-Exchange'u, wyrażając głęboką skruchę. Gdybyśmy przyznali szanghajskiej giełdzie złota światową nagrodę za hałas, nie sądzimy, byśmy musieli ją kiedykolwiek cofnąć.

Niegdyś złoto było tu obiektem transakcyj nie ze względu na swą wartość fetyszu, lecz jako materiał wytwórczy: gildia chińskich złotników zbierała się tu codziennie, by według podaży i popytu ustalać cenę swego surowca.

Cudzoziemcom zawdzięczają złotnicy chińscy naukę, że złoto dzięki pracy niewiele może zyskać na wartości, wiele natomiast dzięki spekulacji i arbitrażowi. Złoto, które dzisiaj wywołuje na giełdzie szał, już przez to nie nadaje się do obróbki, że przeważnie w ogóle nie istnieje. O ile zaś istnieje, posiada inną próbę (0,978) niż ta,

którą operuje złotnik chiński (0,992), i wskutek tego również inną cenę. Nie, złoto giełdowe nie jest złotem wytwórczym.

Mimo to jednak giełda zachowała pewne właściwości charakterystyczne z owych dni, kiedy rzemiosło nie zaczęło jeszcze spekulować swym złotym surowcem. Stałymi jej klientami nie są otyli bonzowie, jakich spotyka się na giełdach europejskich i często również na ulicach chińskich. Szczupli młodzieńcy o zapadniętych policzkach są sprawcami tego zgiełku. W innym miejscu i w innych okolicznościach wzięto by ich za chińskie wydanie fanatycznych mnichów przed palonym na stosie kacerzem.

Jesteśmy na jedynej w świecie giełdzie złota — sala jest nie bardzo odpowiednia dla tak szacownej instytucji: deski zamiast kabin telefonicznych, bosi kulisi zamiast groomów w liberiach. W sali giełdowej stoją pod ścianami miotły i kubły.

Urzędnicy maklerów i bankierów wiszą, z telefonem w ręce, na bambusowych drabinach albo siedzą, z telefonem w ręce, na barierze.

Palce krzyczą, wykrzywione, wyciągnięte, skrzyżowane, głosy załamują się. Nieustanna zwyżka i spadek kursu złota o dziesięć centów następują po sobie tak szybko, że na szklanej tablicy cyfra dziesiętna nigdy nie zaznaje spokoju; 728,2 — nie, 728,3 — nie, 728,4 — nie, 728,3; bezustannie, jak igłą kompasu drgają cyfry po przecinku.

Złoto jest wygraną, stawką jest srebro. Na wszystkich innych giełdach złoto ma wartość stałą, tylko w Chinach, gdzie waluta oparta jest na srebrze, stałą wartość (w lokalnym znaczeniu) ma zawsze srebro, gdy natomiast wartość złota waha się. Dla całego świata cena złota, jaka się tu, w tej sali giełdowej kształtuje, jest oczywiście ceną srebra.

To, co na szklanej tablicy drży i migoce oświetlonymi cyframi, ukazuje się i znów znika, to każdorazowy kurs złotych sztab w taelach srebrnych. W złocie sztaba szanghajska ma wartość 238 dolarów amerykańskich. „Jaka jest jej wartość w srebrze?“ Kiedy? Czy wtedy, kiedy się o to pytał, czy teraz, kiedy ci odpowiadam? Co sekundę zmienia się kurs, tworzy go tu w Kiukiang road mowa palców i wrzawa, a rodzi się on w cyfrach na szklanej tablicy.

W Chinach bije się mało pieniędzy, trzeba je sprowadzać z zagranicy. Gdy parytet na to pozwala, importuje się złote monety w obcej walucie, które zamienia się tu na sztaby złote — żetony gry giełdowej; gdy zaś koło szczęścia waluty obróci się w przeciwnym kierunku — zanim się obejrzysz, już sztaby, zafrachtowane przez chiński bank państwa, płyną z powrotem za granicę i znów przybierają postać monet.

Chociaż walutą Chin jest srebro, wszystko jednak lgnie do złota; nie tylko kulisi kulisy, która groźnie wdziera się do środka giełdy, lecz również mieszczanie i drobnomieszczanie, dalecy od tego chwiejącego się gruntu.

Kosztowności, jakie posiadają mieszczanie, drobnomieszczanie i ich rodziny, zdobią ich tylko w dwóch fazach spekulacji. Prymitywne jest rzemiosło jubilerskie w tym kraju, skądinąd tak bogatym w tradycje zdobnicze, nie używa się tu wcale kamieni szlachetnych. Tym subtelniejszy, tym czystszy jest za to materiał. Gdy na Kiukiang road kurs złota idzie w górę, wówczas bogacz w dalekiej prowincji Kiukiang sprzedaje swój pierścień, bransoletkę swej nałożnicy numer jeden i diadem swej małżonki, i cieszy się chytrze każdą monetą srebrną, jaką zarobił na tej transakcji. Gdy na rynku światowym srebro idzie w górę, wówczas znów kupuje on dla siebie, dla swej nowej nałożnicy numer jeden, dla nałożnicy numer dwa i nieraz nawet dla swej małżonki kosztowności, i to nowe, gdyż stare zostały stopione w owym okresie hossy na złoto.

Któż by posądził Chińczyka o tak gwałtowny temperament! Ha, co za bitwa! Szturm i starcie, popłoch i zamieszanie, trudno zorientować się, jak przebiega front, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Dopiero po dłuższym czasie można rozwikłać ten zawiły ordre de bataille.

Tutaj: odcinek frontu „Czysta spekulacja". Każdy z żołnierzy nacierającej grupy bojowej wyciągnął prawą rękę, rewolwerem jest dłoń, podwójna lufa — palec środkowy i wskazujący — jest skierowana w pierś przeciwnika. Giełda albo życie!

Oznajmiający okrzyk pojedynczy: Ja biorę!

Groźny okrzyk pojedynczy: Ty dajesz!

Telegram palców do kabiny telefonicznej: On daje!

Oznajmiający krzyk ogólny: My bierzemy!

Groźny krzyk ogólny: Wy dajecie!

Ogólny telegram palców: Oni dają!

Zwykła, spokojna, normalna transakcja terminowa.

My kupujemy po to, by znów sprzedać w chwili, kiedy cyfra dziesiętna na szklanej tablicy podskoczy o jeden punkt.

Wy kupujecie po to, by znów kupić, w chwili, kiedy cyfra dziesiętna na szklanej tablicy spadnie o jeden punkt.

Odcinek frontu numer dwa jest wąski. Na prawo złoto, na lewo srebro, pośrodku partie usiłują wyzbyć się pokrycia srebrnego. Niedaleko stąd, na giełdzie efektów, tael stoi może w tej chwili niżej niż odpowiednia ilość sztab złotych. Prędzej więc, prędzej kup złoto, by znów je sprzedać.

Jeszcze węższy od odcinka numer dwa jest odcinek numer trzy. Pomiędzy złotem a złotem walczą przeciwnicy o każdą stopę kwadratową podłogi; złoto jest złotem, a jednak zachodzą różnice, warte tego, by o nie walczyć, skoro się jest giełdziarzem. Kupuj prawą ręką złote sztaby (za funty angielskie) i śpiesz się, jak gdyby życie twoje zależało od tego czy je otrzymasz, i sprzedawaj je równocześnie lewą ręka (za funty angielskie), i śpiesz się, jak gdyby życie twoje zależało od tego czy się ich pozbędziesz.

Życie twoje zależy także i od tego czy wartość funta szterlinga, cross-rate, spadnie czy też pójdzie w górę, gdy będziesz przeprowadzał transakcję odwrotną. Twoje życie, jak życie wszystkich tutaj ludzi, tych podnieconych, krzyczących, szalejących, walczących, prących naprzód i cofających się, ich życie i życie połączonych z nimi przewodem telefonicznym partnerów zależy od ułamków dziesiętnych na szklanej tablicy.

Energia wszystkich jest skierowana na poruszanie tych cyfr za przecinkiem, choć nie zostaje przy tym stworzony nawet atom produkcyjnej wartości.

II. Srebro

Sztaby złota, które wprawiają giełdę w ekstazę, srebrne taele, które figurują w tabelach, są wartościami niemal abstrakcyjnymi. Ani sztaby złota, ani taele nie są środkami płatniczymi.

W ani jednej kieszeni, w ani jednym okienku kasy nie brzęczy tael. Tysiące panów liczy tysiące taelów, a jednak żaden z nich nigdy jeszcze nie miał w ręce taela. Z drugiej strony przez ręce setek robotników codziennie przesuwają się setki taelów, a jednak żaden z nich nigdy nie liczył taelów.

Robotnik, dla którego jednostką waluty jest moneta miedziana, wyrabia taele, pan, dla którego jednostką waluty jest tael, odrzuca precz miedziane monety. Monety miedziane są bowiem bardzo ciężkie, obrywają kieszenie, a warte są zaledwie grosze. Taele są jeszcze cięższe, sztuka waży 31 gramów, dopiero obrywałyby kieszenie, lecz nie trzyma się ich przy sobie, chyba że się jest piwnicą banku. Co prawda nie wyrzuciłoby się ich, gdyby się musiało nosić je przy sobie, są wszak warte chińskiego dolara i czterdzieści centów sztuka.

Teraz wiemy już coś niecoś o konkretnym taelu, wiemy, z czego się składa, gdzie się znajduje, ile waży i ile wart jest dolarów. A teraz czeka nas niespodzianka: pojedynczy tael w ogóle nie istnieje.

To, co robotnicy wytwarzają w pocie czoła i co złożone zostaje w skarbcach, to wielokrotne taela. Każda taka wielokrotna nazywana jest wprawdzie w fabryce i przez urzędników skarbca bankowego taelem, lecz w rzeczywistości jest ona ekwiwalentem 52 taelów, jest sztuką srebra, ważącą pięćdziesiąt dwa razy po 31 gramów, warta jest więc pięćdziesiąt dwa razy po dolar czterdzieści.

Ta bryła, w której rozpuściły się jednostkowe taele, wytwarzana jest w fabrykach. W mennicach? Nie, gdyż tael (czyż trzeba to jeszcze powtarzać?) nie jest monetą, a zatem i fabryka nie jest mennicą. A więc w odlewniach państwowych? Znów jesteście w błędzie. Takich wybitnie państwowych i cennych walorów nie powierzy się przecież przedsiębiorstwom państwowym ani urzędnikom państwowym! Takie wybitnie państwowe i cenne walory zamawia się w tym kraju wyłącznie u prywatnych przedsiębiorców, ponieważ wyrabianie pieniędzy można powierzyć tylko komuś, kogo się darzy zaufaniem.

Obecnie w Chinach modny staje się dolar, i odpowiednio do tego zmniejsza się produkcja taelów. Dwa miliardy srebrnych dolarów kursuje w kraju i zaledwie sto milionów taelów. Lufangi, fabryki tae-

lów, upadają i trzeba się pośpieszyć, jeśli się chce zobaczyć którąś z nich w pełnym ruchu.

Z Anglii i Ameryki przypływa surowiec dla chińskiej produkcji, trzydziestodwukilogramowe sztaby srebra. Najpierw topi się je. Rzędy glinianych pieców, każdy pokryty ziemią; pozostaje w nich tylko jeden otwór do wprowadzania materiału i do rozniecania ognia; żarzy się w nich węgiel drzewny.

Prymitywny miech, poruszany przez jednego kulisa, doprowadza przez rurę bambusową powietrze. Gdy węgiel drzewny, palacz i kulis poruszający miech rozżarzą sztabę do białości, wówczas zostaje ona osiemnastoma uderzeniami topora rozłupana na kowadle na osiemnaście części. Każdą część, wielkości mniej więcej taela (pięćdziesięciodwukrotnego taela, oczywiście), topi się teraz przez piętnaście minut, dodaje się miedzi (16 procent) i wlewa się stop do formy.

Dwa uderzenia młota wytłaczają dwa stemple: nazwę fabryki i numer pieca. Jeżeli fabrykant coś zakwestionuje, wówczas robotnicy danego pieca zostaną zwolnieni. Oto znaczenie tych dwóch stempli...

W potężnej kadzi z wodą zwilżają robotnicy chustki, okładają sobie nimi twarz i szyję, by nie ulec poparzeniu. Ale nie po to postawiono kadź pośrodku odlewni. Postawiono ją tam po to, by zanurzać w niej i ochładzać gotowy odlew.

Przy zanurzaniu odlewu odnosi się wrażenie, jak gdyby nad płonącym statkiem, sycząc, zwierały się fale.

Para unosi się wysoko przy tym zetknięciu ognia i wody, fale opadają, ogień gaśnie, para rozwiewa się.

I znów wynurza się statek z wody, rozżarzony do czerwoności, połyskujący matowo jak gdyby kąpał się w promieniach księżyca. Powoli, powoli ustępuje purpura, ciężki kadłub statku jest czystym srebrem. Pokład jest lekko falisty jak jedwab. „Si-Sci“ nazywa się delikatny jedwab w katońskim narzeczu, „Syce“ nazywają Chińczycy tael.

Oto stoją rzędem srebrno-jedwabne okręty w suchym doku. Biuro sprawdza je i przyjmuje. „Aha, władza państwowa, kontrola skarbowa nad prywatnym wytwórcą!“ Bynajmniej, panowie Europejczycy! Biuro to jest placówką prywatną, organem towarzystwa handlowego.

Nie drogą doświadczeń chemicznych sprawdza się próbę, wprawne oko Chińczyka wystarczy, by według barwy określić zawartość srebra z dokładnością do jednej tysiącznej. Rezultat tych oględzin i waga zostają odnotowane tuszem na kilu statku.

Teraz nastąpi wielka podróż: z piwnicy jednego banku do piwnicy drugiego banku.

III. Miedź

Złoto, srebro kocham bardzo...
(niemiecka piosenka studencka)
...lecz mam tylko miedź.
(chińska rzeczywistość)

Na każdym rogu każdej ulicy wekslarze mają swoje gęsto okratowane stoiska. Są oni — jak i wszyscy zresztą kupcy w swych sklepach — otoczeni gronem synów, wnuków, bratanków i zięciów.

Właściciele tych klatek zapewniają na swych szyldach, że wymieniają amerykańskie dolary, japońskie jeny i angielskie funty, wypisują na tablicy kursy dzienne, a podczas ruchu bojkotowego ostentacyjnie przekreślili na szyldach walutę japońską.

Mimo tej tabeli kursów wekslarze szanghajscy równie mało zajmują się transakcjami dewizowymi jak ich koledzy, których Jezus Chrystus wypędził ze świątyni. Wekslarze jerozolimscy zmieniali grube pieniądze na drobne, potrzebne na targ i na jałmużnę, wekslarze szanghajscy zmieniają talary na centy i miedziaki.

Dolar chiński stanowi obecnie równowartość mniej więcej dwóch złotych. Nie dzieli się on jednak na sto tylko monet dwugroszowej wartości, lecz aż na 290, słownie: na dwieście dziewięćdziesiąt monet miedzianych, wielkości i wagi dolara.

W Mandżurii są w obiegu nawet półmiedziaki — kto nie wierzy, płaci talara za pięćset osiemdziesiąt tych monet. Natomiast w Pekinie obiegają przedziurawione podwójne miedziaki, które warte są jednak nie tyle, co dwa zwykłe, lecz tylko połowę jednego zwykłego. Jest rzeczą zrozumiałą, że w tak skomplikowanych stosunkach zmienia się pieniądze, gdy akurat potrzebne są drobne, lub gdy akurat nie

potrzebuje się drobnych, a ma się ich pełną kieszeń. Któż zechce cały dzień wlec się z miedzianym ciężarem i któż z drugiej strony może żądać od konduktora, sprzedawcy gazet czy od kulisa-rykszy, by miał przy sobie tyle monet, ile trzeba na wydanie reszty z dolara. Nie obawiaj się, że wekslarz całą równowartość twego dolara wypłaci ci w miedziakach. Nie, wekslarze, uwzględniając siłę nośną człowieka, wydadzą ci pięć monet dwudziestocentowych lub dziesięć dziesięciocentowych. Tylko resztę dostaniesz w miedziakach — dwadzieścia do trzydziestu sztuk — zależnie od wahań dewizowych i ceny miedzi, tajemniczych, niezrozumiałych spraw, przez które kulis, zarabiający miedziaki, stale traci.

Istnieje big money i small money, grube pieniądze i drobne pieniądze, przy czym jednak i jedne, i drugie mogą być drobnymi. Big money to zarówno ułamki jak i wielokrotne dolara chińskiego. Jeśli chodzi o big money, to zawsze dziesięć papierków dziesięciocentowych stanowi równowartość dolara, albo papierek dziesięciodolarowy — dziesięciu dolarów. Ale ze small money, srebrnymi monetami dziesięcio i dwudziestocentowymi, sprawa nie jest taka prosta — nieustannie wahają się one na skali wartości.

Przez 2 500 lat monetą Chin był kwej, zwany przez Europejczyków kesz. Tysiąc keszów stanowiło tael; były to przedziurawione monety brązowe, które obiegały od starożytności aż do wojny światowej. W 1915 roku Japończycy skupili kweje i załadowali je na okręty — przemysł wojenny nie gardził miedzią i cyną nawet w ich najdrobniejszej postaci. Japonia ściągała kesze od chińskich generałów prowincjonalnych, którzy z kolei ściągali je z ludu. Teraz keszów nie widzi się już wcale, chociaż na każdym miedziaku opiewa napis, że jest on wart dziesięć keszów.

Każda prawie prowincja Chin sama bije swoje monety, w każdym mieście cent ma inną wartość, wszędzie kwitnie lichwiarski cech giełdziarzy. Kulis otrzymuje swą płacę w miedzi, w tramwajach płaci się za bilet miedzią, konduktor wsuwa monety do worków, a worki pod siedzenia pasażerów, Chińczyk wynagradza kulisa-rykszę miedzią, robotnik, który wraz z żoną, małymi i najmniejszymi dziećmi wraca z fabryki do domu na jednokołowym wózku, uiszcza należność za prze-

jazd miedzią. Handlarz uliczny, aktor uliczny, żebrak uliczny dostają tylko miedź — jest to najcięższy i najciężej zarabiany pieniądz.

I oto miłość wpadła na pomysł wystawiania papierowych rewersów na miedź. Miłość zdołała to uczynić, gdyż tylko z ręki miłości przyjmuje się papierek za dobrą monetę. Leży przede mną paczka tych pieniędzy miłości, wystawionych na kantor wymiany Kai-Tai, kantor wymiany Wang Fong-Tai itd., itd.

Te dziesięcio, dwudziesto lub czterdziestomiedziakowe bony wręcza gościowi na pożegnanie dziewczyna w chińskim domu miłości, by wyrazić mu wdzięczność za odwiedziny i by zaoszczędzić mu nieprzyjemnego powrotu na piechotę, bo to przecież u jej boku ogarnęło go zmęczenie. Przypuszcza ona, że gość ofiarował jej całą swą gotówkę i nic sobie nie zostawił.

Każdy kulis-ryksza przyjmuje te bony, jak gdyby były one walutą publiczną, każdy zna te pieniądze papierowe...

„Pieniądze papierowe! Niechże pan nie pisze bzdur, panie Kisch", przerywa fachowiec od spraw walutowych. „Przecież to nie są pieniądze papierowe, to są bony skarbowe!".

Bony skarbowe? Dobrze! Można i tak!

włącza na zmianę czerwone, żółte i zielone światło. Na głowie ma czerwony, żółty lub zielony turban. Na wszystkich ważniejszych skrzyżowaniach ulic settlementu międzynarodowego Hindusi regulują ruch.

Inni dniami i nocami strzegą banków, domów towarowych i biur. Obie grupy, policjanci i dozorcy, tkwią w zapiętych pod szyję angielskich mundurach, mają czub pod turbanem, nóż za pasem, obręcz na ramieniu i krótkie, lniane spodnie — cztery przepisy ich religii, do których dochodzi jeszcze piąty, że nikt i nic, ani nóż, ani golarz, ani małżonka, ani dziecko nie ma prawa dotknąć dziko rosnącej brody.

Niektórzy spośród prywatnych dozorców noszą czarne turbany, co ich wyżej postawionym kolegom z rogów ulic jest zabronione. Właściwie noszenie czarnego turbanu jest zabronione także i prywatnym dozorcom, twierdzą oni jednak, że nie jest on czarny, lecz ciemnogranatowy. Anglia toleruje to. Anglia pozwala, by czarne było granatowym. Anglia ma swoje doświadczenie z czarnym turbanem.

Otóż, niezależnie od tego czy hinduscy dozorcy, sikhowie, noszą jasne czy ciemne turbany, w karabiny są uzbrojeni wszyscy. Groźne nastały czasy dla kolonii międzynarodowej, każdej chwili mogą wyzyskiwani w Azji zbuntować się przeciw wyzyskiwaczom z Europy. Sami dozorcy nie wystarczą, nawet jeśli są brodatymi Hindusami olbrzymiego wzrostu — muszą mieć broń palną.

Bez wątpienia, sikhowie sprawiają imponujące wrażenie. Nie może równać się z nimi ani wątły Annamita z abażurem na głowie zamiast kapelusza, pełniący służbę policyjną w mieście francuskim, ani Chińczyk, który prętem trzciny cukrowej reguluje ruch. Gdy sikh stoi

na warcie przed urzędem celnym, każdy przechodzień zatacza łuk — nikt nie chce być podejrzewany, że planuje napad.

Tak to pilnują brunatni tytani porządku i pieniędzy swych kolonialnych władców, służbę swą sprawują bezwzględnie i brutalnie, i dlatego lud chiński Szanghaju nienawidzi swoich hinduskich dozorców.

Lud chiński nienawidzi ich także z innego powodu. Niektórzy spośród sikhów, zarażeni duchem Szanghaju, duchem niepohamowanego wyzysku, zarażeni duchem gmachu, do którego są przyrośnięci jako jego kariatydy, wypowiadają pewnego dnia służbę i poświęcają się interesom. Pożyczają Chińczykom pieniądze na wysoki procent. Ze zobowiązaniami dłużnymi w ręce zapełniają codziennie sale sądu. Psy podwórzowe kapitału kolonialnego, pijawki ssące krew kolonialnego ludu.

Niegdyś również i ci sikhowie odgrywali inną rolę, nie tu wprawdzie, lecz w północno-zachodnich Indiach, w Pendżabie. Żyją tam, odkąd w XV wieku zjednoczyli się przeciw mahometanom, w demokratycznej wspólnocie dokoła Złotej Świątyni w Amritsar, wierzą w jedynego boga, odrzucają kastowość i wędrówkę dusz, kult obrazów i palenie wdów. Odpierali dzielnie każde natarcie wrogów, którzy chcieli pozbawić ich niezależności. Niegdyś jeden z ich *guru*, przewodników duchowych, został wzięty do niewoli przez mahometan. Stanął przed obliczem ich króla. Został oskarżony nie tylko o to, że jest wodzem niewiernych, lecz również o to, że, gdy go prowadzono, obejrzał się za haremem swego zwycięzcy. „Obejrzałem się", odparł *guru* wrogiemu królowi, „na zachód, skąd przyjdą zza morza biali, by z was i nas uczynić niewolników, jeśli nie będzie między nami jedności".

Przepowiedział prawdę. Zza morza przyszli Anglicy, by z sikhów, Hindusów i mahometan uczynić niewolników. Krew popłynęła w Pendżabie. Trzy tysiące zabitych stracili sikhowie pod Feros-szachr, osiem tysięcy pod Feros-pur. Wówczas posterunki sikhów nie stały na wieżach i nie mogły przeniknąć mroku dżungli elektrycznymi reflektorami, które za naciśnięciem guzika rozbłyskują z wieżyczki świetlnej na Nanking road, nie miały sześciostrzałowych karabinów, którymi bronią dziś angielskich bankierów przed Azją.

Sikhowie zostali zwyciężeni, ujarzmieni, zostali wojownikami Anglii. Niebawem angielskie bataliony sikhów strzelały do powstających rodaków, strzelały do ludów Iraku, Egiptu i Birmy, a podczas wojny światowej strzelały do europejskich wrogów swoich władców.

Jednak w starych osiedlach sikhów tliła się jeszcze idea niepodległości. Trzeba było poddać ich ostrzejszej kontroli, odebrać ostatnie resztki niezawisłości. Świątyniami ich dotąd zarządzała wspólnota — teraz rząd indyjski mianował uległych sobie kapłanów przełożonymi świątyń, i ci, skorumpowani, zaczęli rządzić samowładnie majątkami świątyń. I oto w 1919 roku sikhowie znów powstali do walki. Walczyli o oddanie świątyni wspólnocie, o przywrócenie swej dawnej demokracji — o coś, co w koloniach żadną miarą nie może być tolerowane. Angielskie karabiny maszynowe masakrowały pod Nankhana-Sahib i w Jallianwala Bagh, parku amritsarskim, setki mężczyzn, kobiet i dzieci.

Intelligence Service, obejmująca cały świat służba szpiegowska Anglii, stwierdziła, że Akalowie, grupa sikhów noszących czarne turbany, są fanatycznym oddziałem szturmowym sikhów, toteż noszenie czarnych turbanów zostało zakazane pod karą chłosty. W 1922 roku rozegrały się pamiętne sceny w Guru-ka-Bagh, epos biernego poddania się i aktywnej brutalności, jakiego nie stworzyła dotąd literatura światowa: codziennie ciągnęły tysiące sikhów w umyślnie założonych czarnych turbanach — starzy mężczyźni, odznaczeni medalami, weterani wojny światowej, i chłopcy — z Amritsaru i innych gmin Pendżabu do Guru-ka-Bagh, by dobrowolnie poddać się chłoście. Siedzieli rzędem na ziemi i, podczas gdy żołdactwo angielskie masakrowało ich, śpiewali swą pieśń:

Wahiguru, Wahiguru, Wahiguru Ji

Satnam, Satnam, Satnam Ji...

Śpiewali, gdy spadały na nich razy, śpiewali, gdy deptały po nich buty żołnierskie, śpiewali, aż padali bez życia.

Przy scenach chłosty asystowali: Inspector-General, Deputy-Inspector-General, Deputy Commissioner i kilku Superintendents of Police. Władze Jego Brytyjskiej Mości Cesarza Indyj nakazały zastosować jeszcze ostrzejsze środki, spodziewały się bowiem, że sterroryzują

tym rebeliantów. Bito sikhów w oczy i pośladki, targano ich za uszy i za nietykalną brodę, kopano w narządy płciowe. Omdleli bądź martwi leżeli sikhowie dokoła, żołdactwu nabrzmiały ręce i połamały się kije, lecz wciąż jeszcze nadciągały ze wszystkich stron procesje ofiarnych sikhów.

Wahiguru, Wahiguru, Wahiguru Ji

Satnam, Satnam, Satnam Ji...

Oficerowie kazali bić w bębny i z pianą na ustach, bliscy obłędu, rzucali się oprawcy Anglii na nowoprzybywających, niebroniących się ani jednym ruchem sikhów.

Krzywe i wąskie są uliczki Szanghaju, po szynach nie jadą tramwaje, auta mkną obok ryksz, zaprzęg z dwunastu kulisów ciągnie z wysiłkiem wóz ciężarowy, który właśnie przeciął drogę autobusowi — bacznie musi uważać policjant regulujący ruch. Czasy są dziś groźne i niespokojne, Japończycy ostrzeliwują miasto, Liga Narodów szydzi z Chińczyków, wielka jest nędza i wielkie wzburzenie — bacznie uważać musi dozorca. Czy wspomina czasem warkot bębnów i uderzenia kijów i pieśń:

Wahiguru, Wahiguru, Wahiguru Ji

Satnam, Satnam, Satnam Ji...

gdy u nóg jego kołyszą się fale ruchu ulicznego, gdy stoi sztywny i niewzruszony jak wyspa skalista, jak Albion?

Różne rzeczy słyszy się o sikhach, gdy tylko spotyka się ich poza terenem ich służby, na Woochang road, gdzie mieszkają i gdzie szyldy firm wypisane są sanskryckimi znakami. Opowiedzą ci tam, na przykład, o pewnym inspektorze, który rzeczywiście był uosobieniem swego rządu, policji, Anglii i dlatego był przez pozostałych sikhów znienawidzony jako zdrajca swego narodu. Pewnego pięknego dnia wyścigowego został zastrzelony na turfie. Sprawcę ujęto. Wszelkimi możliwymi torturami usiłowano wydostać z niego, kim są jego przyjaciele bądź inspiratorzy. Nie dowiedziano się niczego i powieszono go. Jednego z filipińskich rewolucjonistów podejrzewano o to, że jest duchowym sprawcą zamachu, ponieważ jednak dobrze zdawano sobie sprawę, że przed sądem nie uda się niczego dowieść, angielscy detektywi wtargnęli w nocy do jego mieszkania na Keswik road i poderżnęli mu gardło.

Następnego dnia policyjni mordercy aresztowali ośmiu rewolucyjnych sikhów jako podejrzanych o popełnienie morderstwa na Keswik road. Kampania prasowa zdemaskowała ten manewr, wobec czego musiano zaniechać stracenia ich.

Niekiedy potężna Anglia jest bezsilna wobec ujarzmionych przez siebie ludów. Myśli pod turbanem — czy będzie on czarny, ciemnogranatowy, czy też innego koloru — nie może potężna Anglia ujarzmić.

Anglia może tylko uprawiać politykę kolonialną. Każe ona w krajach malajskich obniżać płace dziesiątkom tysięcy kulisów chińskich, przez co dziesiątki tysięcy Malajczyków i Hindusów z kopalń cyny, tartaków i plantacyj ryżu skazane zostają na bezrobocie i śmierć głodową. W brytyjskich koloniach koronnych i protektoratach istnieje również coś, czego w Chinach prawie wcale nie ma: wielcy przedsiębiorcy chińscy. Są oni armatorami, hotelarzami, właścicielami młynów ryżowych i domów publicznych i zupełnie tak samo wyzyskują ludność tubylczą, jak w Chinach Europejczycy wyzyskują masy chińskie.

Dlatego to Hindusi i Malajczycy nienawidzą Chińczyków jako żółtych diabłów, a Chińczycy w Chinach nienawidzą ze swej strony Hindusów, którzy ich w Szanghaju dozorują, chłoszczą i gnębią lichwą.

Taka jest polityka kolonialna. Prowadzi się ją różnymi środkami. Przy pomocy szpiclów i katów usiłuje się zdusić w zarodku każdą próbę stworzenia organizacji międzynarodowej. Sekretariat związków zawodowych istnieje nielegalnie, funkcjonariusze jego skazywani są na śmierć lub dożywotnie więzienie.

YOSZIWARA NAD GROBEM POLEGŁYCH

Po uroczystościach żałobnych pozostaliśmy w dzielnicy Hongkiu. Spożyliśmy tam kolację i odwiedziliśmy kilka lokali. Na tym wstrząsającym terenie wojny, wśród ruin, bladoniebieskie światło neonowe zaprasza do kabaretu. Na ulicy czujemy jeszcze słodkawą woń rozkładających się trupów, na sali Japonka opiera w tańcu swą uperfumowaną główkę na ramieniu partnera. Po południu czci się poległych, wieczorem raduje się żywymi i już następnego dnia, gdy chcemy odtworzyć w myśli nasze wrażenia, zlewają się one w jedno.

Spośród poległych, którym poświęcone były uroczystości popołudniowe, uczczono jako szczególnych bohaterów „żywe bomby". „Żywe bomby" — to grupa żołnierzy, którzy, obwieszeni granatami, podczas natarcia na pozycje chińskie wylecieli w powietrze. W telegramie do Tokio dowództwo armii oświadczyło, że ten nieszczęśliwy wypadek został spowodowany wadliwą konstrukcją bomb i że zarządzono w tej sprawie energiczne śledztwo; lecz gdy jeden z korespondentów wojennych napisał, że chodzi tu o dobrowolną, ofiarną śmierć, zrobiono z tego oficjalną wersję.

Na uroczystościach żałobnych obecni byli oficerowie, również w domach radości widzieliśmy oficerów, tutaj były to jednak niższe szarże; dowódca wojsk lądowych, generał Szirakawa, admirał Nomura, marszałek Ono, generał Ujematu byli obecni tylko na mszy żałobnej, siedzieli tam jak posągi boleści.

Żelazne płyty przykrywały popiół trupów, błękitne jak gencjany sztandary z białymi napisami pochylały się nad placem, na środku stał ołtarz, przystrojony chryzantemami. Wieńce nie miały wstęg, tylko tabliczki z tekstami.

Sceną tej uroczystości był, rzecz dość osobliwa, ogród japońskiej herbaciarni, która wraz ze swymi pawilonami, altanami i klombami spłonęła przed trzema laty — przypadkowe stare pogorzelisko w sąsiedztwie nowych, uplanowanych. Wówczas, po owym pokojowym, żywiołowym pożarze, mury i brama ocalały; właśnie dzięki temu, że jest ze wszystkich stron zamknięty, teren ten nadaje się znakomicie do tego rodzaju uroczystości.

Dzielnica Hongkiu przed wypadkami wojennymi miała wiele japońskich restauracji, herbaciarni, dancingów i innych lokali; 28 stycznia 1932 roku zakłady te zamknięto, lecz teraz znów wyrastają jak grzyby po deszczu, nowe życie nocne rozkwita na ruinach.

Pomarańczowo-czerwony, kwiecisty ornat okrywa kapłana, nad jego gładko wygoloną, szerokokościstą twarzą lśni złotem mitra. Przy nim trzej ministranci; tak jak i on, są w jaskrawych jedwabiach, pomagają mu układać na ołtarzu różowe, słodkie chleby i miseczki z ryżem.

Strawa dla nieboszczyków. Tego samego dnia, w tej samej dzielnicy — stanowi ona północną granicę settlementu międzynarodowego Szanghaju — widzieliśmy, jak żywi spożywają inne potrawy. Sukijaki, (wymawiaj: skjaki), jest mongolską potrawą, którą w New Yorku uznano za narodową potrawę japońską, podobnie jak „chop-sui" uchodzi w amerykańskich restauracjach za chińską potrawę narodową. Od tej pory Japończycy ze szczególnym namaszczeniem spożywają sukijaki. Mięso, cebula i jarzyny w sosie z soi dymią na patelni przed gościem, który zabiera się dzielnie do jedzenia, podczas gdy następne porcje smażą się i skwierczą jeszcze na ogniu. Mężczyźni siedzą w kucki na matach, kelnerki wciąż dolewają im do szklaneczek wódki ryżowej i wciąż nakładają mięso na patelnię.

Japończyk, gdy wychodzi wieczorem, nigdy nie zabiera ze sobą żony. W uroczystościach żałobnych kobietom wolno uczestniczyć. Stoją one przy wejściu i po trzykroć kłaniają się do ziemi każdemu wchodzącemu, chórem śpiewają litanie i żałośnie przesuwają w palcach ziarenka różańca, którego jedyna kulka szklana lśni jak perła pierścionka nad środkowym palcem. Nawet gejsze przybyły tu, w jaskrawych kimonach i czerwonych, kwiecistych szarfach, fryzury ich są napomadowane, srebrne kulki i blaszki lśnią w czarnych włosach.

Barwne, szczebiocące gejsze podają odkomenderowanym na uroczystości żałobne oficerom herbatę, inne kobiety, te w brunatno-szarych kimonach, nie potrafiłyby tego robić z taką gracją. Gejsze i nie gejsze noszą białe pończochy, których stopy podzielone są na dwie części: w jednej części mieszczą się trzy palce, w drugiej dwa — jak rękawiczki bez palców na nogi — i drewniane koturny, zwane „geta".

Tradycyjnymi potrawami, modłami, muzyką i wonnym kadzidłem czczeni są polegli jako ofiary żołnierze. Kapłani i ministranci wolnym, miarowym krokiem obchodzą plac, wypowiadają sakramentalne słowa, których nie rozumie nikt z tłumu profanów, i rzucają kolorowe papierki na każdy grób.

Gdy powracają do ołtarza, arcykapłan dalej celebruje mszę, a jego ministranci przygrywają mu na gongu, piszczałce i dzwoneczkach. Osobliwym instrumentem są czynele, można je nie tylko zderzać o siebie, ale również, prawdopodobnie dzięki sprężynie, zwierają się one same brzęcząc i dudniąc jak werbel marsza generalskiego.

Dlaczego orkiestra jazzowa w japońskich lokalach tanecznych tak niewolniczo trzyma się zwykłych instrumentów murzyńskich, jak banjo, saksofon itp., dlaczego nie wzbogaca swej instrumentacji czynelami? Podziwu godny aktualny repertuar orkiestr jazzowych zyskałby tylko na tej inowacji: po każdej zwrotce piosenki „Całuję twoją dłoń, madame" — srebrzyste brzęczenie.

Tancerki śpiewają tę piosenkę nie w oryginalnym brzmieniu niemieckim i nie w przekładzie japońskim, lecz po angielsku. Wszystkie one zupełnie dobrze władają angielskim i umieją tańczyć rumbę (blues, trzecie stadium, mają już za sobą). Przeważnie noszą suknie europejskie, ale — jak to nam powiedziała jedna z tancerek — dopiero od zeszłego roku. Na tym odcinku przystosowanie się do Zachodu trwało wyjątkowo długo, moda krótkich sukien była dla nóg Japonek zupełnie nieodpowiednia. Nogi bowiem są najsłabszą stroną dziewcząt japońskich, zbyt wiele wieków siedzieli ich przodkowie z podwiniętymi nogami na matach.

Msza zbliża się ku końcowi. Ze skupioną miną podchodzi głównodowodzący generał, by złożyć ofiarę. Skupiony wyraz twarzy przy-

biera dlatego, że myśli o biednych żołnierzach i dlatego, że niemal tuż przed sobą ma obiektyw aparatu filmowego. Czyż zapomnieliśmy wspomnieć, że uroczystości żałobnej asystuje kolumna filmowa, przybyła na aucie ciężarowym? Budda plus film wojskowy.

Na widok obiektywu pogłębiają się zmarszczki na każdym obliczu. Żałoba musi być plastyczna. Jako nieoczekiwany cios przeznaczenia zdają się uświadamiać sobie generałowie fakt, że w wojnie padają ludzie. Korpulentny admirał Nomura wygląda jak zmęczony lekarz pułkowy; japoński miecz — trzecią część jego długości stanowi rękojeść — bynajmniej nie dodaje dowódcy floty japońskiej, na wodach chińskich, bardziej marsowego wyglądu. Generał Ono jest pigwą ze spiczastą bródką.

Jeden za drugim podchodzą do ołtarza, ze stojącej na nim puszki biorą szczyptę święconych ziół i, podczas gdy korba operatora kręci się, podnoszą ją z namaszczeniem do czoła i kładą po chwili do miseczki. Kłęby dymu unoszą się w górę. Za generałami oficerowie sztabowi, za oficerami sztabowymi niżsi oficerowie, za niższymi oficerami podoficerowie, „w dowolnej kolejności, ściśle według szarży". Oddają oni poległym w Chinach obrońcom ojczyzny japońskiej ostatnią posługę, według owego typowego dla wszystkich krajów rozkazu dowództwa pułku: „Wszyscy oficerowie i podoficerowie 8 kompanii, którzy uważają za swój obowiązek oddać ostatnią posługę zmarłemu panu majorowi w stanie spoczynku N. N., mają stawić się jutro o godzinie 4 po południu przed budynkiem sztabu. Niestawiennictwo będzie surowo karane".

Chociaż dii minores militarium gentium nie zostali przy składaniu ofiar uznani za godnych filmowania, także i oni przybierają poważne miny, gdyż to odpowiada powadze chwili, są tam zresztą goście, nawet cudzoziemski dziennikarz, który, co prawda, ku ich przykremu zdziwieniu, jeszcze dzisiaj zobaczy ich z mniej poważnymi obliczami w pobliskich lokalach nocnych. Również wojskowi przyswajają sobie najnowsze tańce; prawdziwą przyjemność sprawia przyglądanie się, jak surowi, posępni po południu żołnierze, wieczorem, całym ciałem spragnieni miłości, tańczą elegię Marlenki Dietrich.

Umiejętnie mieszane są coctaile, nad poległymi pionowo wznosi się w górę dym z święconych miseczek, znak, że niebo łaskawie przyjmuje ofiarę, w łagodnym wietrze marcowym unoszą się nad grobami święte papierki. W bocznych uliczkach Hongkiu zainstalowana jest Yosziwara pola bitwy, tanie japońskie lampiony i tanie japońskie dziewczęta wabią żywych żołnierzy, towarzyszy poległych, do lupanaru.

EGZEKUCJA

Oto zginął jeden z ręki kata. Krew szerokim strumieniem trysnęła z jego karku. Uleciało życie z człowieka, który już i przedtem wydawał się martwy.

Upiornie blady na żółtej twarzy, wyskoczył on rano z auta policyjnego, ręce jego skute były niklowymi kajdankami, jego wychudzone ciało okrywał szary chiński płaszcz. Chwiał się na nogach, kołysał się jak upiór na wietrze cmentarnym.

Nie usiłowałem stworzyć sobie obrazu jego fizjonomii i postaci, zanim go zobaczyłem; wiem, że wbrew powszechnemu mniemaniu mordercy nie zawsze mają byczy kark, wysuniętą dolną szczękę i niskie czoło. Ale ten na pewno już nie wyglądał na mordercę, wyglądał raczej na zamordowanego.

Tsang Kja-Jing ledwo powłóczył nogami, bezwładnie wisiały jego skute kajdanami ręce, gdy go prowadzono do aresztu sądu do spraw mniejszej wagi, do trzydziestu, czterdziestu ludzi, których sprawy miały się dzisiaj odbyć i którzy czekali tu w dręczącej niepewności. On w każdym razie nie będzie czekał w niepewności, jest martwy i nie może ujść śmierci. Obydwaj jego konwojenci pozostali przed żelaznymi drzwiami, które i tak już były dostatecznie strzeżone. Teraz mógł jak równy między równymi skulić się w gromadzie nierównych mu ludzi. Nie dostrzegali oni, że jeden z nich jest już tylko cieniem.

Nagle szeroko otworzyły się żelazne drzwi, pewnym, władczym krokiem weszło życie: policjant. Pobrzękując kluczami zbliżył się do Tsang Kja-Jinga. Teraz dopiero dowiedzieli się pozostali....

Czyż nie twierdzą Europejczycy, że dla Chińczyka śmierć nie znaczy nic albo przynajmniej mniej niż dla nas? „Te draby śmieją się podczas egzekucji", powiedział mi w poczekalni inspektor.

Hm, Tsang Kja-Jing, z którego trupa miało ulecieć życie, miał usta na wpół otwarte, kąciki ust podniesione, co przy jego zająkliwej mowie i nieustannym drżeniu całego ciała sprawiało wrażenie, że jest rozbawiony. Ale czy Tsang Kja-Jing doprawdy był rozbawiony? Czy też strach poruszał jego ustami i ciałem? — Po cóż te pytania, za chwilę przecież przekonamy się, że pełen radości czy też bólu kroczy drogą pomiędzy śmiercią a życiem.

Czym jest śmierć dla jego towarzyszy więziennych, widzieliśmy już: oczy ich, jak oczka luf karabinowych, skierowały się ze wszystkich kątów na skazańca, gdy życie, ucieleśnione w osobie policjanta, zbliżyło się doń pobrzękując kluczami. Inspektor, Szkot, już dostatecznie dawno przydzielony jest do służby policyjnej przy sądzie, by móc po chińsku zapytać aresztanta, co życzy on sobie zjeść przed śmiercią. Tsang Kja-Jing życzył sobie ciepłych paszteciков z siekanym mięsem, zimnej ryby, ryżu i zupy. I papierosów.

Na salę wchodzi sąd do spraw mniejszej wagi. Stracenie nie jest wprawdzie rzeczą mniejszej wagi, lecz ten sąd ma tyle tylko wspólnego ze straceniem, że pyta skazańca czy chce złożyć jeszcze jakieś zeznanie, i czy chce za pośrednictwem sądu zakomunikować coś swoim krewnym i przyjaciołom.

Tsang Kja-Jinga prowadzą ku ścianie oskarżonych, ma on pierwszeństwo przed swoimi towarzyszami z aresztu, nie jest oskarżonym, jest więcej niż oskarżonym, więcej niż skazanym, jest już jak gdyby straconym. Górna część jego ciała jak błędny ognik drga nad barierą. Na ławie detektywów spostrzega Tsang Kja-Jing znajomego i urywanymi słowami zwraca się to do niego, to do sędziego.

Czy wita znajomego? Czy też przeklina go? Wyznaje swą winę? Zapewnia o swej niewinności? Nie wiem. Podniesione kąciki ust, drżenie i wstrząsy ramion nie mówią nic i asesor settlementu międzynarodowego, który zwykle z pomocą tłumacza notuje każde słowo oskarżonego i świadka, policjanta i detektywa, by protokół załączyć do akt policji settlementu, tym razem nic nie każe sobie tłumaczyć.

Tsang Kja-Jing nie interesuje już nikogo. Nie należy już do świata żywych.

Tsang Kja-Jing nie ma sądowi nic do powiedzenia i dlatego może być odprowadzony na podwórze, gdzie czeka już na niego zastawiony stół. Rzucają mu paczkę tanich papierosów, zdziera banderolę, zanim jeszcze zdjęto mu kajdany, i zapala papierosa. Od chwili popełnienia zbrodniczego czynu — włamanie i śmiertelny strzał rewolwerowy do dozorcy, który go zaskoczył — zapewne jeszcze nie palił.

I zapewne nie najadł się do syta. Szybko podnosi do ust drewniane pałeczki z kawałkami ryby i mięsa z ryżem, który polał zupą. Według chińskiego przesądu pasztety ułatwiają drogę na tamten świat. Jeszcze jeden papieros. Pudełko z pozostałymi podaje policjantowi. Chcesz je? Nie chcesz? Wzruszając ramionami rzuca je Tsang Kja-Jing na stół, jeden papieros spada na ziemię. Podczas gdy schyla się, by go podnieść, uprzytamnia sobie: przecież nie ma celu podnosić go teraz. Jakże chciwie chwyciłby go przed pięcioma minutami — szybko zmienia się wszystko, gdy życie dobiega kresu.

Wręczają mu w woreczku mienie, które mu odebrano podczas aresztowania: 44 miedziaki, kwit lombardowy, klucz. Tsang Kja-Jing liczy pieniądze, tak jak to robią Chińczycy, przerzucając po pięć miedziaków z jednej ręki do drugiej. Długo wpatruje się zmrużonymi oczyma w kwit lombardowy, potem powoli drze go na kawałki i kładzie pieniądze na stole.

Idziemy! Tsang Kja-Jing wstaje szybko, zawija rękawy i wyciąga do policjanta skrzyżowane ręce, by znów założył mu kajdanki. Chudy, cienki jak tyka mężczyzna wsiada do wielkiego auta policyjnego. Drugie jedzie z tyłu, obok kierowcy karabin maszynowy.

— Taki jest przepis — wskazując na karabin maszynowy tłumaczy mi sierżant, który siedzi obok mnie w drugim wozie — właściwie ma on sens tylko wtedy, kiedy przewozimy politycznych.

Czy często odbywają się egzekucje politycznych?

— Oh, my goodness, prawie każdego tygodnia! Oczywiście, tylko komunistów. Wkrótce już może przyjdzie kolej na jednego Europejczyka, tego Noulensa, wie pan?

Tak, słyszałem o tym Noulensie. W gazetach europejskich nazywają go Ruegg'em. Kiedy, sądzi pan, zostanie on stracony?

— Diabli wiedzą. Już pół roku temu miał być załatwiony. Ale że wybuchła wojna i gazety narobiły tyle krzyku, ci przeklęci żółci wciąż zwlekają. Teraz przygotowują nawet publiczną rozprawę.

Sierżant gniewnie wlewa sobie whisky do gardła. Gniew jego jest zrozumiały. Międzynarodowy korpus policyjny aresztuje i przekazuje aresztowanych Chińczykom, by ci wydali wyrok śmierci, międzynarodowy korpus policyjny trzyma potem skazanego na śmierć pod strażą i wreszcie ponownie przekazuje go Chińczykom dla wykonania wyroku. Jakim prawem ci przeklęci żółci pozwalają sobie odwlekać powierzone im wykonanie wyroku!

Auta nasze przejeżdżają przez miasto francuskie, koło placu, na którym odbywają się wyścigi psów, przez kanał Soochow. Zatrzymują się przed nowym gmachem, przed którym, jak przed każdym obowiązkowo gmachem państwowym, stoją dwa kamienne lwy. Sierżant wchodzi do gmachu po chińskiego urzędnika, który ma kierować egzekucją. Jest to przecież „czysto chińskie" stracenie.

Oto jedzie martwy człowiek na śmierć, lecz nikt o tym nie wie, ani kulisi-ryksze, którzy ustępują nam z drogi, ani handlarze uliczni, którzy przeciągłym, gardłowym głosem ofiarowują swe towary, ani robotnicy, którzy, ni to jęcząc, ni to śpiewając, noszą na bambusowych prętach ciężary, ani ci, którzy siedzą w kucki w garkuchniach, ani ci, którzy stoją przed klatką wekslarza, ani ci, którym goli głowę i łaskocze uszy balwierz uliczny. Człowiek w aucie jadącym przed nami nie rozgląda się dokoła. Jego, który jedzie na śmierć, nie interesuje już nic.

Sierżant znów pociąga łyk whisky.

— Czy długo trwa taka egzekucja? — pytam.

— Czyżby nigdy nie asystował pan przy wykonywaniu wyroku? — odrywa płaską flaszkę od ust, zdziwiony moim pytaniem, gdyż brał już udział w wielu setkach egzekucji. — Ani razu?

Wyznaję: ani razu jeszcze.

— No, to nie trwa długo, na ogół przynajmniej. Gdy delikwent od razu daje się ochrzcić, idzie to prędko, ale...

Co pan mówi? Nie rozumiem... Powiedział pan „ochrzcić"?

— Oczywiście. Na każdą egzekucję przychodzi misjonarz katolicki. Niektórzy delikwenci zrazu nie chcą nic słyszeć o nawróceniu, ale

ksiądz nie ustępuje, wtedy zaczynają się denerwować (dosłownie: then they become nervous) i ulegają. Tylko polityczni trzymają się hardo. Wszyscy inni pozwalają się ochrzcić.

Niemożliwe! I dlaczego akurat duchowny katolicki? W Chinach wszystkie religie i sekty konkurują ze sobą zawzięcie. Adwentyści i badacze Pisma Świętego, kwakrzy i United Free Church of Scotland, metodyści i armia zbawienia skupują dusze, grunty i tajemnice wojskowe. Budują kościoły i stacje benzynowe, obiecują wieczne zbawienie temu, kto da się im ochrzcić, i premię temu, kto zgadza się ubezpieczyć u nich od nieszczęśliwych wypadków, reprezentują królestwo Jezusa Chrystusa i królestwo Henryka Forda na chińskiej ziemi.

Nawet buddyjscy misjonarze przybywają do tego od tysiącleci buddyjskiego okręgu religijnego — Japończycy; Japonia chce, by odegrali tę samą rolę, jaką odgrywają chrześcijańscy misjonarze w europejsko-amerykańskich interesach politycznych i handlowych.

Tyle istnieje kościołów i każdy wskazuje jedyną gwarantowaną drogę do raju, dlaczego więc skazani na śmierć muszą kroczyć właśnie katolicką? Powiedz pan, sierżancie, dlaczego właśnie katolicki misjonarz?

— Nie wiem.

Nonsens, myślę sobie, przez sierżanta przemawia whisky. Czyż kościół może być zainteresowany w tym, by pozyskać sobie chińskiego przestępcę na dwie minuty przed straceniem? Bzdura.

Jedziemy dalej, mimo sklepików handlarzy i rzemieślników. W pewnej chwili odwracam się w prawo i, jakby od niechcenia, zasłaniam twarz ręką, nie chciałbym, żeby mnie poznano. Na lewo bowiem mieści się antykwarnia. Księgarz nie wie — a może wie? — jakie to broszury sprzedają mu jego chińscy klienci. Angielskie, niemieckie, rosyjskie. Wie jednak, że każdą z tych broszur jeszcze tego samego dnia odsprzeda innemu chińskiemu klientowi, który po przeczytaniu znów spieniężу ją w jego księgarni. Obok nielegalnej literatury rewolucyjnej ma on na składzie, jak wszyscy antykwariusze, chińsko-angielskie i chińsko-niemieckie słowniki oraz podręczniki gramatyki.

Cóż by powiedzieli moi przyjaciele w księgarni, gdyby mnie zobaczyli obok umundurowanego sierżanta, jadącego za więziennym samo-

chodem? I jakie konsekwencje mogłoby to dla nich pociągnąć, gdyby umundurowany sierżant siedzący obok mnie zauważył, że czytający i kupujący książki Chińczycy zaprzyjaźnieni są z Europejczykiem? Niebawem i oni jechaliby tą drogą, którą jedzie auto więzienne przed nami. To prawda, czytanie książek prowadzi na szafot, ale nieczytanie książek też samo przez się nie stanowi ratunku. Martwy człowiek, którego wieziemy ze sobą, nie idzie na stracenie jako czytelnik książek.

Jedziemy krętą drogą wśród błotnistych pól ryżowych, koło wapiennych grobowców. Na rzece Wangpoo wydymają się w majowym wietrze żagle dżonek. Otwiera się szeroki łuk bramy. Nie po raz pierwszy otwiera się ta brama przed martwym, prowadzi ona do więzienia i na plac straceń. Towarzysz mój pokazuje mi murawę: Tutaj to się odbędzie, tutaj martwy umrze.

Na razie siedzi jeszcze w samochodzie więziennym. Przynoszą stół. Dzieci bawią się na skrzyniach piasku i wdrapują się na drzewa; gdy spostrzegły zbliżające się auto, zawołały inne dzieci. Z namaszczeniem, niezdarnie ustawia urzędowy fotograf swój statyw. Teraz każdy musi być sfotografowany przed i po śmierci, tłumaczą mi, dawniej Chińczycy po prostu posyłali na stracenie zastępcę, brata lub syna, bądź wreszcie kulisa, któremu płacili za to, by dał się zgładzić.

Urzędnik chiński zajął miejsce przy stole sędziów, dokoła stoją policjanci, kat jest z pewnością między nimi. Na wyżwirowanej drodze, pomiędzy zielonymi, pachnącymi trawnikami stoi zamknęte auto policyjne, a w nim martwy człowiek czeka na swoją śmierć. Dlaczego jeszcze nie zaczynają?

— Nie ma jeszcze misjonarza.

Sierżant, który podpił sobie dobrze, kontynuuje ze mną pogawędkę; ponieważ nigdy jeszcze nie byłem świadkiem egzekucji chińskiej, uświadamia mnie, że przyjdzie misjonarz.

I oto, na Boga, rzeczywiście zajeżdża autem misjonarz. Zakrystian otwiera baryłkowatemu księdzu drzwiczki małego auta, a w tej samej chwili policjant chudemu jak szczapa, martwemu człowiekowi drzwi wielkiego auta więziennego. W tej samej chwili wysiadają ksiądz i martwy. By Tsang-Kja-Jing mógł czuć się wolnym, gdy będzie przyjmował chrzest, zdejmują mu kajdanki.

Ksiądz jest Chińczykiem. Mówi po chińsku, nie wiem tylko, w jaki to sposób potrafi tak prędko wyłożyć neoficie zasady Starego i Nowego Testamentu, tak prędko nawrócić go z buddyzmu na chrystianizm. Tsang Kja-Jing jest początkowo zdziwiony, potem niecierpliwi się, potem wpada we wściekłość, nie chce nic o tym słyszeć. Ale gruby ksiądz nie zniechęca się, cierpliwie przemawia do wychudłego skazańca, aż wreszcie ten, wzruszając ramionami, pozwala sobie powiesić na szyi medalik z Matką Boską i daje się ochrzcić. Teraz powinien przeżegnać się, ale potrząsa głową, więc ksiądz zakreśla przed nim znak krzyża świętego. Tymczasem zakrystian otworzył ampułkę z olejami świętymi, ksiądz bierze kroplę, skazaniec znów broni się energicznie, nie chce przyjąć ostatniego namaszczenia. Ulega jednak, klęka posłusznie i gorączkowo (he becomes nervous) powtarza za misjonarzem słowa modlitwy. Teraz powinien wstać. Nie wstaje.

Nie wstaje, bije głową o ziemię, jak gdyby chciał ją zgruchotać, i wyje.

— Krzyczy, by go przestano męczyć — tłumaczy mi sierżant — krzyczy: rozstrzelajcie mnie wreszcie.

Zaraz, zaraz, mój synu, uzbrój się w chrześcijańską cierpliwość, wszystko jest przygotowane.

Patrz, tam oto, pod gołym niebem, siedzi kierownik egzekucji i jego urzędnicy, czekają już.

Fotograf, niezręcznie wprawdzie, fotografuje cię, prowadzą cię na miejsce, gdzie trawa rośnie szczególnie bujnie, dzieci podbiegają zupełnie blisko, czteroletnie, sześcioletnie, zapewne nieraz już przyglądały się egzekucjom, jednak rozstrzelanie dla dzieciaków zawsze jest interesujące. Każą ci uklęknąć.

Człowiek, stojący tuż koło ciebie, strzela ci w tył czaszki i odskakuje, by go nie zbryzgała krew, która przez kilka chwil tryska z ciebie szerokim strumieniem, podczas gdy ty, Tsang Kja-Jing, jakby nagle wstąpiło w ciebie życie, drgając wyprężasz się i zwalasz, jakbyś uściskiem swym chciał zdusić ziemię.

Bronisz się, gdy usiłują cię od niej oderwać, odwrócić cię, podłożyć ci kamień pod głowę, by cię sfotografować po raz ostatni. Straszliwe

oczy, żywą, skrwawioną twarz, której się nie zapomni, poddajesz pod obiektyw aparatu.

Tak więc to wygląda. Jadę do domu wzdłuż brzegu Wangpoo i przez dzielnicę Nantao, mijam dżonki z wydętymi żaglami, klientów rewolucyjnej księgarni, handlarzy i rzemieślników, kulisów i żebraków — wszyscy wyglądają jak martwi. Tak jak wyglądał Tsang Kja-Jing, gdy był jeszcze martwy, gdy poruszał się jak błędny ognik, gdy spożywał swój ostatni posiłek, gdy przemawiał przed sądem i klękał na placu straceń, gdy powtarzał słowa chrześcijańskiej modlitwy i otrzymał śmiertelną kulę w głowę.

Teraz jedzie żywy przede mną, biegnie naprzeciw mnie, siedzi — jedyny żywy — na rogu ulicy, krew tryska zeń wysoko, ciało jego pręży się, oczy są szeroko rozwarte, twarz zaczerwieniona.

RYKSZA! RYKSZA!

Z powodu wypadków wojennych w obydwu eksterytorialnych dzielnicach cudzoziemskich Szanghaju nie wolno po północy wychodzić na ulicę. Każdy spóźniony przechodzień jest bezwzględnie zatrzymywany, jeżeli nie jest Europejczykiem i nie ma przy sobie przepustki policyjnej. Co noc formują policjanci z aresztowanych chińskich robotników i robotnic, handlarzy ulicznych i tragarzy pochody, które ze wszystkich stron ściągają do centralnego aresztu. Taborem tych eskort są setki zatrzymanych ryksz — dwunogie, dwukołowe dorożki nie liczą się z wojną i godziną policyjną, wyjeżdżają na miasto, jak to robiły przed wojną.

Dniem i nocą, tu i tam, stępa, kłusem, tu i tam, w tropikalny upał i deszcz, biegną i wiozą, z settlementu do koncesji, z Hongkiu do Nantao, biegną i wiozą, dokąd każe pasażer, wszędzie i zawsze muszą czyhać na gościa, i w nocy, i podczas wojny, mimo stanu wyjątkowego, mimo zakazów, inaczej bowiem nie mogliby żyć nawet tak, jak żyją.

Wychodzisz z któregokolwiek domu i w tej samej chwili opadają cię ze wszystkich stron, w jednej chwili jesteś otoczony przez cały tabor, zakrzyczany zapraszającymi, błagalnymi okrzykami.

Ryksza
Ryksza Ryksza
Ryksza ty Ryksza
Ryksza Ryksza
Ryksza

Gdzie tylko się, Europejczyku, ruszysz, wszędzie otacza cię kohorta ryksz, która rozstępuje się dopiero wtedy, gdy warkniesz energicznie

„bu-jao — nie chcę", lecz już twoich prześladowców zastępują nowi, którym nie zdążyłeś jeszcze rzucić dość energicznie słowa „bu-jao".

W pierwszych dniach twego pobytu w Chinach, zwłaszcza w Pekinie albo Tsingtao, starasz się nie wychodzić na ulicę, jeśli to nie jest konieczne. Serce ściska się na widok tylu zawiedzionych nadziei, na widok tej braci ludzkiej, błagalnie ofiarującej ci swą pracę, tych nędzarzy odpychających jeden drugiego. Jeszcze mniejsza od wynagrodzenia, jakie otrzyma kulis za kurs, jest szansa, że to właśnie on zostanie przez ciebie wybrany. Ale cóż począć, musi walczyć o tę znikomą szansę.

Jin-liche nazywa się ten pojazd poruszany ludzką siłą. Japończyk mówi Jinriksza, „L" wymawia jak „r". (Słyszałem w Jokohamie, jak jakiś mówca mówił o Reninie, Róży Ruksemburg i Riebknechcie. Natomiast w Chinach „r" jest „L", i jeden nauczyciel oświadczył mi, że czytał po niemiecku moją książkę „Del lasende Lepoltel").

Jinriksza pochodzi z Japonii, chociaż wynalazcą jej był — jakżeby inaczej! — Europejczyk. Człowiekiem, który pierwszy wpadł na pomysł umieszczenia krzesła na ręcznym wózku i zastosowania tego pojazdu jako publicznego środka lokomocji, był angielski duchowny, wielebny M. B. Bailey — o, dobrodziejstwa Zachodu i kościoła! Stało się to na początku siódmego dziesięciolecia ubiegłego wieku, w Tokio.

Pewien Francuz nazwiskiem Ménard udał się do Chin, do Szanghaju, by w koncesji uzyskać koncesję na eksploatację ryksz. Ale ławnicy gminy amerykańskiej i angielskiej (później międzynarodowej), jak również gminy francuskiej, wiedzieli, że zastąpienie zwierzęcia lub maszyny przez siłę ludzką jest w tym kraju najpewniejszym interesem i wcale nie mieli zamiaru podarować sprytnemu przybyszowi tak dochodowego monopolu. Postanowili oni wydać za wysoką opłatą dwadzieścia licencyj na dwadzieścia ryksz każda.

Monsieur Ménard mógłby się szczerze radować z otrzymania jednej z tych licencyj, gdyby miał dość pieniędzy na zakup dwudziestu pojazdów. Ale że ich nie miał, musiał się zadowolić dwunastoma. Nie podobało się to obydwu zarządom miejskim, życzyły one sobie, by każda licencja była, ze względu na interes ich kasy podatkowej, wykorzystana dwudziestokrotnie. 31 marca 1875 roku cofnięto Ménardowi

licencję, jemu, pionierowi ryksz, które jeszcze dzisiaj, w wieku taksówek, samochodów prywatnych, autobusów, motocykli i tramwajów, przynoszą koncesji francuskiej 267 966 taleów rocznie, a settlementowi międzynarodowemu 377 030 taelów!

Więcej szczęścia niż Ménard miał jeden z jego rodaków w Pekinie. Dzięki pomysłowi nałożenia na koła tych ludzkich pojazdów opon z gumy francuskiej zdobył olbrzymi majątek, a był to przecież tylko znikomy odsetek zarobków fabryk pneumatyków.

Są przedsiębiorcy, którzy mają po kilkanaście ryksz, każda przynosi dziennie 1 dolar 70, dla wozów nie są potrzebne garaże, a dla koni nie jest potrzebny owies ani stajnia, ani nawet kowal. Boso pędzą kulisi ulicami, tu i tam, pod górę i w dół, stępa i kłusem, nocą i dniem, zupełnie młodzi i zupełnie starzy, tacy, którzy stawiają całą stopę, tacy, którzy biegną na palcach, tacy, którym z twarzy wyziera śmierć, i tacy, po których wcale nie poznać gruźlicy. Licznika, który by przyłączano do serca i płuc, nie wynalazł jeszcze żaden misjonarz.

Przedsiębiorca kupuje cały czas roboczy kulisa, pobiera bowiem od niego ryczałtową opłatę dzienną. Osiemdziesiąt pięć centów dziennie płaci kulis swemu „pracodawcy" za wypożyczenie dwóch kół, bez względu na to czy znajdzie pasażerów, czy nie. Tylko za czternaście godzin, od trzeciej po południu do piątej rano. Za czas od piątej rano do trzeciej po południu płaci przedsiębiorcy inny kulis również osiemdziesiąt pięć centów, musi jednak za to biegać następnego dnia cztery godziny dłużej. Wiele pojazdów ma tylko jednego człowieka pociągowego — jego czas pracy jest nieograniczony.

W Szanghaju 24 378 kulisów jest zaprzężonych do ryksz publicznych, liczba członków rodzin, których są żywicielami, przekracza 100 000. Przeciętny miesięczny zarobek takiego kulisa wynosi dwanaście dolarów meksykańskich, przeciętnie pracuje on w tym zawodzie pięć i pół roku. Potem umiera.

Dwadzieścia cztery złote za to, że dzień w dzień, trzydzieści razy w miesiącu, w dni powszednie i niedziele, od wczesnego popołudnia do wczesnego rana, z portu do portu, z Nantao do Tszapei, z Siccawei na Broadway, pod górę i w dół, stępa i kłusem, tu i tam, robi przeciętnie sto trzydzieści metrów na minutę, do dziesięciu kilometrów na godzinę.

Bieg ten zżera płuca, które muszą także spełniać rolę trąbki sygnałowej; auta nie uznają tego sygnału. Codziennie niemal widzi się, jak ryksze wpadają pod auta, i przy każdym zderzeniu szofer okłada pięściami kulisa. Wyczerpanie, choroby serca, gruźlica płuc, niebezpieczeństwo i złe traktowanie są losem kulisa. Przez pięć i pół roku. Potem umiera.

Taksy za kurs nie może on podwyższyć, musi więc dorównać szybkością tramwajom i autobusom, musi być tańszy od nich. Nie można tak po prostu przewrócić wozów tramwajowych, jak to zrobili w Pekinie kulisi-ryksze podczas wielkiego strajku w listopadzie 1929 roku, to nie uchodzi płazem. Ścięto za to dwustu dziesięciu kulisów. Umierali ze wzruszająco naiwnym okrzykiem: „Precz z kapitalizmem, precz z tramwajami, niech żyje solidarność!".

Dwadzieścia miedziaków (dwanaście groszy) płaci pasażer-Chińczyk za dość długi kurs, za który kulis żąda trzydziestu; targują się, w końcu kulis musi ustąpić, gdyż na każdym kroku, po obu stronach ulicy, czyha konkurencja. Lepszym pasażerem jest Europejczyk, daje dziesięć do dwudziestu centów. Teraz, kiedy dzielnice chińskie, bombardowane przez japońskie działa okrętowe, walą się w gruzy, w dzielnicach europejskich panuje ożywiony ruch. Obce mocarstwa przysłały tu swe wojska, by pilnowały ich interesów przy przewidywanym podziale Chin. Marynarze i żołnierze piechoty morskiej jeżdżą z portu do barów i z barów do portu, i czują się w tych ludzkich zaprzęgach tak, jak gdyby siedzieli w Rolss Royce'ach, każą rozwijać najwyższą szybkość, chociaż umęczony motor już wieczorem zużył cały gaz, i wesoło uśmiechają się do rosyjskich dam, które bez kół, bez gumy, tu i tam, pod górę i w dół, dzień i noc, spacerują po chodniku Avenue Joffre i po prostu osaczają każdego mężczyznę, gdy wychodzi z domu.

Gdy się jedzie ze znajomymi, kulisi biegną równym krokiem obok siebie, aby można było kontynuować pogawędkę. Często ludzkie siły pociągowe są nierówne.

„Dlaczego pan wziął takiego starego łamagę? Widzi pan, jak żwawo mój kulis rusza nogami?".

„Patrzę zawsze na kostki, gdy biorę rykszę. Kulisi z cienkimi pęcinami biegną najlepiej, nawet gdy są starzy".

Pasażerowie rzadko mówią, dokąd chcą jechać, kulis nie zna wszak europejskich nazw ulic. Pokazuje mu się, gdzie ma skręcić, gdzie ma się zatrzymać, dla pasażerów jest on koniem i tylko w ich mózgach mógł dojrzeć plan urządzenia publicznych wyścigów ryksz.

Dla policji kulis też jest tylko zwierzęciem pociągowym. Może być zadowolony, jeśli spadają nań tylko razy pałki gumowej policjanta, gdy nie usłyszy sygnału „stój". Gorzej, jeżeli srogi policjant za karę zabierze kulisowi poduszkę z rykszy; srogi policjant, zanim nie zostanie przekupiony trzydziestoma centami, nie wyda jej z powrotem. Jeżeli stróż prawa postępuje zgodnie z prawem, zdejmuje przyczepioną do rykszy tabliczkę. Wówczas musi biedny kulis zaciągnąć swój wózek prosto do domu, nie ma już dziś możności zarobienia na miskę ryżu, nie może pędzić przez miasto kłusem lub galopem, zrazu rzeźki, potem zmęczony, z północy na południe, tu i tam; dopiero nazajutrz będzie mógł odebrać swój numer w prezydium policji.

Świadek tych scen ulicznych dochodzi do wniosku, że kulisi pogodzili się ze swoją rolą: jesteśmy zwierzętami pociągowymi, smagają nas batem, dają nam mało paszy — oni są panami, my biegniemy i ciągniemy. Biegniemy tam, dokąd każe pan, który siedzi za naszym zgiętym grzbietem. Po pięciu i pół latach to się i tak skończy, i pójdziemy do naszych przodków. Jesteśmy przywiązani do dyszla jak konie, czyż dlatego mamy również wierzgać nogami lub rżeć gniewnie jak konie? Za pięć i pół roku będzie już wszak po wszystkim.

Myli się, kto tak sądzi! Niektórzy kulisi-ryksze może doprawdy myślą tak, jak przypuszczacie. Lecz jest wielu takich, którzy spotykają się wieczorem w jakimś domu. Przed domem ustawione są warty, aby policja nie wtargnęła niespodziewanie, ryksze zostawili u przyjaciół.— tabor wozów bez kulisów byłby podejrzany. Uczą się, dyskutują, przyjmują uchwały...

Godziny te opłacają kulisi swoim czasem roboczym, a gdy ich schwytają — swoją głową. Gdy zostają schwytani, nie mają już przed sobą pięciu i pół roku, wtedy już nazajutrz czeka ich szafot. Umierają, jak umierali ich pekińscy towarzysze, lecz w swym ostatnim okrzyku nie wołają: „Precz z tramwajami!".

KAPITALISTYCZNA BALLADA O ŻYDACH Z BAGDADU

Terytorium, na którym mieszkają eksterytorialni cudzoziemcy, nie należy do żadnego z dziewięciu mocarstw panujących nad Chinami, należy ono do Żydów i Jezuitów.

Dzisiaj pomówimy o Żydach, którym, jak i każdej innej narodowości, przypadła określona rola w imperialistycznej grze o Szanghaj.

Kto nie zna programu tego teatralnego przedstawienia, nie może zrozumieć wielkiej rewii.

Przymusowe cła
Przymusowe pożyczki
Przymusowy przywóz
} Anglia

Nocni dozorcy
poprzednich
} Indie

Gwardia przyboczna
pierwszych
} Białogwardziści rosyjscy

Korupcja
Spelunki i palarnie opium
Stręczycielstwo
} Francja

Dozorcy
poprzednich
} Annam

Prostytutki
Szpicle
} Personel przedostatnich } Emigranci rosyjscy

Egzekutywa wojskowa
Wojny i prowokacje
} Japonia

Praca dzieci Standard Oil Tabacco Comp. Wynarodawianie za pośrednictwem misyj i college'ów	Ameryka
Porady wojskowe Handel bronią	Niemcy
Spekulacje gruntowe	Żydzi
Rewindykacja należności	Portugalczycy
Gra (Hai-Alai)	Baskowie
Miejscowe pachołki cudzoziemców	Kuomintang

Nie należy ujmować tego zbyt schematycznie. Czasem role się zmieniają.

Jak już wspomnieliśmy, chcemy zająć się dzisiaj Żydami, ściślej mówiąc — Żydami z Bagdadu, opium indyjskim i szanghajską spekulacją gruntową. Żydzi ci pochodzą z rodziny Ibn Szoszon, która na początku szesnastego wieku uciekła z Hiszpanii, by ujść przed terrorem inkwizycji i przymusowym chrztem, i osiedliła się w Bagdadzie. Tam Ibn Szoszonowie zaopatrywali karawany w towary i handlowali korzeniami. Ale ciągłe wędrówki z miejsca na miejsce zdawały się być przeznaczeniem rodziny Ibn Szoszonów, pogrom wygnał ich z Bagdadu. W roku 1832 przybyli oni przez perskie miasto portowe Abuszir do Indyj i niebawem dorobili się tam — już jako Sassoonowie — niebywałego majątku.

Można by to było uważać za dowód dzielności żydowskiej i protekcji Jehowy, gdyby nie to, że jednocześnie z nimi przybyła rodzina Tata (wyznanie: czciciele ognia) zdobyła w tym samym czasie równie zawrotny majątek. Abdulla Dawid Sassoon interesował się głównie bawełną, Dirabji Jamsetji Tata więcej kopalniami rudy, poza tym losy ich są do siebie bardzo podobne. Zarówno Tatowie jak i Sassoonowie zakładali banki i wywozili opium do Chin. Jedni i drudzy otrzymali też dziedziczny tytuł baronetów angielskich, stało się to jednak do-

piero o dwa pokolenia później, i to nie z powodu plantacyj bawełny Sassoonów lub kopalń rudy Tatów, lecz raczej z powodu opium, to znaczy właściwie nawet nie z powodu opium, lecz raczej z powodu pieniędzy, które i jedni, i drudzy zarobili na opium — jak wiadomo, szlachectwo zdobywa się tylko za zasługi*.

Właśnie kompania Wschodnio-Indyjska musiała zrzec się swego monopolu wywozu do Chin na rzecz handlu prywatnego, i kupcy angielscy żądali teraz, by wszystkie bramy przyobiecanego im rynku zostały szeroko otwarte. Angielskie towary bawełniane i wełniane, a przede wszystkim indyjskie opium, miały być narzucone bogatej Krainie Środka energicznymi środkami.

„*Do 1830 roku*", charakteryzuje Karol Marks sytuację w chwili przybycia Taty i Sassoona, „*do którego to momentu bilans handlowy Chin zawsze kształtował się pomyślnie, notowano stały dopływ srebra z Indyj, Anglii i Stanów Zjednoczonych do Chin. Od roku 1833, zwłaszcza zaś 1840, wywóz srebra z Chin do Indyj przybrał rozmiary wyczerpujące niemal państwo Nieba. Stąd surowe dekrety cesarza zakazujące handlu opium, dekrety, które spotkały się z niezwykle gwałtownym oporem. Oprócz tej bezpośredniej konsekwencji gospodarczej łapownictwo związane z przemytem opium całkowicie zdemoralizowało chińskich urzędników państwowych w południowych prowincjach. Jak w cesarzu widziano zazwyczaj ojca całych Chin, tak urzędników jego uważano za ojców podległych im okręgów. Ten patriarchalny autorytet, jedyna więź moralna, scalająca olbrzymią machinę państwową, był stopniowo podważany przez korupcję urzędników, którzy z popierania przemytu opium ciągnęli poważne zyski. Działo się to głównie w tych samych właśnie południowych prowincjach, w których wybuchło powstanie. Jest rzeczą charakterystyczną, że w tej samej mierze, w jakiej opium zdobywało pano-*

---

* W iryginale nie dająca się przetłumaczyć gra słów: ...wird man für Verdienste geadelt. Wyraz „Verdienst" oznacza zarówno zasługę jak i zarobek. *(Przyp. tłum.).*

wanie nad Chińczykami, cesarzowi i jego sztabowi pedantycznych mandarynów wymykała się z rąk władza. Można by sądzić, że historia musiała najpierw oduczyć cały ten naród, zanim zaczął się on otrząsać ze swego tradycyjnego otępienia".

Środkiem, którym posługiwała się historia, by odurzyć cały ten naród, było opium, trzy gatunki indyjskiego opium: brunatna Patna, jaśniejsza i droższa Malwa oraz jeszcze jaśniejszy i jeszcze droższy Benares.

Czynem, od którego zaczęły się bunty ludu, otrząsającego się wreszcie ze swego tradycyjnego otępienia, było spalenie 20 291 skrzyń indyjskiego opium w porcie kantońskim 16 czerwca 1836 roku.

Jeszcze dzisiaj twierdzą Anglicy, że spalenie to — podobnie jak i zatopienie angielskiej herbaty w porcie bostońskim, które zapoczątkowało rewolucję amerykańską — było jedynie manewrem konkurencyjnym chińskich plantatorów maku. Chińczycy zaś twierdzą jeszcze dzisiaj, że uprawa opium w Chinach była wtedy minimalna, że spalenie skrzyń było jedynie środkiem walki przeciw zatruwaniu narodu.

Zatruwanie narodu? Czyż ma się może zaniechać zyskownego interesu, dlatego że prowadzi on do zatrucia jakiegoś narodu? Czyż szkoda, jaką może ponieść angielski bilans handlowy, ma mniejsze znaczenie niż zatruwanie kilku milionów Chińczyków? Przede wszystkim zysk, a dopiero potem humanitaryzm.

Karol Marks wyjaśnia, dlaczego dla władców kolonii handel ten z dwóch powodów miał wielkie znaczenie:

„Zarazem jeśli chodzi o Indie, należy zauważyć, że angielski rząd tego kraju czerpie siódmą część swych dochodów ze sprzedaży opium Chińczykom, podczas gdy znaczna część indyjskiego popytu na towary brytyjskie zależy od produkcji tego opium w Indiach".

W tych warunkach Anglia nie mogła przyglądać się obojętnie spalaniu opium. Rozpoczęła ona wojnę opiumową, która zakończyła się klęską Chin, stworzeniem portów traktatowych, swobodnym wwozem brunatnej Patny, jasnej Malwy i bardzo jasnego, bardzo drogiego Benaresu.

Eliasz Dawid Sassoon, jeden z ośmiu synów założyciela firmy, przybył w 1850 roku do Szanghaju, by zainstalować się tam; wprawdzie nie on jeden tylko, firmy angielskie, jak Jardine, Matheson & Co i amerykańskie, jak Russel & Co, od dawna miały już zakotwiczone u wybrzeża nowego portu traktatowego stare okręty, na które wyładowywano opium ze statków żaglowych i gdzie przechowywano je, wolne od cła, aż przejmował je kupiec chiński.

Importerzy zarabiali grube miliony. Tak długo, aż nastąpiło to, co przepowiedział Karol Marks w jednym ze swych artykułów w „New York Daily Tribune":

> *„Zapewne słuszne jest twierdzenie, że powstrzymanie się Chińczyka od palenia opium jest równie mało prawdopodobne jak powstrzymanie się Niemca od palenia tytoniu. Ponieważ jednak, jak słychać, nowy cesarz wypowiedział się za uprawą maku i wytwarzaniem opium w Chinach jasne jest, że produkcji opium w Indiach, indyjskim dochodom państwowym i komercyjnym źródłom Hindostanu grozi w najbliższej przyszłości śmiertelny cios".*

Gdy śmiertelny cios stał się faktem, gdy eksport indyjski został niemal zlikwidowany przez konkurencję chińskiego opium, pozwolono odezwać się angielskiemu sumieniu w Izbie Gmin. W konsekwencji tego spóźnionego odruchu zebrała się pod przewodnictwem sir Aleksandra Hosie'go szanghajska konferencja opiumowa, która uchwaliła zmniejszać przywóz zagranicznego opium o 20 procent rocznie, tak że po upływie pięciu lat miał on ustać całkowicie.

Uchwała ta i fakt, że Chiny w dziedzinie produkcji opium osiągnęły autarkię, skłoniły firmę Sassoon do zaprzestania importu opium i do zajęcia się spekulacją gruntową, która też przecież nie jest do pogardzenia. Dzisiaj jeszcze kwitną przedsiębiorstwa Sassoonów, należą do nich tramwaje i autobusy Szanghaju, banki i najwyższy spośród chińskich drapaczy chmur, Cathay-Hotel, a synowi Eliasza Dawida Sassoona, sir Victorowi, przypadło w udziale najwyższe szczęście, jakie może przypaść w udziale Żydowi na Wschodzie i na Zachodzie: ożenił się z najprawdziwszą Rotschildówną.

A jednak karierę rodziny Sassoonów zaćmiewa kariera pracownika ich firmy, Silosa Arona Hardoona. Jegomość ten, dożywszy sędziwego

wieku, zmarł przed dwoma laty. Urodził się jako Żyd bagdadzki, ale pochowany został jako buddysta chiński w dawnym parku zabaw, w Chang Hsu Ho.

W roku 1862 Silos Aron Hardoon, jak wielu jego współwyznawców bagdadzkich, jak Eli Cadoorie (dzisiaj również już sir), jak Shahmoon (również już magnat filmowy), jak Edward Ezra (również już właściciel hoteli), został pracownikiem firmy Sassoon. Przez pięć lat siedział w Hongkongu, potem przeszedł do centrali w Szanghaju, gdzie samodzielnie zajął się handlem opium i spekulacją gruntową. Wykupił niebawem pół Nanking road, kupił Szechuen road aż do kanału Soochow, kupił połowę Bubbling Well road wraz z owym parkiem zabaw, w którym pragnął bawić się sam.

W roku 1911, gdy w trzytysiącletnim cesarstwie nastąpiła rewolucja i gdy miejsce cesarstwa zajęła republika, Hardoon zaczął spekulować z ci-devants, z panami wczorajszego dnia. W swej otoczonej murami siedzibie na Bubbling Well road udzielił on schronienia byłemu wicekrólowi Kantonu, Chen Hsuan-Luangowi, bandyckiemu generałowi Chang Szunowi z Nankinu i innym zdetronizowanym tyranom — krwawym kompanom wielkiej Tsu Hsi na jej drodze od cesarskiej konkubiny do cesarzowej wdowy (z przeskoczeniem etapu małżonki) i do sześćdziesięcioletniego panowania nad Państwem Środka. Współkonkubiny, współwdowy i małoletnie sieroty cesarskie musiały zostać usunięte z tej drogi, a Tsu Hsi, zwana Starym Buddą, okazała swą wdzięczność tym, którzy aranżowali dworskie mordy. Gdy po wybuchu rewolucji schronili się oni na eksterytorialnym terytorium Hardoona, przez dłuższy czas rzucano codziennie bomby do jego ogrodu, bomby, które przeznaczone były dla Chang Szuna, Chen Hsuan-Luanga i innych prowincjonalnych tyranów. Panu domu nie przeszkadzało to ani trochę. Hardoon nie troszczył się o polityczną popularność czy niepopularność swych gości, nie przyjął ich wszak przez altruizm, lecz po to tylko, by tanio odkupić od nich ich zamki i latyfundia.

Dobroczynność, którą chciał sobie pozyskać życzliwość boga swych ojców dla swoich interesów, uprawiał tylko wśród współwyznawców. Wybudował wspaniałą synagogę Ohel-Mozes w Szanghaju, adoptował dwanaścioro dzieci, pięcioro europejskich i siedmioro

chińskich, i polecił wychować je w wierze żydowskiej. Hardoon często wychodził incognito, by samemu wyszukiwać sobie obiekty dobroczynności, nazywano go też dlatego kalifem Hardoon al Raszidem.

Zmarł 15 czerwca 1931 roku i wówczas dowiedziano się, że w ostatnich latach swego życia odwrócił się od żydostwa. Wprawdzie pochowało go izraelickie bractwo pogrzebowe, rzucało się jednak w oczy, że brama ogrodu udrapowana była niebieską tkaniną i pokryta białymi, chińskimi znakami żałoby.

W trzy tygodnie później pani Eliza, córka rybaka, z którą Hardoon żył pięćdziesiąt lat, urządziła publicznie buddyjską uroczystość żałobną dla uczczenia pamięci Hardoona. Sześciu znakomitych bonzów biło w bębny, dęło w piszczałki, uderzało w gongi i paliło kadzidła, a sprzęt liturgiczny przyniesiono ze świątyni Buddy, która znajdowała się w ogrodzie willi i o której istnieniu nikt dotąd nie wiedział.

W osłupieniu przyjęli to sefardyjscy i aszkenazyjscy Żydzi, osłupienie ich przeszło w ból i oburzenie, gdy opublikowany został testament zmarłego. O, biada, biada! Zmarły współwyznawca nie zapisał swej synagodze, swym żydowskim dzieciom, dobroczynnym stowarzyszeniom i żebrakom szanghajskim złamanego grosza! Sibs Aron Hardoon, najbogatszy człowiek na wschód od Suezu, cały swój majątek, dwieście milionów dolarów gotówką oraz place w Szanghaju, wyraźnie zapisał swej żonie.

Pan Trebitsch-Lincoln, który lubi uchodzić za hochsztaplera (żyje teraz życiem mnicha buddyjskiego w niemieckim pensjonacie pani Pasche i za gotówkę dostarcza szubienicom rewolucjonistów filipińskich), puścił wnet pogłoskę, że to on nawrócił Hardoona na buddaizm. Wkrótce jednak wyszło na jaw, że pan Trebitsch-Linkoln nie więcej miał do czynienia z panem Hardoonem, aniżeli ma teraz z Gautamo Buddą.

Nie był natomiast fantazją testament Hardoona, nie był fantazją gwałt i lament, jaki wszczęli pominięci krewni: Eliza nie była wcale małżonką Hardoona... żyła z nim tylko... pozostał on, jako Żyd bagdadzki, poddanym króla Iraku... według praw mezopotamskich nie wolno mu było zapisywać swego majątku kobiecie, która nie jest z tego samego, co i on, plemienia i tego samego wyznania...

Pewien ubogi kuzyn nieboszczyka, Ezra Hardoon, wniósł do sądu podanie o unieważnienie testamentu. Z Londynu przybyli najznakomitsi adwokaci. Gdy zaznajomili się jednak z aktami Silosa Arona Hardoona, oświadczyli, że nic nie da się zrobić, że Żyd umarł jako buddysta oznajmiając, iż pragnie zwrócić Chińczykom to, co na nich zarobił. Byłoby rzeczą niehonorową bronić sprawy, która tak wyraźnie sprzeczna jest z wolą nieboszczyka.

Tak jest, tak szlachetny punkt widzenia reprezentowali adwokaci i tylko mimochodem dodali jeszcze, że również dlatego nie mogą poprowadzić procesu, ponieważ pan Ezra Hardoon nie ma możności wypłacenia im zaliczki.

PRZYPADKOWA WIZYTA U EUNUCHÓW

Był to jeden z owych letnich spacerów po okolicach Pekinu, spacerów, które nie mają nic wspólnego z Pekinem i jego okolicami. Nasz mózg był przesycony wrażeniami, nasze oczy prześwietlone.

Tu stała czternastopiętrowa pagoda — jak czternaście malachitowo-zielonych, równoległych fal ze złotymi grzbietami płynęły dachy w eterze — tam barwnie pomalowany łuk bramy przecinał drogę. Ledwo muskaliśmy wzrokiem pogodę i łuk. Męczyły nas ciągłe zachwyty.

Na takich spacerach nastrój wyładowuje się zazwyczaj w rozmowach o krajobrazie chińskim.

Nie ma krajobrazu chińskiego, mówi jeden. Te góry tutaj, to zwykłe góry, nie ma w nich nic szczególnego. Równie dobrze mogłyby być górami w Szwajcarii lub Tyrolu. Pola? Pola są wszędzie złote od zboża, łąki wszędzie zielone. Drugi — jutro role mogą się zmienić — podkreśla specyficzne zjawiska: kształt topoli, srebrzyste wstęgi pól ryżowych. A ta karawana kiwających się wielbłądów! Czy zobaczysz taką w Szwajcarii lub w Tyrolu?

Nie, ale w Turcji lub w Afryce!

Przyznasz chyba, że takie porcelanowe parkany i katafalki na polach znajdziesz tylko w Chinach!

To nie ma nic wspólnego z krajobrazem. To jest architektura — chcesz może również most Tygrysów lub grobowce Mingów uznać za element przyrody?

Tak rozmawialiśmy po to tylko, by rozmawiać; przy tym szliśmy naprzód, wciąż w tym samym kierunku. Wspięliśmy się na pagórek,

na którym stała świątynia, i zeszliśmy w dół. W dolinie zagrodził nam drogę mur. Opętani uporem wędrujących bez celu, chcieliśmy zachować raz obrany kierunek, posuwaliśmy się więc wzdłuż muru szukając przejścia.

O sto kroków dalej ukazała się brama prowadząca do folwarku, przez który — o, kierunku nasz, o, kierunku! — musieliśmy przejść. Psy opadły nas, szczekając, skakały wokoło nas tchórzliwie i zarazem agresywnie, stawały niezdecydowane, gdy my stawaliśmy — trzy kroki dystansu. Taka świta nie była zbyt przyjemna. „Zawsze należy zabierać ze sobą kij", pomyśleliśmy sobie.

Mimo to jednak wnet zapomnieliśmy o psach. Ludzie, którzy szli naprzeciw nam, wyglądali dziwnie jednakowo. Podobieństwo ich uderzało nas coraz bardziej, aż wreszcie stało się po prostu niesamowite.

Były to stare kobiety, widocznie robotnice folwarku; jedne prowadziły bydło na postronku, inne szły z workami na plecach lub z grabiami i widłami. Nosiły granatowe spodnie, jak wszystkie w tym kraju pracujące kobiety, lecz, wbrew zwyczajowi, górna część ich ciała była naga, piersi zwisały bezwstydnie.

Matrony rozmawiały ze sobą i, chociaż nie krzyczały, piskliwe ich głosy brzmiały przeraźliwie, ściślej mówiąc: przeraźliwe skrzeczenie towarzyszyło każdej zgłosce.

Na wozie ze zbożem stała krępa kobieta, twarz jej była posiatkowana niezliczoną ilością zmarszczek. Na dole młócono kłosy na sposób starobiblijny i wciąż jeszcze nowochiński: zmłócone w kieracie kłosy podrzuca się drewnianą łopatą do góry, ziarna, jako cięższe, spadają pionowo na gumno, lekkie plewy, unosząc się jak tuman kurzu, opadają o kilka kroków dalej.

Całą tę pracę wykonywały staruchy. Zwisające podbródki, ogolone głowy, tylko na ciemieniu „dut", małe kępki siwych włosów, zdradzające podeszły wiek kobiet. Niedołężnymi nie można było ich nazwać, wszystkie pracowały żwawo i ochoczo.

Nagle zaskoczyła nas i oszołomiła pewna drobnostka, która jednak w tej samej chwili naprowadziła nas na pewien ślad. Jedna z kobiet, odwrócona do nas tyłem, załatwiła na stojąco swą potrzebę, na stojąco, jak to czynią mężczyźni.

— Do kogo należy ta posiadłość? — spytaliśmy staruchy, która już od kilku minut kręciła się koło nas wraz z warczącymi psami. Podeszła do nas bliżej:

— Jesteśmy urzędnikami dworu cesarskiego, a to jest nasz klasztor.

Teraz zrozumieliśmy wszystko. Nieświadomie trafiliśmy do schroniska dla eunuchów-starców.

Podrzucano do góry ziarno i plewy, i popędzano osiołki w kieracie, by młóciły zboże, ładowano snopy na wozy — przypatrywaliśmy się tym ludziom. Przed pięciu minutami uważaliśmy ich za kobiety, potem wydali się nam mężczyznami, teraz wiedzieliśmy, czym są.

Ci i im podobni z dawien dawna odgrywali w cesarskich Chinach czołową rolę faworytów i protektorów, byli mężami stanu, doradcami, intrygantami, rajfurami dla pałaców i katami dla chat.

Eunuchowie tak wyśrubowywali wysokość danin w złocie, talach, tkanych makatach i malowanych jedwabiach, że prowincje buntowały się. Eunuchowie przez zamachy stanu i trucicielskie mordy obalali dynastię, by posadzić na tronie lepiej płacących panów. Eunuchowie pieniądze przeznaczone na budowę floty wojennej zużyli na budowę pekińskiego pałacu letniego, a Chiny w roku 1895 przegrały wojnę z Japonią.

W pięć lat później dążenia reformistyczne groziły zachwianiem stanowiska skastrowanych zauszników cesarskich. Szybko opanowali sektę bokserów i planowo podsycali wiarę dworu cesarskiego w to, że bokserów nie imają się kule i że w ogóle są oni niezwyciężeni. Pod ich wpływem poparła cesarzowa beznadziejne powstanie przeciw cudzoziemcom. Lecz gdy ruch został złamany, ani jeden eunuch nie znalazł się na długiej liście tych, których publicznego stracenia domagały się żądne zemsty i krwi wielkie mocarstwa europejskie — żółci dworzanie i biali dyplomaci potrafili porozumieć się między sobą.

Powszechna była nienawiść ludu do dworskich eunuchów, którzy tak byli do siebie podobni wewnętrznie i zewnętrznie jak jedno jajko do drugiego, jeżeli porównanie to jest tu na miejscu. Nienawidzono ich więcej niż cesarza i książąt, więcej niż konkubiny i mandarynów, i liczne memoriały „cenzorów", rozmieszczonych po całym kraju zaufanych agentów cesarskich, żądały usunięcia eunuchów dworskich.

Rzeczywiście też, po nieudanych przedsięwzięciach, niejednego eunucha wysyłano za grzechy jako kozła ofiarnego do pustelni, chociaż organicznie bardziej byli oni obcy grzechom i kozłom niż inni dworzanie. Co prawda, nie wszyscy. An Te-Haj na przykład, chociaż miał tytuł pierwszego eunucha, w istocie nie był nim wcale, spłodził bowiem z cesarzową wdową Tsu-Hsi syna, który żyje jeszcze do dziś dnia. Inna cesarzowa wdowa Tsu-An, zazdrosna o An Te-Haja, kazała go ściąć, lecz rozkaz ten odpokutowała własną śmiercią, została bowiem otruta. Następcą An Te-Haja został Li Ljen-Jen, piastował on urząd pierwszego eunucha do roku 1911, aż do obalenia cesarstwa.

W samej instytucji eunuchatu nic nie mogło się zmienić, gdyż potrzebni byli strażnicy seraju, o wypróbowanych zdolnościach, organicznie niezdolni, inaczej bowiem, wobec zasady dziedziczenia tronu, cesarzowie i konkubiny w celu wydania na świat dziecka posługiwałyby się wszelkimi będącymi w pobliżu nich osobami płci męskiej.

Kastraci pełnili wartę przed cesarskim haremem i strzegli honoru małżeńskiego swych panów. Jeżeli jednak strażnik haremu pozwolił, by obcy klucz otworzył ten strzeżony zamek, wówczas cesarzowa, która w konsekwencji tego zostawała matką, wpadała wraz ze swą latorośla w zależność od chciwego kastrata.

Przed nami potężni niegdyś dworzanie ładują na wóz snopy, oddzielają plewy od ziarna i młócą pszenicę... Stary pyta nas czy chcemy obejrzeć świątynię; droga do świątyni prowadzi przez budynek mieszkalny fundacji; psy towarzyszą nam z wywieszonymi ozorami. Wchodzimy do przedsionka, tylko przez na wpół otwarte drzwi sączy się skąpe światło, nad nakrytym do herbaty stołem chwieją się głowy staruch ze sterczącymi do góry kosmykami włosów, kłótliwe skrzeczenie przepiłowuje atmosferę.

Bardzo bogaty był niegdyś klasztor, oświadcza przewodnik. Ale teraz, teraz trzeba ciężko pracować. Tłumaczy nam poglądowo; nosić ciężary, zwozić zboże, młócić.

Rozumiemy. Za czasów cesarstwa omnipotentni niemal pierwsi rzezańcy nie szczędzili pieniędzy na fundację, do której w każdej chwili mogli być strąceni ze szczytu łaski cesarskiej. Dopóki eunuch czynny był w służbie dworskiej, miał pieczę nad haremem i w Radzie Stanu

umiał zdobyć posłuch dla swego wysokiego głosu, dopóty łatwo mu było dbać o swych braci-kastratów i tym samym o swą własną starość.

Wraz z upadkiem dynastii zanikła również polityczna płodność eunuchów. Cesarz odszedł, generałowie zostali. Dzielą oni panowanie z cudzoziemskimi władcami kolonialnymi i szanghajskimi bankierami. Interesy ich załatwia blady giełdziarz ze swą gromadą bonzów, która jest tym, czym byli dawniej rzezańcy.

Dawne eunuchy pałacowe uprawiają rolę. Ładują snopy na wozy, oddzielają plewy od ziarna, młócą zboże. Pracują dobrze, chociaż nie mają żon ani dzieci, o które musieliby się troszczyć, pracują dobrze, chociaż plon pracy nie może zmienić ich położenia. Hallo, czyż to nie jest argument dla reakcjonistów? Stale wszak piorunują oni przeciw temu, by ludziom uświadamiano ich położenie klasowe. Przez to dopiero ogarnia człowieka niezadowolenie. Chcą utrzymać biedaka w nieświadomości, zabobonach i brudzie, ponieważ, rzekomo, jest mu z tym dobrze. Czyż nie należałoby posunąć się jeszcze dalej — byłoby to konsekwentne! — i kastrować tych, którzy uchylają się od pracy? Oczywiście, dopiero wtedy, gdy wydadzą na świat odpowiednią ilość potomków. Czyż nie wynika z niniejszego sprawozdania, że eunuchy pracują dzielnie?

Lecz dość już o tym politycznym programie przyszłości. Oto świątynią, świątynia Buddy, jak każda inna. W oszklonej szafie historyczna halabarda, tak potężna, że sprawia wrażenie, jak gdyby mógł wywijać nią tylko stuprocentowy mężczyzna. Lecz w rzeczywistości wywijał nią eunuch. Nazywał się Kang-Kung i w bitwach zabił wielu wrogów. Dlatego pamięć jego jest dla wszystkich eunuchów święta. Nad grobem jego wzniesiono „Hu-Kuo-Szi" — „Świątynię-strażnicę państwa" wraz z klasztorem i cmentarzem.

Cmentarz jest osobliwością przez to, że jest cmentarzem. Na ogół Chińczycy każą swoje zwłoki chować w szczerym polu, o ile można, w tym miejscu, gdzie się urodzili, gdzie mieszkają członkowie ich rodzin. Eunuchowie nie mają płci, nie mają rodzin, nie chowają więc ich w polu, nawet jeśli są książętami. Tak, również książę jest tu pochowany, ów wyżej wymieniony Li Ljen-Jen, który przez czterdzieści lat rządził u boku cesarzowej wdowy Tsu-Hsi i w jej imieniu, i dla obopólnego dobra, nielitościwie łupił lud chiński.

Pytamy naszego przewodnika czy odpowiada prawdzie pogłoska, jakoby Li Ljen-Jen nie był prawdziwym eunuchem. Gest bezgranicznej pogardy jest odpowiedzią. Czy pogarda ta dotyczy naszej opłakanej chińszczyzny, czy też może faktu, że uwagą naszą splamiliśmy honor eunucha?

Pięćdziesięciocentowe wynagrodzenie bynajmniej nie przebłagało starego — niegdyś może szambelana lub marszałka dworu. Również psy nie wyzbyły się swej nieufności wobec nas, odprowadzają nas podejrzliwie i warczą groźnie. Milkną dopiero, gdy znajdujemy się na zewnątrz muru, w którego obręb dostaliśmy się niespodziewanie.

KRÓTKI PROCES

Na wezwanie sędziego oskarżony wchodzi na stopień. Nad drewnianą barierą ukazuje się głowa i ramiona. Niekiedy stoi obok siebie cztery, pięć żywych popiersi.

Przedstawienie nie ma początku i nie ma końca, tak jak teatr marionetek na jarmarku. Publiczność widzi tylko plecy postaci, od biedy mogłaby rozumieć słowa, ale nikt nie interesuje się całością sztuki, każdy przyszedł tu dla jednego tylko aktu, dla jednej tylko roli, jednego tylko epizodu, który obchodzi go jako krewnego lub przyjaciela.

Trzech sędziów siedzi na podium, na prawo i na lewo, nieco niżej, stoją ławki dla świadków, oskarżycieli, dla sprawozdawcy zarządu miejskiego i dla prasy, która zresztą nigdy prawie nie jest tu reprezentowana. Przecież rozpatruje się tu tylko sprawy małej wagi — najwyższy wymiar kary: jeden rok — drobne przekroczenia, powszednie występki, powtarzające się każdego roku, każdego dnia.

Tym więcej za to jest tu detektywów. Tak wielu, że przeznaczone dla nich ławy nie mogą pomieścić tej sfory. Dlatego też szpicle, gawędząc, śmiejąc się, dowcipkując, wałęsają się po sali. Przed złożeniem zeznania przedstawiają się głośno: „CDS numer ten i ten". „Chinese Detectiv Sergeant numer ten i ten" — nazwisk nie wymieniają nigdy.

Również Europejczycy zdobią ławy szpiclów, Anglicy mają wszyscy — konwencjonalna reżyseria! — rude włosy jak Judasz na „Ostatniej wieczerzy" pendzla mistrzów Odrodzenia. Przybyli na Daleki Wschód z Londynu lub z Edynburga, by trudnić się zawodowo

chwytaniem biednych złodziejaszków. Podchodzą do bariery i składają zeznania, obciążające ich ofiary. Po angielsku.

Rzeźbiona z żółtego wosku twarz scenicznej postaci szeroko rozwartymi, skośnymi oczyma wpatruje się w obcego rzucającego obce, niezrozumiałe słowa. Rzeźbiona z żółtego wosku postać sceniczna nie może nic odpowiedzieć na te rozstrzygające o jej losie słowa, nie może ich odeprzeć, nie może przerwać obcemu. Rzeźbiona z żółtego wosku postać sceniczna musi bez oporu poddać się tym obcym słowom obcego i dać się wtrącić do więzienia.

Tłumacz przekłada zeznania Chińczyków na angielski asesorowi — delegatowi settlementu międzynarodowego — zeznania szpiclów przekłada dla stołu sędziów na chiński. Protokolant wodzi pendzelkiem z góry na dół notując obciążające zeznania zawodowego świadka oskarżenia — protokół służy zarazem jako uzasadnienie wyroku. prawdziwość zeznania nie może być podana w wątpliwość, gdyż inni potwierdzają je; przy każdym aresztowaniu złodzieja kieszonkowego asystuje kilka numerów CDS w charakterze świadków. („W Szanghaju na jednego mieszkańca przypada pięciu szpiclów", zwykł był mówić jeden z nich wzdychając z powodu tak wielkiej konkurencji.)

Poza tym na stole leżą nieodparte, straszliwe corpora delicti: zniszczona portmonetka, miseczka do ryżu z dwiema kostkami i kilkoma miedziakami.

Na każdej rozprawie pierwszy zabiera głos młody Chińczyk z ogoloną głową (czarna toga adwokacka ze srebrnym galonem na europejskim ubraniu). Stwierdzamy z zadowoleniem, że ze stanem faktycznym sprawy zaznajomił się nie dopiero podczas obrony, jak to zwykli czynić gdzie indziej obrońcy z urzędu, i że broni z zapałem, co gdzie indziej obrońcom z urzędu zdarza się nader rzadko. Lecz satysfakcja nasza jest krótkotrwała. Spostrzegamy niebawem, że nie jest to wcale obrońca z urzędu, raczej przeciwieństwo obrońcy z urzędu: urzędowy oskarżyciel; nie adwokat ubogich, raczej przeciwieństwo adwokata ubogich: adwokat policji, wyznaczony przez rząd settlementu międzynarodowego do występowania z oskarżeniem publicznym przeciw Chińczykom.

On, który broni policji, siedzi pod ścianą sceny, naprzeciw niego ci, których nikt nie broni. Coraz to nowi. Komórka w kącie sali —

żelazne zamknięte drzwi, zabezpieczone stalowymi ryglami, strzeżone przez dwóch policjantów — nie nasuwa żadnych wątpliwości co do swego przeznaczenia. Zamyka się tam każdą z postaci tragicznego teatru marionetek, zanim przyjdzie kolej na jej występ, zamyka się ją tam i po występie. W przerwie wiąże się te postacie grupami i odwozi do więzienia.

Dziedziniec — klatka schodowa — korytarze — ulica — wszędzie roi się od konwojentów. Pięciu, sześciu więźniów, związanych ze sobą, wloką z celi na rozprawę, z rozprawy do celi, od sędziego do kata. Gdy prowadzą więźniów pojedynczo, wówczas trzymają ich za kark i popychają naprzód. Gdy trzeba zejść z drogi jakiemuś panu urzędnikowi albo innej eskorcie, konwojent kopnięciem nadaje więźniowi odpowiedni kierunek i zmusza go do szybkiego kroku.

W podobny sposób stawia się oskarżonego przed obliczem sędziego na sali rozpraw.

Krótki proces. Sung-Tsang i Wan Bi-Lu, związani ze sobą. CDS 184 zeznaje: obaj byli wczoraj w warsztacie snycerza; podczas gdy Wan Bi-Lu pytał o cenę pieczątki, Sung-Tsang usiłował skraść grę mah-jong. Wan Bi-Lu zostaje uniewinniony, Sung-Tsangowi sąd wymierza grzywnę dwudziestu dolarów, to znaczy, że zostaje on skazany na dwadzieścia dni aresztu, gdyż tutaj oskarżeni nie mają zbędnych dolarów. Skazany i uniewinniony zostają rozłączeni, Sung-Tsanga wtrącają do komórki.

Wklęsłooka głowa z wypłowiałą spiczastą bródką i wypłowiałymi włosami zapraszała przechodniów z Tsepu road do „hazardowej" gry. Akurat on potrzebny jest przechodniom z Tsepu road do tej gry! Do gry o groszaki! Ale cóż, staremu, jako recydywiście, wlepiają dziesięć dni aresztu.

Sześciu na raz, sześć twarzy, sześć ciał związanych ze sobą, partia. Jak zostaną oszacowani? Jeszcze nie wiadomo, dlatego cała szóstka — najstarszy z nich nie ma jeszcze dwudziestu lat — rozszerzonymi z przerażenia źrenicami skośnych oczu wpatruje się w sędziów, którzy rozstrzygną o jej losach.

Wynieśli ze zdemolowanego domu w Tszapei towary, zastawione u lichwiarza. Zdarzyło się to jeszcze przed dwoma miesiącami. CDS

numer 76 podczas rewizji w jednym z domów znalazł część skradzionych towarów i aresztowany chłopak wydał swoich wspólników. Jeden w ogóle się nie przyznaje, drugi tylko częściowo, trzeci wykręca się jak może, czwarty zwala winę na pozostałych dwóch, a wszyscy — zdradzeni i zdrajcy, przyznający się i zaprzeczający, wspólnicy i wrogowie — są ze sobą skuci.

CDS numer 76 twierdzi, że stanowią oni „gang", zbrodniczą bandę, nazywa ich „gangsterami". To tak, jak gdyby w Europie ktoś, mówiąc o wielkim przemyśle, miał na myśli warsztat blacharski. „Gangi" są w Chinach równie potężne jak wielki przemysł w Europie. Gangsterzy opanowali ten rząd, opanowali policję, opanowali handel opium, oni organizują porywanie ludzi i handel niewolnikami, ściągają okupy i nakładają podatki.

Lecz sześciu głowom nad barierą nie schlebia to, że nazywa się ich „gangiem", a trzy głowy sędziów nie odczuwają lęku, mimo że ich vis á vis nazywają „gangiem". Małych gangsterów wiesza się, chyba że są zupełnie mali, tak mali jak ci tutaj — takich wsadza się na kilka miesięcy do więzienia.

Następny! Następny puszczał w obieg fałszywe pieniądze. Trzeba wiedzieć, że w Chinach na każde pięć talarów przynajmniej jeden jest fałszywy; wszyscy wekslarze zmieniają je bez zastrzeżeń potrącając dwadzieścia centów. Każdy lepszy generał, każdy miejscowy władca sam wypuszcza własne pieniądze. Kto ma sztance, bije monety, tylko biedny kolporter musi za to pokutować.

Następnym jest bełkocący jąkała, z płaską czaszką, jednooki; porusza palcami, jak gdyby ich cieniom chciał nadać kontur zwierzęcia, nie słucha, gdy do niego mówią, widocznie obłąkany. Dlatego też konwojuje go dwóch policjantów. Oskarżony jest rybakiem, napadł wczoraj na handlarza ryżu, który go rzekomo oszukał i zranił go ciężko zadając mu kilka ciosów nożem. Sprawa ta zostaje odroczona do następnego tygodnia, ponieważ życie napadniętego jest zagrożone. Jeżeli umrze, zaoszczędzi sędziom wyroku — zabójstwa i morderstwa nie należą do ich kompetencyj.

Następny, następny... Z każdym zjawiają się sierżanci i wywiadowcy policji kryminalnej, którzy składają obciążające zeznania.

świadków odwodowych i obrońców w sali sądu do spraw mniejszej wagi nie ma.

Policja nie tylko chwyta biednych grzeszników, wnosi ona przeciw nim wymowne oskarżenia i sprowadza swoich detektywów i innych świadków, którzy zeznają na niekorzyść oskarżonych Chińczyków. Nawet w więzieniu chińskim podlegają oni jeszcze policji settlementu, gdyż ona sprawuje nadzór nad więzieniem męskim specjalnego sądu okręgowego.

Zamiast okazać wdzięczność za tyle opieki, Chińczycy żądają, by cudzoziemcy zostawili ich w spokoju, i nie chcą stawać przed tym sądem ani jako oskarżeni, ani jako pozwani. Chcą, by ich sąd, znajdujący się na obszarze settlementu, został wyjęty spod kontroli cudzoziemców. Dopiero by to ładnie wyglądało, gdyby ten sąd kulisów mógł bez kontroli, według własnego uznania skazywać bądź uniewinniać schwytanych przez policję angielską złodziejów i żebraków. Nazajutrz żółci zażądaliby, by również angielscy, francuscy lub amerykańscy przestępcy odpowiadali przed żółtym sędzią, podczas gdy teraz przed chińskim sądem poza Chińczykami odpowiadają tylko Niemcy, Austriacy, Czechosłowacy, Turcy, Rosjanie itp.

Na wyższych piętrach gmachu sądu rozpatrywane są sprawy, które mają dla cudzoziemców większe znaczenie. Tutaj przed sądem cywilnym i egzekucyjnym procesuje się cudzoziemski wierzyciel z chińskim dłużnikiem, tutaj występują adwokaci europejscy, których przemówienia tłumaczone są sądowi, i chińscy. Tutaj zarówno powód jak i pozwany powołują świadków. Świadkowie nie składają przysięgi, dlatego też procesy o krzywoprzysięstwo nie stanowią repertuaru sądów, krewni zaś i osoby zatrudnione przez strony nie są dopuszczani jako świadkowie, ponieważ sąd z góry zakłada, że zeznawaliby oni na korzyść swych szefów czy krewnych.

Gdy chodzi o pieniądze, strony walczą z większą zaciekłością niż wtedy, gdy chodzi tylko o życie. Gdy chodzi o pieniądze, nie tylko strony są zainteresowane, zainteresowany jest również sędzia. A teraz, teraz nadszedł czas, by wymienić słowo, które nie figuruje wprawdzie w Baedekerze, które jednak jest w Chinach bardzo rozpowszechnione i posiada tam wielkie znaczenie. Słowo: squeeze.

Squeeze to jest to, co minister otrzymuje od przemysłu wojennego i banków.

Squeeze to jest to, co otrzymuje komprador za zdradzenie tajemnic handlowych konkurencyjnym firmom.

Squeeze otrzymuje portier od przedsiębiorstwa dorożek samochodowych, kucharz od handlarza warzyw, „boy numer jeden" od dostawcy węgla, kulis domowy od wszystkich okolicznych sklepików, poborca celny od szofera, szofer od poborcy celnego, żona urzędnika od dostawcy.

Squeeze otrzymuje i płaci Kuomintang.

Squeeze otrzymuje generał od swego przeciwnika.

Squeeze otrzymuje detektyw od dobrze sytuowanego przestępcy, squeeze otrzymuje... no, po prostu każdy otrzymuje albo płaci squeeze.

Squeeze, łapówka, mówiąc aufemistycznie: prowizja, jest jednym z argumentów politycznych za utrzymaniem panowania kolonialnego: Chińczycy jakoby nie potrafią rządzić się sami, są skorumpowani, każdy Chińczyk bierze squeeze.

Ale wyraz ten jest wyrazem angielskim. Pewnego adwokata amerykańskiego, który z oburzeniem opowiadał znajomemu cudzoziemcowi, jak bardzo przekupni są chińscy sędziowie, zapytano:

— A więc to tak jak w Chicago?

Warto też wspomnieć, że pewien torys, konserwatysta angielski, otrzymał podobną odpowiedź, gdy chciał dowieść niższości rasowej Chińczyków na przykładzie ich niskiej kultury mieszkaniowej.

— Czy spotkał się pan gdziekolwiek z tak potwornymi stosunkami mieszkaniowymi — spytał retorycznie — jak w chińskich dzielnicach Szanghaju?

— Yes, sir — odpowiedział mu ktoś — w Whitechapel.

Wiemy, iż inne argumenty antychińskie nie są bardziej uzasadnione od argumentu, że Chińczyk bierze squeeze. W każdym razie wątpliwe jest czy jakiemuś Chińczykowi lub instytucji chińskiej dostało się kiedykolwiek tyle squeeze, ile ich otrzymują władze koncesji francuskiej od przemytników opium, kasyn gry, palarni opium, burdeli i „gangów".

Bez wątpienia, Chiny są przeżarte owym osławionym squeeze; sądownictwo chińskie także. Wiemy o tym, lecz przechadzając się po salach Special District Court nie możemy stwierdzić, jaki wyrok ferowany był bezinteresownie, a jaki za opłatą. Żeby móc to stwierdzić, trzeba by być bardzo przebiegłym i w dodatku wtajemniczonym. Myślimy sobie tylko, że rola przekupnego sędziego nie jest łatwa. Taki łotr musi lepiej orientować się w labiryncie paragrafów i mieć więcej sprytu i przebiegłości niż zwykły, nieprzekupny sędzia, który może wyrokować według własnego widzi mi się. Nie ma podręczników jurysprudencji przekupstwa, nie posiada ona drukowanej kazuistyki, sędzia musi bezprawie „tworzyć", i to tak zręcznie, by ewentualnie nieprzekupiona wyższa instancja nie mogła tego bezprawia nie sankcjonować. Przy tym musi on też zachowywać pozory sprawiedliwości, by zgromadzona publiczność wierzyła, że waga Temidy sama przez się przechyliła się na stronę szali, na której położono squeeze.

Jeden tylko trybunał nie liczy się z wyższymi instancjami i publicznością. Trybunałowi temu przydzielono wielką salę, która mogła by pomieścić tłumy publiczności. Lecz publiczność unika tej sali. Gdy chcemy tam wejść, przewodnik nasz szepce nam do ucha: „Niech pan tam nie wchodzi, niech pan tam nie wchodzi, bo ściągnie pan na siebie podejrzenie, że interesuje się pan tymi sprawami".

Tutaj sądzeni są przestępcy polityczni, komuniści. Trybunał ten jest zarazem sądem apelacyjnym, wydane przez siebie wyroki zatwierdza sam jako wyższa instancja. Podejrzanych o marksizm sądzi się nie według prawa i nie według squeeze. Dwadzieścia lat więzienia bądź śmierć przez rozstrzelanie lub ścięcie jest ich losem. W ostatnim wypadku na skrzyżowaniu najbardziej ruchliwych ulic zostaje wystawiona na pokaz głowa straconego Chińczyka — ofiary takiego krótkiego procesu.

DZIECI — ROBOTNICY PRZEMYSŁU WŁÓKIENNICZEGO

I

— Jedna wystarczy — mówi lekarz.

Prosiliśmy o pozwolenie przepisania z kartoteki historii kilku chorób.

— Kilku? Wystarczy jedna. Przypadki w istocie wszystkie są do siebie podobne.

Pokazuje ręką łóżka na sali szanghajskiej kliniki dla gruźlików. Z nierozwiniętych ciał dziecięcych wydziera się kaszel.

— Wszystkie są robotnicami fabrycznymi, wszystkie mają tę samą anamnezę, do wszystkich stosuje się ta sama diagnoza. Po cóż panu kilka kart choroby? Jedna wystarczy w zupełności.

Rzeczywiście wystarcza:

Tsai-Bi, dziewczyna, lat osiemnaście, pochodzi z prowincji Tszekian, przed siedmiu laty przybyła z rodzicami do Szanghaju. Od jedenastego roku życia pracuje w fabrykach włókienniczych. Pierwsza menstruacja przed dziesięciu miesiącami (w wieku lat siedemnastu), następna w trzy miesiące później, za pierwszym i za drugim razem małe ilości jasnej i rzadkiej krwi. Później menstruacja już się nie powtórzyła. W fabryce pacjentka pracuje trzynaście godzin dziennie, raz w zmianie nocnej, raz w dziennej. Korzysta z jednego tylko tygodnia urlopu, zimą. Ojciec zmarł przed pięciu laty na śluzowo-krwawą biegunkę (prawdopodobnie dysenteria). Matka żyje i była dotychczas zdrowa. W ostatnich czasach uskarża się jednak na kaszel, połączony z pluciem krwią. Również siostra cierpi

na kaszel. Jednak stanowczo stwierdzić w rodzinie gruźlicy nie można.

Pacjentka skarży się obecnie na silny kaszel z zielonkawą plwociną, trwający już przeszło miesiąc. Choroba zaczęła się od dreszczy, gorączki i zawrotów głowy. Już przedtem kasłała lekko dwa miesiące, ilość wydzielanej plwociny zwiększa się stale, przy czym ostatnio plwocina ta ma przykry zapach. Pacjentka skarży się następnie na ogólne osłabienie i obfite pocenie się w nocy. Mimo tych dolegliwości aż do dnia przybycia do szpitala pracowała, chociaż kaszel dotkliwie dawał się jej we znaki.

Poprzednie zachorowania: atak dysenterii przed trzema laty, następnie przed rokiem nabrzmienie gruczołów szyi.

Stan obecny: niedożywienie, słaby rozwój ogólny. Brak owłosienia łonowego i pod pachami. Piersi rozwinięte jak u trzynastoletniej dziewczynki. Paznokcie dobosza. Lekka sinica twarzy i obwodowych części ciała.

Rozpoznanie (na zasadzie badania fizykalnego i rentgenologicznego): gruźlica prawego płuca z średniej wielkości kawerną górnego płatu.

— Czy można jej pomóc? — pytamy lekarza.

— W Chinach? Nie.

II

Przemysł Chin wyrósł już właściwie z powijaków, ale jego armia robocza jeszcze nie. Nie wyrosła — pod względem fizycznym: w czterdziestu procentach składa się z dzieci, które jak widzimy z kartoteki chorych, nawet wtedy nie wychodzą z wieku dziecięcego, kiedy formalnie już z niego wyszły.

Przejdźmy się po przędzalniach wielkiej fabryki włókienniczej. Małe dziewczynki uwijają się przy przędzarkach, skrętarkach, wrzecionach. Żadne z dzieci nie wygląda na więcej niż sześć lat. Lecz wiemy już z kliniki, że pozory mylą. Tam dwudziestoletni wyglądali jak trzynastoletni, a więc te tutaj przy maszynach, sprawiające wra-

żenie sześcioletnich, mają już zapewne po jedenaście lub trzynaście lat.

Swoimi małymi rączkami potrafią manipulować każdą nitką, potrafią nakładać puste wrzeciona i zdejmować pełne nie podnosząc się przy tym na palcach i nie stając na podnóżkach — warsztaty są przystosowane do ich wzrostu.

Są to maszyny z Anglii. Tym triumfem technika nie szczyci się zresztą, nic jeszcze nie czytaliśmy o dziecinnych maszynach przędzalniczych, na małych maszynach nie ma tabliczek firmy, która je wyprodukowała, natomiast gdy na każdej dużej maszynie natarczywie rzuca się w oczy tabliczka z napisem „Asa Lees, Oldham" albo z nazwą innej fabryki angielskiej.

— Czy te miniaturowe maszyny zostały wynalezione specjalnie dla Chin? — pytamy przy najbliższej sposobności jednego z przedstawicieli angielskich fabryk.

Anglik zaprzecza skwapliwie:

— Wręcz przeciwnie, maszyny dostosowane do wzrostu dziecka przez dziesiątki lat były w użyciu w całym okręgu włókienniczym Lancashire'u. Gdy praca dzieci została w Wielkiej Brytanii zakazana, maszyny te produkowano dla Ameryki, dla Nowej Anglii i dla murzyńskich stanów Południa. Dopiero teraz wywozi się je do kolonii i do Chin.

Jest nam bardzo przykro, że niesprawiedliwie podejrzewaliśmy Anglię, uprzejmie prosimy o wybaczenie.

III

Sale przędzalni mają dwieście metrów długości. Maszyny są obsługiwane wyłącznie przez dziewczęta.

Chłopcy zatrudnieni są tu tylko jako zamiatacze. Nieustannie unoszą się tu tumanami strzępy włókien i pył, nieustannie też trzeba zamiatać. Każdy chłopiec zamiata jednocześnie dwiema miotłami zsuwając je do siebie. Zmiecione w ten sposób śmiecie inny chłopiec pakuje do torby, zawieszonej na brzuchu, i wynosi.

Trzy razy wyższy od chłopca-zamiatacza jest trzymany przezeń pionowo kij miotły; wysoko na górze, na nakrywie koła napędowego

i na pasach transmisyjnych warstwami osiadają strzępy włókien, które zmiata się, by zrobić miejsce dla nowych warstw.

Mężczyźni pracują w pakowni i w elektrowni, również w biurach fabryki nie widzi się kobiet, nawet w angielskich fabrykach Szanghaju; korespondencję z krajem macierzystym załatwia biuro miejskie, w City, daleko od Chińczyków.

Do personelu męskiego należy umundurowana i po zęby uzbrojona warta przy bramie fabrycznej; jej instalacja alarmowa w dyżurce jest chyba najnowocześniejszą aparaturą fabryki.

Załoga tkalń: kobiety. Stare, młode, ciężarne. Co prawda w tkalni widzi się również dzieci, ale te nie pracują. Są to bowiem niemowlęta, które leżą w koszach pod strzygarką albo pod krosnem; do karmienia matki wyjmują je stamtąd. Przebywanie w halach fabrycznych jest dla nich z pewnością mało korzystne. Dlatego też wydano zakaz zabierania niemowląt do fabryk. Być może, istotną przyczyną tego zakazu było mniemanie, że niemowlęta po pierwsze nie pracują, a po drugie przeszkadzają pracować matkom.

Mniemanie numer dwa okazało się nieuzasadnione, niemowlęta w fabrykach nie stanowią przeszkody w pracy, przeciwnie, młoda matka obsługuje snowadła i czółenka tkackie z podwójną uwagą, gdyż kara pieniężna, jeśli nie wydalenie z pracy, skazałaby nie tylko ją, ale i jej dziecko na śmierć głodową. Toteż fabrykanci patrzą przez palce na nieprzestrzeganie zakazu zabierania niemowląt do fabryki. Uważają to swoje postępowanie za wielce humanitarne, podobnie jak zatrudnianie dzieci w charakterze robotników poczytują sobie za dobrodziejstwo, wyświadczone rodzinom proletariackim, których zarobki inaczej nie wystarczałyby na życie.

IV

Czterdzieści procent robotników włókienniczych Szanghaju i Wuhanu stanowią małe dziewczynki, czterdzieści procent — kobiety, i tylko dwadzieścia procent — mężczyźni. Chciwy zysków przemysł umiał wyzyskać rozpowszechniony w Chinach przesąd religijny. Mieć syna — to dla Chińczyka jedyny sens życia, jak również śmierci, jakiż bo-

wiem sens miałaby śmierć, gdyby na ziemi nie pozostawał męski potomek, który składał by ofiary duchom przodków?

Córka natomiast jest niczym. W okolicach dotkniętych głodem noworodki płci żeńskiej rzuca się psom na pożarcie. Jeśli można sprzedać dziewczynkę jako niewolnicę, to przedstawia ona jeszcze pewną wartość. Handel niewolnikami kwitnie. Najbardziej ożywiony jest on w Hongkongu, brytyjskiej kolonii koronnej, a minister kolonii, ilekroć interpelują go w tej sprawie w Izbie Gmin, odpowiada, że małe niewolnice zostały kupione wyłącznie jako służące.

Jawne kupowanie dzieci dla celów prostytucji jest na porządku dziennym. Na bocznych ulicach wielkich miast w wieczornym świetle latarń wynurzają się osobliwe grupy: matrona w niebieskich spodniach, a obok niej, ustawione według wzrostu, jej niewolnice, w jasnoniebieskich atłasowych kitlach, duże i małe. Podczas gdy kobieta zaczepia każdego przechodnia, wychwalając swój towar, towar wykazuje całkowitą obojętność. Na lewym skrzydle stoją dzieci; one również zachowują się apatycznie, gdy amator rozkoszy taksuje je, a te, na które padł wybór, drepcą z powagą przed gościem przez zaułki i podwórza do przybytku miłości.

Pewna kategoria nabywców dzieci pracuje dla przemysłu. Kupują partię dzieci, dają im nocleg i miskę ryżu na drogę do fabryki. Przed rozpoczęciem dnia roboczego zajeżdża przed przędzalnię w Jangtsepoo kulis. Przywozi dwanaścioro dzieci, sześcioro siedzi po prawej stronie, sześcioro po lewej jego wheel barrow, jednokołowego wózka. Zarobki dzieci należą do ich właścicieli.

W wielkich miastach kulisi nigdy prawie nie sprzedają swych małych córeczek, gdyż i one muszą zarabiać na utrzymanie rodziny. Przy pełnym tygodniu pracy kulis zatrudniony w fabryce, porcie lub ciągnący rykszę, zarabia 10—16 srebrnych dolarów miesięcznie, podczas gdy według danych statystycznych (Shangh. Labour Comm.) minimum egzystencji bezdzietnego małżeństwa wynosi 18 srebrnych dolarów, rodziny z trojgiem dzieci — 21.30. A więc nie tylko kobieta, lecz również dzieci muszą pracować, by osiągnąć przynajmniej tę nędzną stopę życiową.

Niska płaca dorosłych jest zarazem przyczyną i skutkiem pracy dzieci.

V

W roku 1919 fabrykanci chińscy w Chinach posiadali 889 000, japońscy zaś 333 000 wrzecion, dzisiaj obraca się w Szanghaju i Wubanie 2 499 000 chińskich, 1 821 000 japońskich i 178 000 angielskich wrzecion.

Bojkot antyjapoński skierowany jest często przeciw towarom, które zostały wyprodukowane z chińskiej bawełny, na chińskiej ziemi, przez chińską siłę roboczą. Tylko akcjonariusze są Japończykami i do nich należą dywidendy.

VI

Cztery i pół miliona wrzecion. Dzieci zdejmują i nakładają wrzeciona. Jeśli włókno splącze się lub, co gorsza, przerwie, związują je swymi małymi paluszkami. Angielska przędzarka dla dzieci ułatwia im pracę.

Z dumą noszą niektóre dziewczęta żółte szarfy, oznakę dyżurnych. Dzieci, sprawujące funkcje personelu nadzorczego są nie mniej surowe niż dorośli nadzorcy, cieszą się swą władzą i z całą bezwzględnością donoszą o najdrobniejszych uchybieniach swych rówieśniczek, po części dla podkreślenia swej wyższości, po części, by zemścić się na małej koleżance, która wczoraj jako dyżurna naskarżyła na dzisiejszą dyżurną.

Dorośli dobrze umieją wyzyskać te dziecięce intrygi. Nie tylko w fabrykach. Przed barami i knajpami marynarskimi Szanghaju przez całą noc stoją chłopcy chińscy w barwnych liberiach. Ambicji ich nie zaspokaja otwieranie drzwi lub rola reklamowej figury, pomagają więc policjantom znęcać się nad kulisami-rykszami. Gdy gość wychodzi z baru, wówczas od dawna czekająca na tę chwilę gromada ludzi-koni rzuca się nań ze swymi wózkami zapraszając, błagając, chodzi wszak o pracę, o zarobienie dwudziestu groszy. Cóż znaczy dla biednego kulisa zakaz wjeżdżania na chodnik, cóż znaczy, że policjant okłada go pałką? Mali boye z zapałem korzystają ze sposobności przysłużenia się oprawcom, śmiejąc się wesoło biją kulisów kijami po głowie, kopią ich w brzuch, wywracają ryksze, wyrywają koła, aż — upokarzająca scena — dorosły Chińczyk w bluzie roboczej klęka przed

chińskim dzieckiem w papuziej liberii i wyciągając drżące ręce żebrze o litość.

Lecz jesteśmy wszak w fabryce włókienniczej, u dożywotnich skazańców. Pojęcie dożywotniego więzienia jest tu rozumiane bardziej dosłownie niż w kodeksach karnych: noworodek leży pod krosnem, siostrzyczka stoi przy przędzarce, matka pracuje przy snowadle, babka zszywa bele. Taka jest droga twego życia, dziecino, według prawa, które tobą rządzi.

Tutaj policzki twoje przybledną, oczy posmutnieją, nogi osłabną, w tej sali, w której warczą wrzeciona, stukają krosna, w której powietrze przesycone jest pyłem wyczesków i zgrzebia. Ruch ręki, którego nauczą cię pierwszego dnia, będzie twym ruchem dnia ostatniego, poza tym nie nauczysz się niczego i nic nie przeżyjesz.

Szkoła i zabawy są nie dla ciebie, dziecko, które nigdy nie będziesz dzieckiem, ani dla twych kolegów uczniów, którzy nigdy nie będą uczniami, ani dla twych towarzyszy zabaw, którzy nigdy nie będą się bawić.

VII

Dwanaście do czternastu godzin dziennie pracują dzieci, bez przerwy obiadowej. Ani na chwilę nie przestają obracać się wrzeciona, nawet wtedy, gdy partia dzieci śpiesznie drepce do kotłowni po koszyki z ryżem dla siebie i koleżanek. Jedząc nie odrywają oczu od obracających się kołowrotków, podnoszących się ram i biegnących nici. Strzępy włókien i pył spadają na pałeczki do jedzenia i osiadają pomiędzy ziarenkami ryżu.

Do południa dzieci nie mają jeszcze zrezygnowanych min, jak dorośli. Stroją wesołe grymasy, praca jest dla nich zabawą. Lecz spójrzcie na nie wieczorem: skośne oczęta zamykają się, chwieją się zmęczone nóżki. Nie zabaw spragnione są dzieci, lecz wytchnienia i odpoczynku. Odpoczynku? Fabryka płaci nie za to, by duży czy mały robotnik odpoczywał podczas dnia roboczego.

Płaca dzieci do lat piętnastu w wielkich szanghajskich fabrykach włókienniczych wynosi 45 (słownie: czterdzieści pięć) groszy, w przędzalniach jedwabiu 12 (słownie: dwanaście) groszy dziennie.

VIII

W szanghajskich przędzalniach jedwabiu nadzorcy przechadzają się z kijami w ręce po hali, by doraźnie karać każde uchybienie.

Dzieci moczą kokony w zbiornikach z wrzącą wodą; rączki ich są poparzone, nie mają bowiem ani gumowych rękawiczek, ani łyżek do wyjmowania kokonów. W gorącej parze, która bucha im w oczy i wdziera się do płuc, szukają końców włókien i podają kokony kobietom. Te związują po sześć włókien i nawijają je na motowidła, wprawiane w ruch nogą. Jedno dziecko obsługuje dwie kobiety. Jedna kobieta odwija trzydzieści kokonów na raz, na pięć motowideł, po sześć włókien na każde.

Para, żar i woń potu. Wentylacji nie ma. Mężczyzna z kijem przechadza się po sali bacząc, by nie nastąpiła najmniejsza przerwa w pracy.

IX

Bez ograniczenia i bez wynagrodzenia pracują dzieci w domowych warsztatach rodziców, lecz za to tutaj nie wyznacza im tempa ani maszyna, ani obcy człowiek z kijem. Z tych patriarchalnych stosunków pracy zrodziła się praca dzieci w wielkim przemyśle. Teraz, kiedy okres pierwotnej akumulacji kapitału należy już do przeszłości, jej mordercze metody mogłyby być zlikwidowane, gdyby — gdyby nie to, że po śmierci Sun Jat-Sena rewolucyjne związki zawodowe mieczem katowskim i rewolwerem zostały przemienione w stos trupów.

Inicjatywa z góry? Posłuchajmy! Szanghajska Child Labour Commission w swym sprawozdaniu z 9 lipca 1924 roku zaleciła radzie miejskiej settlementu międzynarodowego wydanie zakazu pracy fabrycznej dzieci poniżej lat dziesięciu, ograniczenie pracy dzieci poniżej lat czternastu do dwunastu godzin na dobę i przyznanie jednego dnia świątecznego na dwa tygodnie. Uznała również za niewskazane zatrudnianie dzieci w warunkach szkodliwych dla zdrowia i nie zapewniających dostatecznego bezpieczeństwa pracy.

Bóg świadkiem, inicjatywa nader skromna. Ale nawet ta inicjatywa została pogrzebana przez cudzoziemskich władców Szanghaju. Na nadzwyczajnym zgromadzeniu obywateli settlementu, które miało za-

twierdzić projekt tej reformy, do quorum, wymaganego dla prawomocności głosowania, zabrakło trzystu dwóch członków gminy. Angielskie gazety z następnego dnia do wiadomości o niedoszłym do skutku zgromadzeniu płatników podatku zupełnie otwarcie dodały komentarz, że większość płatników uważała swoją nieobecność na zgromadzeniu za najprostszy sposób, który uniemożliwiał powzięcie uchwał w sprawie raportu Child Labour Commission.

Tak kończy się sprawozdanie o stosunkach socjalnych w Szanghaju.

INTERMEZZO PIRENEJSKIE

I. Portugalczycy - Makańczycy

Również oni przychodzą tutaj, aby — przecież to sprawa honoru żeglarzy — wypić w barze kieliszek brandy. Również ich okręt — przecież to sprawa honoru mocarstw morskich — zarzucił kotwicę w porcie Szanghaju.

Lecz nie zwracają tu niczyjej uwagi. Jest ich mało i są tak niskiego wzrostu, że każdy marynarz amerykański mógłby ich wziąć na ręce, gdyby się chcieli zmierzyć z nim w jakikolwiek sposób. Okręt ich jest nienowoczesny i niepokaźny, zaledwie 1 700 ton, cóż to znaczy wobec jego angielskich i amerykańskich sąsiadów, „Houstona" i „Kenta", francuskiego „Waldeck-Rousseau" lub włoskiego „Espero"? Portugalia jest tylko niemym gościem w tym międzynarodowym barze, który nazywa się Szanghajem.

Na wstążkach ich czapek i na fasadzie ich pływającego domu widnieje napis „N. R. P. Adamastor". Któż to się uśmiecha? Uśmiecha się ten, kto w czasie młodości czytając „Luizjady" Camoënsa, poznał daleki świat i przeżył przygodę. Wówczas, jako chłopcy, byliśmy odważnymi żeglarzami, naszym wodzem był wielki Vasco da Gama i szukaliśmy drogi do Indyj. Wówczas my, chłopcy, widzieliśmy na południowym cyplu Afryki, na przylądku Dobrej Nadziei — przylądek ten lubiliśmy zresztą z powodu trójkątnego znaczka pocztowego — podstępnego Adamastora, który przyczaił się tam jako pół-góra, pół-olbrzym. Wówczas nienawidziliśmy Adamastora namiętnie. Wysyłał on podległe mu żywioły przeciw wszystkim, którzy odważyli się wkroczyć w strefę jego władzy. My, załoga Vasco da Gamy, prowadziliśmy wów-

czas rozpaczliwą walkę z nawałnicami i falami Adamastora. Z walki tej wyszliśmy jednak zwycięsko.

I oto teraz imię naszego wroga widnieje na dziobie małego okrętu i na wstążkach czapek małych marynarzy. Okręt i marynarze są w Szanghaju tylko z wizytą. Zwykle kołysze się „N.R.P. Adamastor" na redzie w Makao. Ta mała wyspa ze swym monopolem opiumowym jest wszystkim, co pozostało Portugalczykom z potęgi i wielkości, jaką zdobyli sobie zuchwałym konkwistadorstwem i chrześcijańsko-katolicką ufnością w Boga w walce z olbrzymem Adamastorem i później z powstańczym ludem Hak-Kar, „piratami" z zatoki Bias. Anglia zabrała Portugalczykom wszystko. Anglia jest bogata, jest wrogiem niebezpieczniejszym niż Adamastor i piraci w cudzysłowie, pieniądze są silniejsze niż konkwistadorstwo i Chrystus razem.

Dzisiaj jest jeszcze w Szanghaju tylu mniej więcej Portugalczyków co Anglików, lecz Anglicy władają bankami i wielkimi firmami, Portugalczycy natomiast prowadzą tylko księgi, w szczególności konta dłużników. Rewindykują należności i dlatego są źle widziani, chociaż noszą pięknie brzmiące, arystokratyczne nazwiska i co tydzień chodzą do spowiedzi, a ich Club de Recreo jest co najmniej tak ekskluzywny jak anglosaski Shanghai Club.

Córki ich są sprzedawczyniami w „Withaway Laidlaw & Co" lub biuralistkami w hotelach i restauracjach i dzięki temu, że wszystkie znają się ze sobą, potrafią zdobyć adres każdego gościa, który, zamiast płacić gotówką, wystawia rewersy i zapomina je wykupić.

Jeśli ten zawód Portugalek jest ci znany, może ci to zaoszczędzić wielu przykrych doświadczeń. Siedzisz na przykład w restauracji z nowym znajomym, człowiekiem miłym i ujmującym, który, jak widać, prowadzi stateczny tryb życia. Interes, który ci proponuje, jest murowany i już jesteś skłonny... Lecz oto przy bufecie zjawia się dziewczyna i chociaż bynajmniej nie jest brzydka, twój przyjaciel gwałtownym ruchem odwraca głowę. Gdybyś nie czytał mej książki, nie przypisałbyś temu żadnego znaczenia lub pomyślałbyś może, że to jakaś sprawa miłosna. Ale teraz wiesz już, dlaczego ten tak solidny na pozór pan unika wzroku Portugalek i jaki to ma związek z jego statecznym trybem życia i jego interesami.

Po wojnie Portugalczycy, prowadzący wyłącznie debetowe rachunki, usiłowali połączyć się z Niemcami, prowadzącymi rachunki kredytowe. Wszystkie jednak firmy niemiecko-portugalskie rozwinęły się niebawem z powodu skandalu, który łączy się z jednym z tych interesów. Skandal ten skończył się wyrokami sądowymi w Chinach i Niemczech, chociaż akurat tym razem szanghajski Portugalczyk jako partnerów wyszukał sobie szczególnie bogatego szanghajskiego Niemca i firmę hamburską.

Interesy importowe załatwia się tu systemem zaliczek bankowych. Europejski bank dostawcy posyła fakturę bankowi szanghajskiemu do inkasa, a bank szanghajski komunikuje odbiorcy, „że konosamenty (fracht, faktura, ubezpieczenie itd.) na tyle a tyle sztuk, tego a tego towaru, takiej a takiej wartości, wysłanego okrętem X pod adresem Panów, znajdują się w posiadaniu naszego Inward Bill Department". Po otrzymaniu takiego listu odbiorca zwraca się do banku, by mu wypłacił tytułem awansu zadeklarowaną wartość towaru. Bank przekazuje tę sumę bezpośrednio dostawcy zagranicznemu, nie ponosząc przy tym żadnego ryzyka, dopóty bowiem zatrzymuje towar w swoim składzie, dopóki odbiorca nie sprzeda go i nie zwróci wypłaconej mu sumy. Jeżeli towar nie znajdzie nabywcy, wówczas zostaje sprzedany z licytacji.

Przy takich licytacjach wypłacona suma zawsze wpływa — jeżeli, oczywiście, towar został zadeklarowany według swej istotnej wartości. Otóż przy owej niemiecko-portugalskiej transakcji zdarzyła się rzecz nieprzewidziana. Nadawca hamburski, w porozumieniu z adresatem szanghajskim, podał jako zawartość skrzyń sztuczny jedwab. W istocie okazało się, że skrzynie te zawierały tylko tanie szklanki, spluwaczki i inne naczynia emaliowane. Aferzyści powędrowali do więzienia, a Portugalczycy musieli zawrócić ze swej wyprawy w krainę wielkiego handlu i zabrać się z powrotem do buchalterii i rewindykacji należności.

Właściwie nie są oni wcale Portugalczykami. Portugalię widzieli po raz ostatni w XIII wieku i gdyby się dziś tam znaleźli, z trudem by ją poznali. Ojczyzną ich od dawna już nie jest półwysep Pirenejski, ojczyzną ich jest półwysep Makao, Monte Carlo Oceanu Wielkiego, wyspa gry i opium. Są oni nie Portugalczykami, lecz Makańczykami.

„Makańczycy" — kombinacja wyrazów „Makao" i „Chińczycy". Tak też jest w rzeczywistości. Z dawien dawna Portugalczycy z Makao wchodzili w związki małżeńskie z dziewczętami chińskimi i w małżeństwach tych płodzili piękne córki. (Żadna Eurazjatka nie jest zadowolona, gdy się mówi o niej, że jest „halfcast", półkrwi; w Chinach nazywają one siebie Portugalkami). Córka Makańczyka wychodzi zamąż tylko za Portugalczyka, nigdy za Chińczyka, rodaka matki. Byłoby to dla ex-Portugalczyków ujmą, urażałoby ich dumę rodową, szlachecką i wyznaniową.

W banku mały jegomość o wyglądzie Chińczyka oświadcza mi, że załatwi mój przekaz pieniężny, i prosi, żebym zgłosił się do niego jutro. Wręcza mi swój bilet wizytowy:

Jezus-Maria Marquès de Silva-Pereira

Lisbon Shanghai

Czytam święte imię oraz margrabiowskie nazwisko nad miastem Lizboną, i z szacunkiem składam głęboki ukłon, marquès zaś kłania mi się z chłodną grandezzą jak gdyby to on osobiście zwyciężył olbrzyma Adamastora.

II. Li Hu-Chi stawia na Leonarda Urquidiego

Dziwna to rzecz zetknąć się z Baskami i ich grą akurat w Chinach. Baskowie są kuzynami Etrusków, jedynymi spośród pierwotnych mieszkańców Europy, którzy rpzetrwali do dziś dnia; gdy nasi przodkowie wspinali się jeszcze na drzewa i obrzucali się wzajemnie szyszkami, Baskowie siedzieli już w Biarritz. Stary lud, rosłe postacie, ostrorzeźbione rysy śniadych twarzy i szlachetne ruchy.

Ich gra narodowa nazywa się Hai-Alai. Ostro i wysoko rzuca się piłkę, Hai-Alai, ostro i wysoko chwyta się ją, Hai-Alai, by znów ją rzucić ostro i wysoko. Gracze nazywają się: Tiburcio Irigoyen, Jacinthe Erdoza, Leonardo Urquidi, Rafael Arnacibia itp.

Gdy u siebie w domu, w Pirenejach, rzucają piłkę o kamienną ścianę, ojcowie i synowie ich stoją dokoła placu gry, wszystko fachowcy, wszystko gracze, sami umieją grać i poznają się na dobrej grze.

Tutaj zaś graczy oddziela od tradycji wiele tysięcy kilometrów, linia Barcelona—Szanghaj. Chińczycy zapełniają trybuny i wywoły-

waniem nazwisk dopingują graczy: Iligoyen, Eldoza, Ulquidi, Alancibia, — lecz czym jest dla nich Hai—Alai, czym jest dla nich mistrzowski rzut?

Zawody odbywają się codziennie wieczorem w betonowym graniastosłupie. Betonowe ściany mają sześćdziesiąt metrów długości, dziesięć metrów szerokości, dziesięć metrów wysokości. Jedną tylko ścianę graniastosłupa, tę przed widownią, tworzy sześćdziesięciometrowej długości i dziesięciometrowej wysokości siatka druciana. W klatce produkują się Europejczycy, przed klatką siedzą Azjaci, podnieceni, rozgorączkowani. Gracze mają nałożone na prawe dłonie i przywiązane do przegubów cystery, jasno-żółte łopatki, podobne do wielkich kaczanów. Są one jak gdyby powiększeniem zgiętej dłoni, tak jak rękawica bokserska jest jak gdyby powiększoną pięścią, rakieta tenisowa powiększeniem płaskiej dłoni, floret zaś przedłużeniem ramienia.

Gracz wyrzuca piłkę z cystery tak, by uderzyła o ścianę poprzeczną, oddaloną o czterdzieści-pięćdziesiąt metrów, odskoczyła od niej, przeleciała czterdzieści, pięćdziesiąt, ba, nawet sześćdziesiąt metrów, a więc uderzyła o przeciwległą ścianę i znów odbiła się od niej. Pelota nie jest większa od piłki tenisowej, zrobiona jest jednak z masywnego kauczuku, obciągnięta skórą i waży 125 gramów. Gracze na zmianę łapią ją w łopatkę i w tej samej sekundzie rzucają z rozmachem o ścianę. Jakiej bystrości wzroku, jakiej pewności oka i jakiej siły ręki wymaga chwyt i rzut — to potrafią ocenić tylko nad zatoką Biskajską.

Nad zatoką Biskajską każdy zna się na tej grze, lecz nie każdy zakłada się. Nad morzem Żółtym nie każdy zna się na tej grze, lecz każdy zakłada się. Totalizator jest stale oblężony: przyjmuje stawki i wypłaca wygrane.

Sung Tsu-Wen postawił na Maurica Ichasa. Wang Hai-Tingowi wypłacają ośmiokrotną stawkę za Miquela Escarzagę. Li Hu-Chi po raz piąty postawił dwa dolary srebrne na Leonarda Urquidiego, teraz Li Hu-Chi nie ma już pieniędzy i wychodzi z koncesji francuskiej. Wraca do domu, do miasta chińskiego. Jeżeli ma jeszcze jakąś kosztowność, pod której zastaw jeden ze stu lichwiarzy z jego ulicy da mu dziesięć srebrnych dolarów, wówczas Li Hu-Chi następnego wieczora

przyjdzie tu znów, by pięć razy postawić na Leonarda Urquidiego po dwa dolary srebrne, Hai-Alai.

W mieście chińskim nie można stawiać na grających w piłkę wnuków Iberów ani na charty pędzące za poruszanymi elektrycznością zającami, w mieście chińskim nie ma wyścigów konnych, nie ma bakarata, nie ma rulety. W mieście chińskim można, wytężając myśl, spróbować szczęścia w mah-jongu, poza tym są tam tylko gry hazardowe — nędzne kopie europejskich — przy których nie można w tak wyrafinowany sposób stracić wszystkich swoich pieniędzy.

W mieście chińskim opium jest zabronione, miasto francuskie ma trzysta spelunek opiumowych i przynajmniej tyleż klubów gry co settlement międzynarodowy. Kluby gry dla wszystkich klas społecznych. Właścicielami są cudzoziemcy. Za paserstwo, stręczenie do nierządu, handel narkotykami i wciąganie do gry hazardowej odpowiadają przed sądami swojej rasy i klasy. Kodeks prawny i moralny tych sądów traktuje przestępstwa te, o ile zostały popełnione w Chinach, nie jako przestępstwa, lecz jako interesy kolonialne; kryterium stanowi jedynie wysokość zarobku.

Woń trupów unosi się w Tszapei i Wusungu, tlą się zgliszcza zasypanych bombami lub podpalonych domów mieszkalnych, uniwersytetów, bibliotek i drukarń, ranni jęczą w szpitalach Szanghaju, japońscy oficerowie smagają szpicrutą po twarzy Chińczyków, którzy nie ustępują im pokornie na ulicach z drogi, nowe rowy strzeleckie przecinają ulice i place — lecz nadal wielkie, kuszące, codziennie nowe plakaty cudzoziemców wzywają Chińczyków na zawody piłkarskie Basków i na wyścigi australijskich chartów. Chińczycy, zejdźcie na psy!

CHIŃSKIE CIENIE

(oczywiście, w Pekinie, w stolicy kolonialnej bowiem, w Szanghaju, nie widzi się nic podobnego)

Zaangażowani na dzisiejszy wieczór aktorzy zainstalowali na podwórzu swą jednopłaszczyznową scenę i czekają, aż słońce zajdzie. Wtedy rozpoczyna się przedstawienie.

Widzowie siedzą, patrzą i toną w zachwycie. Chińska część publiczności składa się z bladego księżyca, policjantów z całej dzielnicy, którzy zeszli ze swych posterunków, by zobaczyć przedstawienie, kulisów domu, pana domu i pani domu. Oklaskują ten lub ów fragment dialogu, śmieją się z tej lub owej uwagi, podczas gdy nie znający chińskiego Europejczyk musi się ograniczyć do przyglądania się i rozmyślania, dlaczego Zachód nie stworzył czegoś równie pięknego, dlaczego nie pokusił się nawet o naśladowanie tej czarującej gry barwnych cieni.

Czasu wszak było dość, odkąd... No, tego, oczywiście, tak dokładnie nie wiemy, kiedy pojawiły się chińskie sylwetki sceniczne. O tym mówią tylko legendy, które są tak dziecinnie fantastyczne jak sama gra cieni. Pierwsze podanie głosi, że niejaki Jen-Szi, z zawodu złotnik, pierwszy zademonstrował ten zaczarowany teatr na dworze cesarza Wu (1001—974 przed nar. Chr.). Damy haremu, oczarowane urokiem postaci i rycerskim obejściem bohatera, wciąż domagały się jego występów, aż wreszcie cesarz Wu, trawiony zazdrością, z roziskrzonymi gniewem oczyma, zerwał się i kazał ściąć bohatera. Wtedy Jen-Szi zaprowadził władcę za kulisy i pokazał mu, że jego domniemany rywal nie jest człowiekiem z krwi i ciała, lecz po-

malowanym wycinkiem oślej skóry. Cesarz przyjrzał mu się ze zdumieniem i uspokoił się, lecz rozkaz, rozkaz cesarza nie mógł być cofnięty. I po kilku minutach bohater znów ukazał się na scenie. Kat zbliżył się do niego i ściął mu głowę, tak jak rozkazał cesarz. Damy dworu dostały spazmów i płakały jeszcze wiele, wiele dni i wiele nocy nad okrutną śmiercią pięknego rycerza.

Według innego podania, ten barwny film dźwiękowy wynalazł wyznawca taoizmu, mnich Szao-Weng. Gdy cesarz Wu-Ti (140—86 przed nar. Chr.) po śmierci swej ukochanej nałożnicy postradał niemal zmysły i stracił ochotę do życia, Szao-Weng zaofiarował się wskrzesić jej postać. I rzeczywiście, przyprowadził piękną kochankę przed oblicze króla, który ledwo nie oszalał ze szczęścia, że znów może ją widzieć i słyszeć. Co wieczór zjawiała się przed cesarzem zmarła przyjaciółka, przemawiała doń serdecznie i czule, i wskrzeszała wspomnienia owych niedawnych upojnych dni miłości. (Dworacy, zainteresowani w uprzyjemnieniu życia swemu władcy, dostarczali Szao-Wengowi materiału do jego libret).

Pewnej księżycowej nocy Szao-Weng doprowadził grę swej aktorki do takiej ekstazy miłosnej, że Wu-Ti, uniesiony niepohamowanym pragnieniem przytulenia do serca swej ukochanej, zapomniał o przestrogach dworskich astrologów i wtargnął za scenę. I oto ujrzał — ujrzał — że wszystko to było tylko złudą. Oszalały z bólu podarł na strzępy konterfekt ukochanej, i Szao-Weng, który był reżyserem, inscenizatorem, aktorką i operatorem w jednej osobie, musiał to swoje poczwórne przestępstwo okupić haniebną śmiercią z ręki kata.

„...ponieważ schlebiał gustom publiczności", zauważa osiadły w Chinach liryk, gdy opowiadamy mu tę legendę.

„...ponieważ puścił wodze swemu temperamentowi artystycznemu", wtrąca oschle historyk sztuki, który zamiast chudą docenturą prywatną w Niemczech, zajął się tłustym handlem fałszywymi antykami w Chinach.

My jednak nie zabierzemy głosu w tym sporze, lecz opowiemy trzecią legendę.

Było to w czasach dynastii Hanów, stolica Ping-Tszang była oblegana przez księcia Mongołów — Mao-Fina. Księciu towarzyszyła jego żądna władzy, wojownicza i zazdrosna małżonka. W oblężonym mieś-

cie panował głód. Wystrzelono już wszystkie strzały i rzucono wszystkie głownie, dni Ping-Tszengu były już policzone, a to oznaczało męczeńską śmierć oblężonych, a przede wszystkim pary cesarskiej.

I oto cesarzowa wpadła na pomysł — znała ona dobrze charakter swej przeciwniczki — zaimprowizowania na murze miejskim gry cieni, akurat naprzeciw namiotu księcia Mongołów. Na płótnie ukazywały się powabne, spragnione rozkoszy postacie dziewczęce i ubiegały się o miłość dzikich wojowników.

Cesarzowa nie zawiodła się w swych przewidywaniach: mongolska księżniczka widziała, jak wdzięczą się piękne zalotnice.... widziała swego małżonka koło siebie... wiedziała, że nie oprze się on takiej pokusie i zdradzi ją, swą prawowitą małżonkę... i wnet wydała rozkaz przerwania oblężenia... Na czele armii ruszyła w drogę powrotną; małżonek powlókł się za nią, dręczony niezaspokojoną tęsknotą.

Te trzy legendy wcale nie wydają się naiwne temu, kto choć raz przeżył grę chińskich cieni. Te przezroczyste płaty skóry zwierzęcej poruszają się z niezwykłą wyrazistością, każdy członek zdaje się posiadać własne stawy i muskuły, każde wypowiedziane słowo jest tak organicznie związane z ruchem ust, głowy i ciała, że zaiste nie musi się być oszalałym z zazdrości cesarzem Wu, oszalałym z rozpaczy cesarzem Wu-Ti ani również oszalałą z zazdrości księżniczką Mongołów, by ulec złudzeniu, że ma się przed sobą żywych ludzi.

Jeżeli nie dajemy się zwieść pozorom, jak Wu, Wu-Ti i Mongołka, to nie wskutek niedociągnięć w grze aktorów, lecz przeciwnie, wskutek niezwykłego kunsztu ich gry. Te strzępy skóry zwierzęcej mogą zdziałać nie mniej niż ludzie, raczej mogą one więcej niż ludzie, i to właśnie tylko budzi w widzu wątpliwość czy są to istoty realne. Widzimy na przykład, jak człowiek przeobraża się w smoka. Dobrze, to może się zdarzyć w rzeczywistym życiu. Ale powiedzcie sami czy w rzeczywistym życiu człowiek, przeobrażony przed chwilą w smoka, potrafi w oka mgnieniu nauczyć się tak mistrzowsko zionąć ogniem, unosić się w powietrzu i połykać ludzi jak jego konterfekt na scenie cieni?

Dopóki cień rezygnuje z takich wycieczek w nadziemskie krainy, dopóki występuje jako człowiek, dopóty nie można dopatrzyć się w nim ani żadnych podejrzanych zdolności, ani w ogóle niczego nie-

naturalnego. Tak właśnie, a nie inaczej, wspinają się dwie mniszki na wzgórze. Tak, a nie inaczej, schyla się przed gośćmi w ukłonie poczciwy sługa starego pustelnika z góry. Tak, a nie inaczej, otwierają się wrota świątyni. Tak, a nie inaczej, rozwija się zazwyczaj rozmowa pomiędzy pobożnym pustelnikiem a dwiema mniszkami, które w istocie wcale nie są mniszkami, lecz furiami w ludzkim ciele.

Naturalni są nie tylko ludzie na ziemi i duchy w przestworzach, naturalne są również przedmioty. Co za dekoracje! Nie jak na chińskiej scenie żywych aktorów — tam las nie różni się od miasta, ciemnica od sali tronowej, i widz tylko ze słów i gestów może się domyśleć, gdzie rozgrywa się akcja.

Tutaj inaczej. Od razu, zanim jeszcze ukazały się wycięte nożyczkami postaci, świat, który przedstawiają dekoracje, był już stworzony. Na prawo stał dom, na dole rzeka toczyła spokojnie swe błękitne fale, na lewo wznosiła się brunatna skała, a na jej szczycie można było rozpoznać miniaturę czarno-czerwonego domku pustelnika: domek ten ujrzymy w drugim akcie w jego naturalnej wielkości.

Powiewające rękawy, drgające pióra, wzniesiony miecz księcia, kwiaty we włosach, przybranie sukni, koturny księżniczki mandżurskiej, kudłata broda, ozdobiony szlachetnymi kamieniami pas i zielone pomponiki mandaryna, drzewa wśród pól, ptaki na gałęziach, węże wśród głazów — sama natura nie ukształtowałaby tego lepiej.

Nie tylko ziemia tętni życiem, także w drugim wymiarze panuje ożywiony ruch, niebo przesłaniają latające rydwany z muszel i różni alegoryczni mieszkańcy przestworzy. Wszystko porusza się w harmonijnej konstelacji, i zdanie trzech legendarnych książąt, że kukły są żywymi istotami lub nadziemskimi zjawiskami, wydaje się bliższe prawdy niż trzeźwa rzeczywistość: jeden człowiek obdarza życiem i mową całe to zaludnione planetarium.

Że tak właśnie jest, dowiedzieliśmy się wśród wrzawy bitewnej. Wywijając mieczami nacierały na siebie wrogie armie, oszczepy przeszywały powietrze, słupy ognia strzelały w niebo, wódz barbarzyńców padł wraz z koniem, rozrąbany mieczem — wszystko to działo się jednocześnie. Jak niegdyś cesarz Wu-Ti zerwałem się z krzesła i wtargnąłem za scenę, chciałem zobaczyć, jaka to wyrafinowana aparatura wprawia to wszystko w ruch.

Ujrzałem jednego tylko człowieka, ubogo odzianego Chińczyka siedzącego przy lampie naftowej. W obu rękach trzymał bambusowe laseczki, połączone trzema drutami z poruszającą się w danej chwili postacią. Postacie były maleńkie, substancję ich stanowiła spreparowana aż do przezroczystości ośla skóra, pomalowana z obu stron farbą lub pokostem. Ramię, przedramię, udo, łydka, tułów i głowa: oddzielne części, połączone zawiasami, zdolne do samodzielnych ruchów.

Trzy druty przyczepione są do szyi (ściślej mówiąc, do przedniej spinki kołnierzyka) i do obu rąk figurki. Niektóre postacie, jak na przykład rozrąbany na pół wódz armii, były zestawione w szczególny sposób, niektóre, jak na przykład zwierzęta, inaczej przymocowane do drutów.

Wszystkie te postacie siedzący przy lampie naftowej Chińczyk budził do pełnego temperamentu życia poruszając z niezwykłą zręcznością to jednym z drutów, to znów jedną lub obydwiema laseczkami. Gdy któraś z figur powinna była odwrócić się, odwracał ją po prostu ręką, którą trzymał na wysokości lampy, by widz nie mógł jej zobaczyć.

Pozorna jednoczesność ruchów czterech, pięciu postaci, ba, nawet całych armii, jest skutkiem zręczności mistrza. Jeszcze nie zamarł ruch wojownika, który przed chwilą rzucił oszczepem, jeszcze wibruje jego muskulatura, a już nieprawdopodobnie zwinna ręka mistrza odstawiła go na bok i chwyciła inną figurkę.

Przy tym rola sztukmistrza nie ogranicza się jedynie do manipulowania drutami, mówi on za wszystkich członków swego zespołu, śpiewa za poruszane przez siebie figurki; tylko przy scenach zbiorowych pomagają mu okrzykami trzej siedzący koło niego muzykanci, którzy znają sztukę na pamięć. Orkiestra ta jest stosunkowo wielka, jeśli się weźmie pod uwagę, że setki figurek wprawia w ruch tylko jeden człowiek. Ale i trzej muzykanci mają dosyć roboty, skrzeczący dźwięk chińskich skrzypiec, przejmujący jęk okrągłej lutni i twarde uderzenia gongu przez cały czas towarzyszą akcji.

W drugiej sztuce, odegranej tego wieczoru, gaj bambusowy ma stać się pastwą płomieni. Wspaniały jest ten pożar lasu, aż nadto

wspaniały, gdyż arkusz papieru, który służy jako płaszczyzna projekcyjna (jeżeli mówiliśmy wpierw o płótnie, to tylko przez analogię z ekranem filmowym), zajął się ogniem. Nie przerywając przedstawienia Chińczyk zalepił dziurę kawałkiem papieru.

Nazywa się on Bai Ji-Cho. Gdy odegrał sztukę czarodziejską, sztukę wojenną i burleskę jarmarczną, i przedstawienie skończyło się, nawiązałem z nim rozmowę. Orkiestra spakowała instrumenty i zwinęła scenę. Bai Ji-Cho włożył każdą z dwustu postaci scenicznych do oddzielnej koperty, a każdą kopertę do odpowiedniej przegródki wielkiej skrzyni, urządzonej jak kufer-szafa. Blady księżyc przyświecał mu przy tej pracy.

Bai Ji-Cho trudni się zawodem swych przodków. Od niepamiętnych czasów rodzina jego żyła z Yin-Chi, teatru cieni. On sam nauczył się sztuk od swego ojca, nie są one spisane, ale każdy prawie teatr cieni wypełnia swój repertuar tymi samymi dramatami, tymi samymi postaciami, tym samym dialogiem.

Czy wiele jeszcze istnieje takich teatrów? Przed kilku laty było ich jeszcze w Pekinie przeszło 120, posiadały swoje stałe miejsca na ożywionych ulicach. Teraz Bai Ji-Cho ma tylko dwóch konkurentów, a publicznych przedstawień w ogóle już się nie urządza. Gra się tylko w domach prywatnych na specjalne zamówienie.

Ze śmiercią Bai Ji-Cho skończy się i ten teatr, syn jego bowiem jest boyem w międzynarodowym hotelu i nie uczy się sztuk. Podobnie ma się sprawa z pozostałymi dwoma teatrami cieni.

Czym to wytłumaczyć, że z dwustu teatrów pozostały tylko trzy? Turyści amerykańscy i handlarze kuriozów wykupili wszystkie figurki. Właściciele teatrzyków cieszyli się widząc na raz takie stosy dolarów..., teraz siedzą na rogach ulic jako opowiadacze baśni i recytują stare sztuki — bez muzyki i bez figurek.

Bai Ji-Cho schował ostatnią figurkę i zamknął kufer. Odchodzi ze swym zaczarowanym teatrem cieni, po którym niebawem nie pozostanie już ani śladu.

Podczas całego wieczoru nie wpadło mi na myśl, że również na tę wesołą zabawę rzucają swój cień pieniądze i snobizm cudzoziemskich władców kolonii, że odkupili oni od Chin, od tego żółtego Piotra Schlemihla, nawet ich cień. Ich piękny, barwny, ruchomy cień.

INTRATNY PROCEDER

— Daj mi pan spokój z Ligą Narodów i polityką, i prawem międzynarodowym, na to nikt mnie nie nabierze. A cała ta geografia to też tylko jedno wielkie zawracanie głowy.

Jakżeż to tak, panie Zunder?

— Niechże mi pan powie uczciwie, co to znaczy: Anglia, Ameryka, Francja, Niemcy i tak dalej? Przecież to wszystko, to tylko puste słowa! W rzeczywistości świat jest podzielony na sfery interesów fabryk broni. Trzeba by pokazywać na mapie: to należy do koncernu Schneider-Creuzot, to należy do Kruppa-Essen — chciałem powiedzieć Bofors-Szwecja, to należy do koncernu Dupont-Nemours, a to do koncernu Vickers-Armstrong. Wtedy każdy by rozumiał, o co wszędzie toczy się gra.

A Szanghaj, panie Zunder? Do kogo należy według pańskiej geografii Szanghaj?

— Szanghaj, to jeden wielki bałagan. Gdyby tu była reprezentowana tylko jedna fabryka, a nie sto, wtedy byłoby zupełnie inaczej.

A jaką fabrykę zaproponowałby pan, panie Zunder?

— No jasne — oczywiście koncern, dla którego pracuję. Inny nie wchodzi w ogóle w rachubę.

Czyż można się dziwić, że pan Zunder pracuje dla koncernu zbrojeniowego? W Szanghaju każdy eksporter i każdy importer trudni się handlem bronią. Handel bronią jest zarówno pod względem politycznym jak i gospodarczym decydującym czynnikiem, chociaż daremnie wertowałoby się całą literaturę o Chinach chcąc znaleźć choćby jedno jedyne słówko na ten temat. Nie mówi się o tym głośno, chyba

że zainteresowane w tym handlu osoby są w swoim ścisłym kółku albo też w towarzystwie kogoś, kto — jak przypuszczają — może udzielić zamówień na dostawy.

Ci, którzy odgrywają rolę „Old Chinahands", osiadłych z dziada pradziada, wzdychają nad niezaprzeczonym faktem, że dawne czasy minęły. Poza tym skarżą się na niepoważnych outsiderów.

— Widzi pan, dawniej eksporter osobiście pilnował swego transportu aż do chwili przekazania go odbiorcy. Wtedy władze, inspektorzy i urzędnicy celni traktowali go zupełnie inaczej niż dziś jakiegoś tam urzędnika okrętowego. Pamięta pan może starego Holfelda? Ten podczas wojny rosyjsko-japońskiej potrafił przedostać się przez każdą blokadę. Raz jednak odebrali mu fracht, wówczas zwrócił się do samego Trybunału Rozjemczego w Hadze i sprawę swoją wygrał. A dzisiaj? Cóż za interes ma personel okrętowy w tym, by aż tak troszczyć się o towar?

Niektórzy narzekają, że w dzisiejszych czasach nie dość się zarabia, chociaż w istocie zarabia się jeszcze wcale dobrze; narzekają, że zmieniły się zwyczaje kupieckie, chociaż w istocie zwyczaje wcale się nie zmieniły.

— Tak, dawniej, dawniej za zamówienie płacono z góry, a wtedy okręt lądował przymusowo w umówionym miejscu, gdzie mógł „napaść" nań wróg nabywcy. Wróg zabierał broń i płacił za nią — tyle, ile uprzednio umówiono. Dzisiaj Chińczycy chcą, by im wszystko dostawiano c. i. f., te draby zupełnie się już zdemoralizowały, już wielki czas zrobić tu z nimi porządek.

Pan Zunder twierdzi, że obcy agitatorzy dostarczali kantończykom broni.

— Niech mi pan wierzy, robili to tylko po to, by wesprzeć rewolucję. Nikomu nie dali przy tym zarobić i sami też nic nie zarobili. Czy to kto słyszał, żeby dostarczano broni nic na tym nie zarabiając...?

Nie, tego jeszcze nikt nie słyszał.

*

Jak już powiedziano, broń od dawna jest na rynku szanghajskim wielce poszukiwanym towarem. Już Portugalczycy, którzy przybyli

tu właściwie po to, by sprzedawać srebro, sprzedawali ołów i proch, Chińczycy bowiem woleli kupować ołów i proch, gdyż wiedzieli, że mając je zawsze można odebrać z powrotem srebro. Portugalczycy, pobożni katolicy, żądali za dobry moździerz, poza określonymi ilościami herbaty, jedwabiu i porcelany, nie mniej niż 1 200 sztuk pogan dla nawrócenia na chrześcijaństwo. W muzeum wojennym, na wzgórzu Kudan w Tokio, można oglądać stare chrześcijańskie armaty z krucyfiksami i pobożnymi łacińskimi aforyzmami oraz datą: „fecit a. d. 1550" — z Japończyków i Chińczyków, których za te armaty nawracano na chrześcijaństwo, nie pozostało dzisiaj w muzeach ani śladu. A chrzest jako środek płatniczy w handlu bronią przez stulecia zachował swą wartość. Podczas powstania Tajpingów marszałek Lin A-Fu wraz z 3 000 ludzi przeszedł za cenę dostarczenia armat na katolicyzm, a dwaj inni przywódcy powstańców, Li Je-U i Tsen A-Lin, proklamowali odmianę wyznania chrześcijańskiego, za co misjonarze dostarczyli im karabinów. Później, co prawda, ci nowi chrześcijanie zostali przez Europejczyków zdradzeni i rozgromieni przez bandę angielskich i amerykańskich kryminalistów („the ever victorious army"). współdziałających z wojskami pogańskiej dynastii mandżurskiej.

*

Rzecznicy obecnego panowania nad Chinami powołują się na Szanghaj: To my na błotach i moczarach zbudowaliśmy nad Wangpoo wielkie, wspaniałe miasto, i świadczy to tylko o niższości rasowej Chińczyków, że nie okazują nam za to wdzięczności.

Jak gdyby bez dyktatury obcych wynalazek okrętu parowego i kolei żelaznej nie mógł dotrzeć do Chin! Jak gdyby tylko w Chinach nie rozwinął się przemysł! Jak gdyby imperializm nie rozciągnął swego błogosławieństwa tylko na chiński rynek! Jak gdyby tylko japońskie miasta nadmorskie mogły bez pomocy obcych mocarstw wyrosnąć na emporie handlowe, ale nie olbrzymie państwo chińskie! Jak gdyby niegdyś rzekomo błotnisty zakątek nie był doliną ujścia „Cesarza rzek", tysiącmilowej, spławnej, jedynej drogi do jednej dziesiątej części ludzkości! Jak gdyby tu w czasach żeglugi parowej bez względu na okoliczności nie musiał powstać światowy port!

Czy może lud chiński ma być wdzięczny za drapacze chmur i wille, które wybudowali sobie cudzoziemcy za jego pieniądze i jego krwią, w których cieniu Chińczycy o głodzie żyją i z głodu umierają? Czy mają może Chińczycy błogosławić gmachy banków, do których wpłacają kontrybucje za powstanie bokserów i inne daniny? Żądajcie od skazańca, by chwalił solidność szubienicy, na której go powieszą. Zaprowadźcie ostatniego Indianina z Manhattan, ostatniego z wypędzonego przez obcych, wymordowanego, wytępionego ludu, do miasta New-York i żądajcie, by wyraził podziw i uznanie dla morderców swej ojczyzny.

Amerykańscy jankesi wypędzili rdzenną ludność Ameryki, wymordowali ją i wytępili. Azjatyccy jankesi pozostawili rdzenną ludność Chin przy życiu, by wyciskać z niej koncesje, kontrybucje i odszkodowania, tworzyć z niej konsumentów opium i morfiny, obiekty korupcji i prostytucji, robić z niej zwierzęta pociągowe, domowe i robocze, dzieci jej stawiać przy maszynach przędzalniczych i rugować ją z ziemi. W walkach wewnętrznych, w wojnach domowych obcy zawsze popierali tybulczych ciemiężców, za grube pieniądze dostarczywszy uprzednio broni obydwu stronom.

Zarabiano bronią i na broni. Muza Klio pisząc dzieje szanghajskich dzielnic cudzoziemskich może się ograniczyć do księgowania zamówień.

Pierwszego dnia swego pobytu w nowym porcie traktatowym Szanghaju, Pierwszy Konsul Francji załatwia swoją pierwszą sprawę konsularną: francuski kupiec J. Aroné z firmy „Bac, Aroné et Cie" chciał w grudniu 1848 roku zdeponować w jednym z hoteli szanghajskich swój towar, 200 skrzyń z nabojami do strzelb i prochem dla celów wojennych, a że hotelarz nie chciał się na to zgodzić, stała się konieczna interwencja przybyłego właśnie tego dnia pana de Montigny, konsula Francji.

Działo się to jeszcze w settlemencie brytyjskim, wkrótce jednak dzięki zakupieniu większego terenu przez Francuza D. Rémiego utworzona została koncesja francuska. Monsieur Rémi, w pewnej mierze założyciel koncesji francuskiej, przemycał broń. Ten swój proceder mógł prowadzić w większych znacznie rozmiarach, gdy został zięciem konsula i przybrał nazwisko de Rémi-Montigny. Przemytem broni

trudnili się również konsulowie amerykańscy. „Mister Griswold, konsul Ameryki, uprawia przemyt broni", gwałtownymi słowy skarży się francuskiemu ministerstwu spraw zagranicznych teść przemytnika broni, Rémiego. Na skutek tej skargi Francja zwraca się do Ameryki z żądaniem odwołania Griswolda. Następcą jego zostaje mister Cunningham, który w charakterze konsula amerykańskiego podczas powstania Tajpingów służy radą i czynem przedstawicielowi cesarza, natomiast w charakterze szefa domu handlowego „Russel & Cie" sprzedaje powstańcom broń i całe okręty wojenne.

Tego rodzaju podwójna gra jest czymś niesłychanym — oburza się monsieur Edan, zastępca Montigny'ego, w swym raporcie do centrali paryskiej, podczas gdy monsieur Rémi-Montigny dostarcza armat w partiach po 500 sztuk zarówno Tao-Tajowi jak i przywódcom rebeliantów.

W ogóle okres powstania Tajpingów jest okresem, kiedy biali z eksportu opium do Chin przerzucają się na eksport broni. Podczas oblężenia Szanghaju (wrzesień 1853 roku) pociski, sprzedane przez pana Rémi-Montigny'ego Tajpingom, padają na jego własny ogród, wybuchają przed portalem konsulatu i demolują katedrę. Niemniej realnie obsługiwani są przez handlarzy broni oblężeni — lepiej robić interesy z obydwoma przeciwnikami niż z żadnym.

Na redzie Szanghaju zarzucają kotwice okręty z czterema rodzajami ładunków: „Futerały do biblii", „Pianina", „Parasole" i „Wyroby szklane". Futerały do biblii — to rewolwery, pianina — armaty, parasole — to strzelby, a wyroby szklane — naboje.

Hrabia de Salaberry założył osobliwe przedsiębiorstwo: ekwipuje on uzbrojone okręty towarzyszące rzecznym transportom kupców chińskich. Sam jeździ z transportami broni dla Tajpingów do Ningpoo i bierze tyle pieniędzy, że pewnego pięknego dnia czerwcowego 1861 roku zostaje zamordowany na pokładzie i ograbiony przez swych dwóch włoskich marynarzy.

W rok później cudzoziemcy, biorący po stronie wojsk cesarskich czynny udział w walkach o odzyskanie miasta i twierdzy Ningpoo, padają ofiarami masowej rzezi. Generał Staveley stwierdza przy tym to, co stwierdzono podczas wojny światowej i co się będzie stwierdzać

podczas niejednej jeszcze wojny: „Te dotkliwe straty, które ponieśli europejscy sprzymierzeńcy, należy przypisać temu, że Tajpingowie byli świetnie uzbrojeni w europejską broń".

— Ludzie musieli wtedy ładnie zarobić.

I ja tak myślę, panie Zunder.

*

Państwa, pomiędzy które pan Zunder dzieli świat, mają swoje przedstawicielstwa w Szanghaju, w Pekinie, w Nankinie, wszędzie. Gdyż wszędzie toczą się wojny generalskie, wszędzie potrzebna jest broń.

Vickers-Armstrong przoduje, ponieważ Anglia w ogóle przoduje. To swoje przodujące stanowisko zdobyła ona wojnami opiumowymi i umocniła je przejmując swego czasu kontrolę nad urzędem celnym, przez co łatwiej było uzyskać pozwolenie „to pas" na wyładowywanie towarów angielskich niż innych.

Lecz wielkie mocarstwo Schneider-Creuzot (na jego tabliczce w gmachu towarzystwa Great Northern brak zdradzieckiego słowa „Creuzot") robi Anglikom konkurencję; poseł tego mocarstwa, monsieur Marchand, wydaje dyrektywy posłowi lennego państwa Skody, panu Horze, który rezyduje w Szanghaju i ze swej strony dyryguje rezydującym w Pekinie konsulem fabryki broni w Brnie, panem Laurentem. Ci przedstawiciele przemysłu wojennego pozostają w ścisłym kontakcie z dyplomacją oficjalną.

Gdy hrabia de Martel — potomek Karola Wielkiego! — był jeszcze posłem Francji w Pekinie, polecił swemu szwagrowi Bardaque'owi, dyrektorowi Banque de l'Industrie, rezydującemu również w dzielnicy dyplomatycznej, finansować dostawy broni dla protegowanych przez siebie generałów chińskich. Następnego dnia po zawieszeniu broni w roku 1918 hrabina de Martel, małżonka posła i siostra dyrektora banku, splądrowała na czele pijanych marynarzy francuskich gmach Banku Niemiecko-Azjatyckiego, którego konkurencja od dawna już dotkliwie dawała się jej bratu we znaki. Jak opowiadają bezstronni świadkowie, Jej Ekscelencja zachowywała się tak brutalnie i ordynarnie, jak rzadko kiedy zachowuje się kobieta. Hrabia de Martel jest obecnie ambasadorem w Tokio, a jego szwagier

wciąż jeszcze reprezentuje przemysł wojenny w pekińskiej dzielnicy dyplomatycznej.

Chiny często zaciągały pożyczki zagraniczne, rzadko jednak otrzymywały przy tym pieniądze. Nie można przecież dawać Chińczykom pieniędzy do ręki, nieprawdaż? Jeżeli zamiast pieniędzy chcą otrzymać na przykład broń — proszę bardzo. Dwa wielkie banki wiedeńskie, Niederösterreichische Escompte-Gesellschaft i Österreichische Boden-Kreditanstalt trzykrotnie udzieliły Chinom przed wojną światową pożyczek, pod warunkiem, że pożyczki te zostaną przeznaczone na kupno krążownika liniowego w zakładach Cantiere Navala Triestino i uzbrojenie go w zakładach Skody w Pilznie.

Angielskie firmy eksportowe w Szanghaju dostarczają czołgów i blachy pancernej, francuskie — dział, czechosłowackie — karabinów maszynowych, norweskie — materiałów wybuchowych, belgijskie — rewolwerów, szwedzkie — reflektorów, niemieckie — gazów trujących, amerykańskie — bawełny strzelniczej i nitratu, wszystko to oficjalnie.

Nieoficjalny handel bronią jest zakrojony na skalę co najmniej równie szeroką i często przynosi jeszcze większe zyski. Można taniej skupować sprzęt wojenny, zwłaszcza stary, z demobilu, w którego kalkulacji nie bierze się pod uwagę kosztów produkcji, no i transakcje pozostają w tajemnicy.

— O tyle, o ile, oczywiście.

Rozumiem, panie Zunder.

*

Po wojnie światowej inwentarz wojenny został rzucony na rynek. Zaofiarowanie było tak wielkie, że ceny spadały z zawrotną szybkością. Przedstawiciele koncernów wojennych byli zagrożeni w swej egzystencji, narastały konflikty polityczne i handlowe. A że każdy transport broni, bez względu na to czy był dostarczony północno-chińskiemu, czy też południowo-chińskiemu generałowi, w końcu zawsze dostawał się w ręce rewolucjonistów, na których stronę przechodzili żołnierze, przedstawicielstwa mocarstw poczuły się nieswojo. Któż mógł zaręczyć, że kantończycy poprzestaną na walce z rodzimą burżuazją, z armiami chińskich bankierów i generałów, któż mógł zaręczyć, że wojna domowa nie zagrozi pewnego

dnia również panowaniu cudzoziemców i ich świętym, przez nich samych ustanowionym, prawom nietykalności...? Każdy karabin, każdy nabój w ręku Chińczyka wzmagał niebezpieczeństwo.

W roku 1919 z inicjatywy posła amerykańskiego w Pekinie wielkie mocarstwa podpisały umowę, w której zobowiązały się „zabronić swym obywatelom wywozu do Chin broni i amunicji oraz materiału służącego do wyrobu ich, do chwili ustanowienia trwałego rządu całych Chin". Do tego „Arms-Embargo-Agreement" przystąpiły później Włochy, Holandia, Dania i Belgia — Niemcy zostały wyłączone, ponieważ wtedy uchodziły jeszcze za ojczyznę Hunnów i dlatego nie chciano zawierać z nimi umów.

Lecz przemycony i nieprzemycony inwentarz wojny światowej nigdzie nie święcił radośniej swego zmartwychwstania jak na wielkiej arenie wojny domowej — w Chinach. Czy ta umowa, wprowadzająca zakaz handlu bronią, nie zahamowała tak pomyślnego rozwoju użytkowania sprzętu wojennego z demobilu? Zahamowała? Dlaczegoż by? Gentlemeni umieją odpowiednio interpretować gentlemen-agreement. Gdy na przykład armia marszałka Wu Pei-Fu została zaopatrzona w brytyjskie hełmy stalowe, Anglicy oświadczyli z niewzruszonym spokojem, że hełmy te zostały sprzedane Chińczykom tylko dla celów dekoracyjnych.

Vickers-Armstrong dostarczył 140 samolotów do Pekinu. Dostarczył ich dla celów cywilnych, cóż jest winna firma Vickers-Armstrong, że samoloty zostały przejęte przez armię?

Japończycy zaopatrywali Czangtsolina w działa polowe, moździerze i pociski. Podczas pewnego procesu sądowego w Szanghaju stwierdzono, że najwyższy funkcjonariusz settlementu międzynarodowego, Amerykanin Fessenden był agentem pośredniczącym w dostawach broni dla Czangtsolina.

Oczywiście, nie było to przyjemne, gdy nabierały rozgłosu sprawy, które laik, tzn. nie handlujący bronią, mógł uważać za sprzeczne z umową. Dla uniknięcia tego rodzaju nieporozumień wysunięto Niemców. Nie podpisali przecież umowy zakazującej przywozu broni. Wwozili broń przeważnie przez Tsingtao i sprzedawali ją w Tsinanfu. Statystyki celne za rok 1924 wykazują, że udział obywateli nie-

mieckich w oficjalnym handlu bronią wynosił 32 procent; statystyki dotyczącej handlu nieoficjalnego nie ma.

— Rozumie pan? Ci, których wyłączono z umowy w sprawie handlu bronią, przejmują kierownicwo nad tym handlem.

Widzi pan, panie Zunder, to jednak dobrze, że w Szanghaju jest taki bałagan.

— No tak, prosit!

*

Byłoby błędem sądzić, że wyłączeni dostawcy broni i innych narodowości biernie tolerują konkurencję niemiecką. Niemcom odmówiono przecież w Spaa i w Genewie prawa produkowania i sprzedawania broni.

Występuje się więc przeciw Niemcom. Początkowo stosuje się broń lekkiego kalibru. Taką bronią jest na przykład amerykańska agencja telegraficzna United Press. Donosi ona 3 stycznia 1928 roku, że w Tsingtao zostały zarekwirowane wagony kolejowe w celu przewiezienia transportów broni, dostarczonych przez Niemcy dla generała Sun Czuan-Fanga. Prasa niemiecka odpowiada na to komentarzem:

> „Tego rodzaju wiadomość, podana przez poważną agencję, musi wywołać zdziwienie. Hamburskie zjednoczenie niemieckich firm prowadzących handel z Chinami, jak wiadomo, oświadczyło wyraźnie i kategorycznie, że jego członkowie skupiający w swych rękach cały niemiecki handel z Chinami, nie zajmują się handlem bronią w Chinach. Jest też rzeczą wykluczoną, by te same firmy, które ze względu na dalszy rozwój swych stosunków handlowych z Chinami zainteresowane są w jak najszybszym zlikwidowaniu panującego w Chinach zamętu, podsycały ten zamęt przez dostarczanie broni".

W tydzień później pada drugi strzał, tym razem już z broni cięższego kalibru. Reuter, urzędowa brytyjska agencja telegraficzna, komunikuje z Tsingtao, że przybył tam norweski parowiec z Hamburga z transportem 7 000 niemieckich karabinów, 10 karabinów maszynowych Thompsona i odpowiednią ilością amunicji; poza tym kil-

ka dni przedtem niemiecki parowiec wyładował w Tsingtao karabiny maszynowe i działa polowe. Obydwa ładunki okrętowe są przeznaczone dla armii północnej. Odpowiedź Niemiec:

„Komunikat ten budzi bardzo poważne zastrzeżenia, zwłaszcza wobec znanego oświadczenia armatorów niemieckich, że nie przewożą oni broni na swoich okrętach".

Teraz daje ognia działo najcięższego kalibru, minister spraw zagranicznych rządu nankińskiego, dr. Wu. Żąda on sekwestru norweskiego parowca „Skule", który przywiózł jeden z ostatnich niemieckich transportów broni do Chin, i zapowiada, że, po stwierdzeniu prawdziwości danych o niemieckich dostawach broni dla Czangtsolina i innych generałów, ukarze wszystkie zaangażowane w tym firmy niemieckie w Chinach. Rząd nankiński dowiedział się, że rząd pekiński wyasygnował pięć milionów dolarów na zakupienie w Niemczech broni i amunicji, którą polecił firmom niemieckim w Tientsinie, Tsinanfu i Tsingtao sprowadzić do Chin północnych. Ładunek norweskiego parowca „Skule" został właśnie na skutek tego zlecenia sprowadzony przez jedną z firm niemieckich w Chinach i przez jej agentów dostarczony przedstawicielom Czangtsolina.

Poseł komunistyczny Stöcker, przemawiając w dniu 24 stycznia 1928 roku w komisji budżetowej Reichstagu, odczytuje oświadczenie d-ra Wu. Minister spraw zagranicznych Rzeszy, dr. Stresemann, odpowiada na niektóre wywody Stöckera, lecz na oświadczenie swego chińskiego kolegi po fachu, dotyczące niemieckiego handlu z Azją Wschodnią, nie reaguje ani słowem. Nie wierzy po prostu w prawdziwość tych faktów, znane jest przecież oświadczenie Zjednoczenia Wschodnio-Azjatyckiego w Hamburgu, że należące doń firmy nie uprawiają handlu bronią w żadnej jego postaci. Czyżby można było tak po prostu negować prowadzenie milionowych interesów?

— A bo to on zdaje sobie sprawę, że tu wszystko jest możliwe! Nie, on rzeczywiście nie zdaje sobie sprawy, panie Zunder.

— No, to pańskie zdrowie!

*

W tym samym miesiącu, owym styczniu 1928 roku, w dziedzinie niemiecko-chińskiego handlu bronią zaszły wypadki, które w końcu

zachwiały nawet wiarę niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych w prawdomówność firm wschodnio-azjatyckich. Zaczęło się to od telegramu, opublikowanego w prasie:

„Kilonia, 11 stycznia. W wolnym porcie Holtenau zatrzymał się norweski parowiec „Aker" dla przyjęcia ładunku; następny ładunek z materiałami wybuchowymi dla górnictwa był zafrachtowany do Władywostoku. Onegdaj przybyło tu z Halle, jako stacji przeładunkowej, siedemnaście wagonów towarowych, których fracht, zadeklarowany jako maszyny i części maszyn, miał być przeładowany na parowiec. Gdy połowa ładunku znajdowała się już na pokładzie, przy sprawdzaniu zawartości skrzyń stwierdzono, że zawierają one naboje karabinowe, wobec czego władze celne zabroniły dalszego przeładunku i obłożyły sekwestrem cały transport. Skrzynie z amunicją były zadeklarowane do Oslo, niewątpliwie jednak przeznaczone były dla Chin. Miejsce pochodzenia amunicji nie jest znane, należy jednak przypuszczać, że chodzi tu o amunicję zagraniczną — prawdopodobnie z Czechosłowacji — i że przez Halle szła ona tylko tranzytem. Skonfiskowana amunicja ma być w Kilonii zniszczona".

Powodem zarządzenia rewizji była denuncjacja. Ktoś, przeczytawszy w Tsingtao urzędowe oświadczenia, dementujące pogłoski o transportach broni, napisał do władz: „Mylicie się, moi panowie, jeśli sądzicie, że z Niemiec nie wysyła się broni do Chin. Sprawdźcie na przykład, jakie to maszyny bierze na pokład „Aker". Na skutek tego listu zostaje przeprowadzona rewizja, która ujawnia, że są to maszyny do wytwarzania trupów z żywych ludzi. Ale, oczywiście: zagraniczne! Urzędowy komunikat brzmi:

„Niemieckie władze celne zostały widocznie przy wwozie amunicji wprowadzone w błąd fałszywą deklaracją. Amunicję wolno przewozić przez Niemcy tylko wtedy, kiedy zostaje ona jako taka zadeklarowana. Jak się dowiadujemy, sfery miarodajne uważają za rzecz wykluczoną, by kupcy niemieccy mogli być zainteresowani w tej sprawie. Rząd Rzeszy zawarł bowiem ze Związkiem Armatorów Niemieckich i Zjednocze-

niem Wschodnio-Azjatyckim w Hamburgu umawę, w której członkowie obydwu tych stowarzyszeń zobowiązują się do niewywożenia broni i amunicji wojennej z portów niemieckich i nieprzyjmowania tego rodzaju ładunków na statki niemieckie. Zobowiązania były dotąd przestrzegane, tak że nie podporządkować się im mógł tylko outsider albo cudzoziemiec".

Kto przyczynił się do ujawnienia, że towar jest pochodzenia nie zagranicznego, lecz niemieckiego i został wysłany przez firmę metalową w Sübtitz pod Torgau — czy władze celne dla oczyszczenia się z zarzutu, że dały się wprowadzić w błąd, czy też jakiś konkurent, któż to może wiedzieć? W każdym razie agencja telegraficzna Wolffa podaje wnet komunikat następującej treści:

„Kilonia, 17 stycznia 1928 (WTB.). Dowiadujemy się, że w sprawie konfiskaty amunicji w porcie kilońskim prokuratura w porozumieniu z policją kryminalną w Halle prowadzi obecnie śledztwo w Halle i Torgau. Nadawca i odbiorca transportu dotąd nie zostali ujawnieni".

Co? Prokuratura i policja kryminalna nie mogą stwierdzić, kto jest nadawcą i odbiorcą siedemnastowagonowego pociągu i trzystutonowego ładunku okrętowego? Prasa przychodzi władzom z pomocą donosząc, że firma Daug et Co, Berlin, Postdamerstrasse, jest nadawcą, a firma Schenker & Co ekspedytorem; rzekomym dostawcą jest firma metalowa skupująca łom: Max Heymann, Berlin, Budapesterstrasse. „Firma ta ma duże doświadczenie w tego rodzaju interesach i posiada odpowiednie stosunki we wpływowych kołach". Przez „wpływowe koła", jak pisze 20 stycznia „Berliner Tageblatt", należy rozumieć pewne agendy wydziału transportu morskiego Kierownictwa Marynarki Wojennej, które dopiero niedawno absorbowały opinię publiczną w związku z wielkim skandalem korupcyjnym, tak zwaną aferą Phöbusa; w kilońskim przemycie broni zamieszani są: nadradca ministerialny Beuster z wydziału transportu morskiego i podporucznik Protze.

Na interpelację posła Stöckera minister spraw zagranicznych Rzeszy, dr Stresemann, odpowiada, że otrzymał oświadczenie, podpisane przez admirała Zenkera, iż żadna agenda marynarki wojennej nie miała nic wspólnego z dostawami broni dla Chin.

BIBLIOTEKA AKADEMII
SZTABU GENERALNEGO

Poseł Stöcker (KPD): „Jeżeli minister spraw zagranicznych sądzi, że oświadczenie to likwiduje całą sprawę, to jest on w błędzie. Oświadczenie admirała Zenkera potwierdza tylko to, co przedtem powiedziałem. Nikt nie twierdził, że była w to zamieszana agenda marynarki jako taka, twierdzono raczej, że zamieszani są w to panowie piastujący czołowe stanowiska w marynarce. Na to twierdzenie zaś admirał Zenker odpowiada milczeniem. To potwierdza tylko moje oskarżenie. Dlaczego nie odpowiada Zenker na konkretne twierdzenie, że zamieszani są w to panowie piastujący czołowe stanowiska w Kierownictwie Marynarki Wojennej?"

Minister spraw zagranicznych Rzeszy, dr Stresemann: „Muszę jednak stwierdzić, że gdyby mnie jako ministrowi powiedziano, że urzędnicy mojego resortu są zamieszani w tego rodzaju aferę i ja złożyłbym oświadczenie, że żaden z moich wydziałów nie jest w nią zamieszany, wówczas dotyczy to również poszczególnych urzędników. Uważam za rzecz niedopuszczalną takie interpretowanie oświadczenia pana admirała Zenkera, że miał on na myśli tylko wydziały".

Tak łatwowierny, jak dr Stresemann, nie byłby żaden minister spraw zagranicznych spośród zawodowych dyplomatów. Wierzy on oświadczeniu admirała, tak jak wierzył zapewnieniom towarzystw okrętowych. Minister Reichswery jest niewiele sprytniejszy.

„Kierownictwo Marynarki Wojennej, pociągając „Berliner Tageblatt" do odpowiedzialności sądowej — oświadcza minister Gröner 10 lutego — postąpiło zupełnie słusznie, ponieważ jest to jedyna możliwość szybkiego wyjaśnienia sprawy obydwu obwinionych oficerów, którzy zapewniają, że z aferą tą nie mają nic wspólnego. Śledztwo, wdrożone przez prokuratora, trwałoby za długo".

W pięć dni później Gröner mówi, iż z prowadzonego przezeń osobiście dochodzenia wyniósł wrażenie, „że jedna z zaangażowanych w tej sprawie firm nie dotrzymała swych zobowiązań, chciała bowiem przemycić za granicę amunicję, powierzoną jej do przetopienia. Firma ta świadomie wprowadziła w błąd ze wszech miar godną zaufania

firmę ekspedycyjną. Panowie: nadradca ministerialny Beuster i podporucznik Protze oświadczyli pod przysięgą, że w sprawie tej udziału nie brali".

Zgoła osobliwe musiało być owo dochodzenie, wszczęte przez pana ministra Reichswery osobiście. Ani nie zamierzano wówczas przetapiać amunicji, ani nie może być mowy o niedotrzymaniu zobowiązań, ani firma wysyłająca nie wprowadziła w błąd firmy ekspedycyjnej. Pociągnięte do odpowiedzialności firmy odpowiadają publicznie, że informowały się w ministerstwie Reichswery, w Kierownictwie Marynarki Wojennej w sprawie transportu i otrzymały od majora Danneela odpowiedź, iż ministerstwo Reichswery nie wie nic o transporcie. Podporucznik Protze, który wraz z przedstawicielem odbiorców udał się do Kilonii, by przygotować tam transport, po powrocie do Berlina został poinformowany o tym stanie rzeczy. Protze skomunikował się z nadradcą ministerialnym Beusterem z wydziału transportu morskiego. Beuster oświadczył zainteresowanym firmom, że negatywna odpowiedź została udzielona przez niepoinformowaną agendę. W jednej z następnych rozmów telefonicznych z firmą Schenker nadradca Beuster potwierdził, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Interpelacja w Reichstagu ujawnia, że chodzi tu o amunicję Reichswery. Śledztwo sądowe toczy się dalej. Trwa ono półtora roku. Od 12 do 18 grudnia 1929 roku odbywa się przed sądem przysięgłych w Kilonii rozprawa sądowa przeciw majorowi w stanie spoczynku, Seemannowi, podporucznikowi Protzemu z kontrwywiadu marynarki i berlińskim kupcom Schwarzowi, Taubowi, Daugowi, Veltjensowi i Lieningowi — oskarżonym o wykroczenie przeciw prawu o zbrojeniach wojennych. Proces toczy się, oczywiście, przy drzwiach zamkniętych. Oczywiście, wszyscy oskarżeni zostają uniewinnieni. Oczywiście, kosztami sądowymi zostaje obciążony skarb. Oczywiście, nawet przy uzasadnieniu wyroku publiczność i prasa nie zostają wpuszczone na salę.

Prokurator odwołuje się do sądu wyższej instancji, i 12 czerwca 1930 roku rozpoczyna się w Kilonii rozprawa apelacyjna, znów ściśle tajna. I tym razem następuje uniewinnienie wszystkich oskarżonych.

— No, a cóż pan myślał?

Ja nic nie myślałem, panie Zunder.

*

Jednocześnie z norweskim statkiem i jego niemiecką bronią w Tsingato oraz norweskim parowcem i jego niemiecką bronią w Kilonii trzeci okręt z bronią wypływa na szerokie morze opinii publicznej, przy czym ta wyprawa jest o wiele bardziej romantyczna.

Bohaterem tej historii jest cała czechosłowacka flota morska, gdyż choć Szekspir w swej „Opowieści Zimowej" czyni z Czech kraj nadmorski, jednak geografia nie zgadza się w tym względzie z Szekspirem, i do tej pory żaden inny okręt czechosłowacki nie wypłynął na morze, i nie doznał tak awanturniczych przygód.

Zaczęło się to w Manili, nie w perskim porcie rzecznym Manina, lecz w porcie Manila na filipińskiej wyspie Luzon. Na początku stycznia 1928 roku zarzucił tam kotwicę 2 000-tonowy parowiec, na którego dziobie błyszczała świeżo-wymalowana złotymi literami nazwa „Praga" i na którego maszcie powiewała biało-czerwona bandera z niebieskim trójkątem. Statek ten miał niemiecką załogę, niemieckiego kapitana, a na pokładzie 90 000 karabinów z odpowiednią ilością amunicji oraz samochód pancerny. W Manili zamierzał on tylko zaopatrzyć się w węgiel, a potem spokojnie popłynąć dalej do Chin.

Ale — jak to się często zdarza w portach — dwóch ludzi z załogi upiło się w knajpie marynarskiej i opowiedziało, jaki to interesujący ładunek wiezie ich statek.

O rozmowie tej dowiedział się — tak to już bywa z rozmowami w knajpach portowych — agent polityczny rządu nankińskiego. Zażądał on od filipińskiego kontrolera celnego i od gubernatora sekwestru tej broni, przeznaczonej dla Czangstolina. Odmówiono mu. Wówczas zatelegrafował do swego rządu, który na jego żądanie wysłał kanonierkę „Tygrys" celem przychwycenia „Pragi" na pełnym morzu. Czangstolin, powiadomiony przez pekińskiego posła fabryki broni w Brnie, pana Laurenta, wysłał dla zabezpieczenia transportu pancernik. Bitwa morska na Pacyfiku zdawała się nieunikniona.

Zanim przybył pancernik Czangstolina, „Praga" pod osłoną nocy podniosła kotwicę. Wypłynęła na pełne morze, a „Tygrys" zgrzytając

zębami za nią. W odległości 600 mil od Szanghaju „Praga" otrzymała radiotelegraficzne wezwanie swego prześladowcy do zatrzymania się, w przeciwnym razie „Tygrys" groził zbombardowaniem. „Praga" nie zatrzymała się i „Tygrys" rozpoczął kanonadę. Ledwo udało się jej wyjść cało z opresji i zawinąć do portu Tsingtao.

Prasa angielska, już wtedy popierająca Czang-Kai-Szeka, jak również organy prasowe Koumintangu rozpętały kampanię antyniemiecką. Pisano, że „Praga" jest niemieckim statkiem „Hedwig", że załoga jej jest niemiecka, że w Hamburgu otrzymała ona ładunek i z Hamburga wypłynęła. Tylko dzięki oświadczeniu czechosłowackiej fabryki broni w Brnie przedsiębiorstwa niemieckie w Chinach uniknęły grożącego im zamknięcia. Z oświadczenia tego bowiem wynikało, że przynajmniej ładunek nie jest pochodzenia niemieckiego. W końcu września karabiny zostały trzydziestoma wagonami przesłane z Brna do Hamburga, ubezpieczone na milion dolarów i przejęte przez towarzystwo okrętowe Schröder, Hoelten &' Fischer, dalszym transportem zajęła się firma Peltz w Hamburgu. Ponieważ statek, który miał zabrać ten ładunek, spóźnił się, broń przeszło dwa tygodnie leżała na składzie w Hamburgu. „Dla zapobieżenia nieszczęśliwym wypadkom" strzegł jej posterunek policji. Po przybyciu do portu statku „Hedwig" należącego do firmy Schröder, Hoelten & Fischer, transport broni został załadowany i parowiec przeszedł w posiadanie praskiego kupca, inż. Vestaka; pod nazwą „Praga" został zapisany do czechosłowackiego rejestru okrętowego, tak że z portu hamburskiego mógł już wypłynąć pod banderą czechosłowacką.

Na zakończenie nastąpiła jeszcze krótka wymiana zdań pomiędzy Wielką Brytanią a Czechosłowacją. W odpowiedzi na interpelację sir Austen Chamberlain oświadczył w Izbie Gmin, że poseł brytyjski w Pradze interweniował u rządu czechosłowackiego, by nie udzielał pozwoleń na wywóz broni do Chin. Minister dr Benesz oświadczył na to, że Czechosłowacja nie może przystąpić do umowy zakazującej wywozu broni do Chin, chyba że tego rodzaju porozumienie będzie w równym stopniu obowiązywało wszystkie państwa.

Czesi mogą więc odpowiadać, że jeżeli nie przystąpili do gentlemen-agreement, to nie dlatego, iż odmówiono im prawa do tytułu gentlemenów, lecz dlatego, iż odmówiono im prawa do morza. Wobec tego

kupują od Niemców, których nie uznano za gentlemenów, lecz za to za naród żeglarski, statek do transportu towaru pochodzącego z czechosłowackich fabryk broni, kontrolowanych przez Francję. A gdy Anglia robi im zarzuty, mogą odpowiadać, jak im się żywnie podoba. Na to Niemcy nie mogą sobie pozwolić, są bowiem traktatowo zobowiązane do nieprodukowania broni.

Za to niemieckie ministerstwo spraw zagranicznych może się teraz domyślać, że firmy niemieckie nie są jednak tak zupełnie niezainteresowane w wywozie broni do Chin, jak twierdzą. Dlatego też dr Schubert, sekretarz stanu w urzędzie spraw zagranicznych, pisze do Wschodnio-Azjatyckiego Zjednoczenia w Hamburgu, iż uznaje, „że firmy należące do Wschodnio-Azjatyckiego Zjednoczenia, wykonując przyjęte na siebie wobec urzędu spraw zagranicznych zobowiązanie, zaniechały wywożenia broni do Chin z portów niemieckich i na okrętach niemieckich. Wobec panujących w Chinach stosunków politycznych, jestem jednak zmuszony ostrzec firmy niemieckie przed dostarczaniem broni Chinom również innymi drogami".

No i to zapewne położyło kres niemieckiemu handlowi bronią w Chinach, prawda, panie Zunder?

— Hahaha, hahaha, hahaha, ha...

*

Hossa! Hossa! Wojna w Mandżurii, wojna w Szanghaju! Hossa! Przed stu laty, bądź co bądź podniosły się w Europie głosy, by w imię humanitaryzmu protestować przeciw wymuszonemu przez Europejczyków wwozowi opium do Chin. Przeciw handlowi bronią, jak widzimy, występuje się częściowo z powodów natury konkurencyjnej, częściowo w obawie przed nieprzyjemnymi skutkami polityczno-handlowymi. Tam jednak, gdzie można się spodziewać odpowiedniego zysku bez szkody politycznej, tam przewóz ładunków, przeznaczonych do mordowania ludzi, staje się stałym procederem, przemyt, maskowany norweską i czechosłowacką banderą, zostaje uznany za czyn patriotyzmu niemieckiego, organa ministerstwa spraw wojskowych stają się agenturami handlowymi, złamanie prawa zostaje usankcjonowane uroczystym uniewinnieniem

Tylko wyrok uniewinniający zostaje ogłoszony publicznie, poza tym wszystko jest w tych sprawach tajne, zamaskowane, spowite mgłą konspiracji; składa się kłamliwe oświadczenia, wypisuje się fałszywe deklaracje, podaje się fikcyjnego nadawcę i fikcyjne miejsce przeznaczenia i pod fałszywą banderą wysyła się narzędzia mordu do ich prawdziwego miejsca przeznaczenia.

Wszystkie te transporty idą dla wrogów chińskiego ludu. Czyż nie widzieliśmy ponownie 19 armii chińskiej w Nankinie, w sześć tygodni po odwrocie jej z Szanghaju? Zaiste, trudno ją było poznać! Gdy w Szanghaju żołnierze jej walczyli z imperializmem japońskim przedpotopowymi flintami, odziani na podobieństwo dzikusów w jakieś gałgany, to teraz maszerowali w pięknych, nowych szarych mundurach polowych, ze skórzanymi pasami, termosami i nowiutkimi karabinami, rewolwerami i działami przeciw — przeciw komu? Przeciw wrogowi wewnętrznemu.

Korespondentom robotniczym zawdzięczamy wiadomości o tym, dokąd kierowany jest towar: do Hongkongu, brytyjskiej kolonii koronnej, do Tsingtao, gdzie rządzą północni generałowie, do Dajrenu, japońskiej bazy morskiej, i do Szanghaju, gdzie na lądzie i na rzece wszystko jest uzbrojone po zęby, z wyjątkiem chińskiego ludu.

*

Powiedz że pan, panie Zunder, czy do chińskich terytoriów radzieckich Europa wcale nie dostarcza broni?

— Nie, to jest niemożliwe. Czerwoni nie mają ani jednego portu. Są zupełnie izolowani.

Gdyby mieli port, sytuacja ich byłaby znacznie lepsza?

— Wręcz przeciwnie. Tam, gdzie mogłyby dotrzeć europejskie i amerykańskie kanonierki, wysadziłyby one desanty, albo zmasakrowałyby czerwonych pociskami z dział okrętowych.

Skąd więc w takim razie biorą czerwoni broń?

— Widzi pan, z tym to jest taka sprawa. Gdy który żołnierz z wojsk rządowych dezerteruje do nich, sprytnie się do niego zabierają. Trzymają go razem ze swoimi żołnierzami, a ci plotą mu niestworzone

rzeczy o kapitalizmie i tak dalej — no, nie trudno się domyślić, co tam w niego wgadują. Potem dają mu pięć dolarów za karabin i odsyłają z powrotem.

Odsyłają z powrotem?

— O to właśnie chodzi. Następnego dnia drab, oczywiście, znów przychodzi do nich i taszczy tyle karabinów, ile tylko może unieść. Często też nawet sprowadza ze sobą towarzyszy.

Smutne stosunki, panie Zunder, smutne stosunki.

— Hm, jak dla kogo. Im więcej karabinów tracą w ten sposób biali, tym więcej możemy im ich sprzedawać.

*

Amerykańscy korespondenci robotniczy pisali w nowojorskim „Daily Worker" (czerwiec-sierpień 1932), komu i jak dostarcza broni przystosowana do potrzeb przemysłu wojennego fabryka maszyn do szycia Singer-Plant w New Jeresy, jak w porcie nowojorskim japońscy agenci nadzorują ładowanie na okręty samolotów bombowych, zakupionych „dla Chin" za setki milionów dolarów.

Co się ładuje na dolnej Łabie pod Brunshausen, piszą korespondenci robotniczy „Hamburger Volkszeitung": każdy parowiec odpływający do Chin bierze na pokład 400—700 ton materiałów wybuchowych, żelatyny wybuchowej, kapsli wybuchowych, nitrogliceryny, prochu strzelniczego, prochu bezdymnego, nabojów karabinowych, rewolwerowych i do karabinów maszynowych. Fabryka dynamitu Krümel pod Gesthacht (dawniej własność Alfreda Nobla, obecnie koncern I. G. Farbenindustrie) przewozi ładunek na parowce wschodnio-azjatyckie barkami i szkutami. Z Anglii materiał wybuchowy przybywa na parowcach, które, płynąc równolegle z niemieckimi okrętami transoceanicznymi, przeładowują na nie towar.

W Hamburg-Hamm skrzynie z bronią i amunicją Skody zostają przetransportowane z zaplombowanych wagonów czechosłowackich na wynajęte szkuty i przewiezione na parowce wschodnio-azjatyckie.

Władze celne i policyjne są stale na pokładzie, pod ich nadzorem odbywa się w dzień i w nocy ładowanie amunicji na parowce linii Rickmers. Tempo ładowania jest tak gorączkowe, że robotnicy portowi

pracują na siedem zmian, po cztery godziny pracy i pół godziny przerwy każda, i często padają ze zmęczenia ze skrzynią amunicji w rękach.

Czy ten „legalny towar", te transporty materiałów wybuchowych, przeznaczone wyłącznie dla wschodnio-azjatyckich kopalń, także w Chinach wyładowuje się legalnie? Według opowiadania jednego z marynarzy linii Rickmers wyładunek na zgoła niepacyfistycznym Pacyfiku odbywa się w sposób następujący:

„W miejscu niewidocznym od strony morza, pomiędzy niezaludnionymi wyspami, zarzucono kotwicę. Wszyscy byliśmy zdziwieni, nie wiedzieliśmy, co to ma oznaczać. Wciągnięto na maszt flagę sygnałową, która pozostała tam przez pięć minut, potem wciągnięto ją ponownie. Dokoła nas panowała śmiertelna cisza. Po upływie godziny ukazał się statek handlowy, przeistoczony w okręt wojenny; płynął pod chińską banderą wojenną. Po dłuższym manewrowaniu zatrzymał się tuż koło „R. C. Rickmers". Ubrany po europejsku Chińczyk przyszedł do nas na pokład z kilku marynarzami i rozmówił się z kapitanem. Niebawem dowiedzieliśmy się, o co tu chodzi. Drugi sternik Böhmer zszedł do nas i powiedział, żebyśmy wyładowali skrzynie z luki numer jeden, każdy z nas otrzyma za to od europejskiego Chińczyka po siedem dolarów meksykańskich. Pracowaliśmy przy tym blisko trzy godziny. Nie była to jednak wszystka broń i amunicja. Zanim zawinęliśmy do do Szanghaju, resztę kontrabandy przeładowano w pobliżu Wusungu na szkuty".

Były to złote czasy dla przemytu broni, ta zima 1931/32 roku, kiedy w Mandżurii i Szanghaju toczyła się wojna, wojna, której nikt nie wypowiedział. Gdy 19 armia chińska wbrew woli rządu nankińskiego wstrzymała natarcie japońskie i nastąpiło zawieszenie broni, wówczas wszczęła swą akcję Liga Narodów: Japonia i Chiny winny nawiązać ze sobą stosunki i zawrzeć przynajmniej formalną umowę w sprawie Mandżurii, aby Liga Narodów „nie straciła twarzy" i by Japonia mogła wkrótce rozpocząć ofensywę przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Pięknie. Ale co się robi z bronią, która została zamówiona i płynie po Pacyfiku do Chin? Kto uwalnia Chiny od tego błogosławieństwa broni?

W jednym z salonów hotelu Cathay siedzą monsieur Marchand, który w dzień reprezentuje wielki francuski koncern zbrojeniowy, a w nocy pije w „Casanovie" szampana, i Herr Kornwalzer, który w dzień reprezentuje wielki niemiecki koncern maszynowy, a w nocy załatwia własne interesy, związane z przemytem broni. Wiele mają sobie do powiedzenia ci odwieczni wrogowie, stale mają z sobą jakieś obrachunki.

Wieczorem tego samego dnia spotyka się Herr Kornwalzer w górnych salonach niemieckiej restauracji na Bubbling Well road z niemieckimi eksporterami i z dzielnym żeglarzem i opojem, kapitanem Moserem.

Małe rekiny otrzymują zamówienia na dostawy, przy czym zleceniodawcy nie są im znani.

— Załadujcie towar na okręt i wywieźcie go, a jeżeli jeszcze nie przyszedł, to każcie od razu skierować go gdzie indziej.

— Dokąd?

— Do Władywostoku.

— Co? Dla bolszewików?

— Nie pytajcie za wiele!

To już jest sprawa wielkich rekinów szanghajskich. Broń, zakupiona przez Chiny, idzie „do Władywostoku". Gdyby skierowano ją do Japonii, wówczas radykalne gazety podniosłyby krzyk, że sprzęt wojenny wywozi się z kraju i dostarcza wrogowi. Dlatego też właśnie płynie ona „do Władywostoku". Kapitan Moser już wie, o co chodzi. Nikt nie jest winien, jeżeli po drodze okaże się nagle konieczne zawinięcie do portu japońskiego, nikt nie jest winien, gdy Japończycy przechwycą statek i ładunek. A la guerre comme à la guerre, o cóż wam chodzi? Czyż myślicie, że robimy to, aby przypodobać się Japończykom? Alboż to Japonii potrzebna jest nasza broń? Czyż nie wiecie, że japońska firma Mitsui (49, Szechuen road) zaledwie przed rokiem jeszcze sprzedała Chinom broń? Więc proszę! Że Japonia jest teraz

zainteresowana w wydostaniu broni z Chin, tego nie będzie się przecież opowiadało każdemu kulisowi).

Znów więc górą stara, uczciwa zasada szanghajskich przemytników broni: nigdy nie powinien otrzymać towaru adresat, lecz zawsze jego przeciwnik.

A więc wszystko jest all right, panie Zunder, nie rozumiem właściwie, dlaczego nazywa pan Szanghaj bałaganem?

— No, pańskie zdrowie.

DOM WARIATÓW

Przyjaciele, zastrzelcie mnie, gdyby miało być ze mną tak źle! Przyjaciele, zastrzelcie mnie, gdy będzie ze mną tak źle, a gdyby pociągnięto was za to do odpowiedzialności, powołajcie się na to sprawozdanie i na tę moją wyraźną prośbę, w której świetle czyn wasz zostanie osądzony jako moje samobójstwo z obcej ręki. Przyjaciele, gdyby miało być ze mną tak źle, zastrzelcie mnie jak wściekłego psa. „Jak wściekłego psa...?". Wściekły pies bardziej jest portretem swego dawnego ja, swej dawnej istoty niż obłąkany człowiek!

Dlaczego tak jest, dlaczego? Dręczącym pytaniem prześladuje cię to słowo „dlaczego", staje ci w poprzek drogi. Dlaczego nie kładzie się kresu życiu ludzi, którzy nie są ludźmi i którzy nigdy już ludźmi nie będą, dlaczego pozwala się tym istotom plugawić się, okaleczać, wić się w boleściach, pogrążać w beznadziejnej apatii, dlaczego pozwala się im głodować, wyć, szarpać się w bezsilnej rozpaczy?

Kto zna europejskie zakłady dla obłąkanych z ich pawilonami dla furiatów, z ich celami wyłożonymi gumą, nie potrafi sobie pewnie wyobrazić, że pod innym niebem może być jeszcze gorzej. Ale kto był w domu wariatów w Chinach, ten może wyobrazić sobie wszystko. Jeżeli nie chcecie, nie musicie czytać tego dalej, ta książka ma dość rozdziałów.

Byliśmy w „Domu Demonów". Tak nazywali ten dom ludzie, których w pobliżu północno-zachodniej bramy Pekinu pytaliśmy o zakład dla obłąkanych. Oficjalnie nazywa się on Fong-Jen-Ju-Juan i jest instytucją policyjną, w której trzyma się niebezpiecznych dla otoczenia obłąkańców. Zewnętrznie zakład ten nie różni się niczym od pe-

kińskiego więzienia. Jamyn, zamknięty kompleks parterowych budynków mieszkalnych z oknami wychodzącymi na podwórza.

Niegdyś ten jamyn przy murze miejskim był klasztorem buddyjskim. Od dawna już zniszczone są rzeźbione w drzewie ozdoby, wyłamane framugi okien, nie ma tu ani krat, ani żelaznych bram, ani innych środków ochronnych. Tylko warty chronią miasto od ucieczki obłąkanych. W Chinach człowiek jest autem, dźwigiem, maszyną, mostem, drutem telegraficznym, dlaczegoż by więc nie miał być zamkiem, kratą, bramą czy dzwonkiem alarmowym? Nie brak ludzi w tym państwie, które jest przeludnione tylko dlatego, że znajduje się na niskim stopniu rozwoju gospodarczego. Warty strzegą bram i drzwi budynku administracyjnego, który stoi w poprzek jak rygiel.

Lekarzowi państwowemu z Europy wolno przejść przez kordon umundurowanych ludzi-zamków, ludzi-bram i ludzi-krat. Z należnymi lekarzowi państwowemu ukłonami prowadzi nas kierownik zakładu do swego gabinetu. Nie jest lekarzem, lecz na psychiatrii zna się równie mało jako psychiatra.

Gdy go pytamy o demony, uważa za stosowne uśmiechnąć się. Zapewne, pacjenci i ich rodziny wyobrażają sobie, że wstąpił w nich zły duch, zwykle chu-li, lis, i siedzi w ich ciele, lecz współcześni lekarze chińscy zgadzają się ze swymi kolegami europejskimi (uprzejmy ukłon), że takie przypuszczenia są naukowo nieuzasadnione.

Tak daleko jednak (ukłon i gest wyrażający ubolewanie), tak daleko lekarze chińscy nie mogą się posunąć, by uznać słuszność hipotezy europejskiej, że choroby psychiczne mają związek z mózgiem. Choroby psychiczne są spowodowane zaburzeniami pewnych organów ciała ludzkiego, zwłaszcza żołądka, wydzielaniem śluzu i śliny, wewnętrznym i zewnętrznym ogniem(?), ale właśnie głowa nie ma absolutnie żadnego związku z obłąkaniem.

Może (lekki uśmiech, ukłon) zależność ta daje się zaobserwować u pacjentów europejskich, ale chińskie choroby psychiczne nigdy nie mają związku z mózgiem.

Przeważnie choroba jest skutkiem tego, że oddychanie odbywa się w odwrotnym kierunku, nie z góry na dół, lecz z dołu do góry. W związku z tym jako środek leczniczy stosujemy przede wszystkim kłucie.

(W tym miejscu przytoczymy opis kłucia, które udało się nam zobaczyć na własne oczy u pewnej lekarki chińskiej w Szanghaju podczas godziny przyjęć. Instrumenty jej składały się z szeregu igieł długości szydełka; każda igła — medycyna sugestyjna — była oddzielnie owinięta kawałkiem kolorowego jedwabiu. Byliśmy świadkami badania ośmioletniej dziewczynki cierpiącej na wymioty i młodzieńca uskarżającego się na zanikanie wzroku. Lekarka przez pięć minut wpatrywała się w pacjentów, nie odwracając od nich oczu, potem dobrała skrupulatnie odpowiednią igłę. Nie sterylizując jej ani w ogóle nie czyszcząc pewną ręką przekłuła dziecku pępek, młodzieńcowi zaś policzek. Nakłucia były głębokie, co najmniej na trzy centymetry, trysnęła z nich krew).

Ten rodzaj akupunktury jest więc również alfą i omegą psychiatrii chińskiej.

— Poza tym — ciągnie dalej kierownik zakładu — staramy się przy pomocy pigułek i smarowania nadać oddychaniu właściwy kierunek — to znaczy z góry na dół.

No i jakież to daje wyniki?

Dyrektor zakładu mruga do nas porozumiewawczo — jesteśmy wszak lekarzem państwowym — i usta jego wykrzywia uśmiech augura, zaprawiony udanym smutkiem.

— Wyniki są również mało pocieszające jak u was.

Kto sprowadza tu chorych?

— Zazwyczaj chwyta ich policja. Niekiedy przysyła ich też sąd lub przyprowadza rodzina, która nie może już poradzić sobie z chorym w domu. Większość naszych pacjentów to ludzie biedni, którzy nie mogą płacić za utrzymanie.

Jaki jest budżet zakładu?

— O, bardzo niski. Otrzymujemy 700 srebrnych dolarów miesięcznie dla całego zakładu, w którym przebywa 150 pacjentów, 90 mężczyzn i 60 kobiet.

150 chorych żywi się przez miesiąc za 700 dolarów?

— Nie, pan mnie źle zrozumiał. 700 dolarów stanowi cały nasz budżet. Pensję moją, lekarzy i pielęgniarzy. Reszta tylko idzie na wyżywienie chorych.

Ile, mniej więcej, wynosi to na pacjenta?

— Mniej więcej sześć centów dziennie na pacjenta.

Sześć centów! A urzędnicy?

— Jesteśmy bardzo kiepsko opłacani i dlatego zakład daje nam pełne utrzymanie.

Nie trudno się domyślić, że biedni urzędnicy żyją kosztem biednych chorych, redukując jeszcze ich sześciocentowy wikt.

Co się daje pacjentom do jedzenia?

— Chleb i jarzyny.

Widzimy później ten „chleb" i te „jarzyny": cytrynowo-żółty kawał ugniecionej, skwaśniałej mąki kukurydzowej i niesolone łodygi jakichś roślin, które handlarz uliczny rzuca zazwyczaj do śmieci.

— Cóż robić — mówi Chińczyk do marszczącego czoło kolegi z Europy, gdy rozpoczynamy obchód zakładu — pacjenci powinni tu albo wyzdrowieć, albo umrzeć. Ale ani nie wracają do zdrowia, ani nie umierają. Czyż u was jest inaczej?

W tej chwili weszliśmy na dziedziniec pawilonu męskiego. Ogarnia mnie przerażenie, cóż to za nieszczęście, budzące litość potwory! Przyjaciele, zastrzelcie mnie, gdyby miało być ze mną tak źle!

Tutaj jest jeszcze straszliwiej niż w zakładach dla obłąkanych w Europie. Tam w imię humanitaryzmu odwleka się zbawczą śmierć chorego, nie daje mu się wyzionąć ducha, jemu, który go już dawno stracił, przedłuża się męczarnie i trzyma się żywych nieboszczyków w higienicznych warunkach. Nieboszczyków, jak ci oto tutaj. Na Zachodzie katuszom, którym nikt nie ma odwagi położyć kresu, nadaje się higieniczne i estetyczne ramy.

Na Wschodzie zaś... Z pianą na ustach, bełkocąc coś nieprzytomnie, nagi, związany, leży chory na kamiennych płytach dziedzińca. Leży na plecach, ręce ma przywiązane do ud, nogi sterczą do góry. Może w Europie wiąże się łagodniejszą metodą, a może i ta sama bywa niekiedy potrzebna, wtedy jednak stosuje się ją w camera caritatis, nie na dziedzińcu wobec pozostałych chorych.

Co prawda, kiedy na widok wiązania furiata innych chorych ogarnia podniecenie, nie należy się obawiać zbiorowego wybuchu

szału. Wszak wszyscy cierpiący na maniakalne stany podniecenia są w podobny sposób związani, jedni mają ręce w przegubach przywiązane do nóg w kostce, inni mają na rękach i nogach kajdanki.

Komary, jak gdyby wiedziały, kto jest wobec nich bezbronny, gęstymi chmarami siadają na skrępowanych członkach. Kilku związanych chorych usiłuje zdobyć odrobinę ochłody wachlarzem; jakim bólem to okupują, wskazują czerwone pręgi w przegubach, w które wpijają się kajdanki przy każdym poruszeniu wachlarzem. Z bezzębnych ust wydziera się śmiech onanizującego się człowieka.

Chorego na katatonię ani moskity, ani obcy gość nie budzą ze stanu odrętwienia, nie wachluje się on i nie drapie, nie rzuca gościowi w twarz wyzwisk i nie spluwa za nim. Przyjaciele, zastrzelcie mnie.

Tylko brama oddziela kobiety od pawilonu męskiego. Łachmany lub zupełna nagość pacjentów (odzieży zakładowej nie ma), które tam wydawały się nam czymś niemal naturalnym, tutaj, u kobiet, sprawiają wrażenie kostiumów świata czarownic.

Jedna z kobiet na podwórzu bije bezustannie pokłony, czoło jej pokryte jest ranami od uderzania o ziemię. Żali się na swój los, mąż jej wziął do domu kochankę, a ją, prawowitą małżonkę morzy głodem, ponieważ nie zrodziła mu potomka. Błaga o syna.

Na kamiennej ławce otwartej celi zbiorowej leży związana dziewczyna z rozwichrzonymi włosami. Tutaj staje się rzeczywistością rodzajowy obrazek z ubiegłego stulecia: tak, miotając iskry gniewu, spoglądała czarnowłosa dziewica, którą pojmano w zdobytym mieście i teraz wystawiono na sprzedaż na publicznym bazarze.

Inna chora w stanie wzmożonego samopoczucia zaprasza nas do swej celi, chce nam sprzedać słodycze. Pokazuje nieistniejące półki towarów. Gdy zademonstrowała w ten sposób swe zdolności dramatyczne, chce nam również pokazać, że umie czytać i pisać. Czyta z nieistniejącej książki i pisze nieistniejącym ołówkiem, cały czas podkreślając wytworność swego zachowania.

Pozostałe kobiety otaczają nas groźnie, krzyczą o swym demonie, który jest okrutnym urojeniem, i o swym głodzie, który jest okrutną rzeczywistością.

Z głodu większość ich odeszła od zmysłów, lecz nie pomogła ucieczka w obłęd, również tu, w domu obłędu, doskwiera im głód.

Oprócz skazanych na pobyt tutaj przez nędzę materialną, jest jeszcze kategoria druga, dziedzicznie obciążonych, i kategoria trzecia, ofiar narkotyków, zwłaszcza heroiny.

Również motywy psychiczne zakorzenione są w nędzy materialnej. Wieczne dążenie Chińczyka do zachowania decorum, „twarzy", i odgrywania roli w rodzinie napotyka nieprzezwyciężoną przeszkodę w ubóstwie. Gdy kulisowi skradną rykszę, czuje się poniżony, nie ma odwagi wrócić do domu i dostaje obłędu, jeśli nie może sobie pozwolić na kupno nowej. Kobieta, gdy wskutek poronienia zawiedzie nadzieje rodziny na męskiego potomka, wpada w rozpacz, w rozpacz tym głębszą, im bardziej ciało jej wyczerpane jest ciężką pracą. Gdy myśli o swej przyszłości, o tym, że jako bezużyteczna małżonka ściągnie na siebie pogardę i będzie musiała wysługiwać się nałożnicy swego męża, rozpacz jej przerasta w obłęd. Stracić honor, to stracić wszystko, a biedak właśnie traci swój honor łacniej niż bogacz. Tak samo w Chinach jak gdziekolwiek indziej.

Kto swym obłędem nie przeszkadza zbytnio rodzinie i przechodniom, może swobodnie wałęsać się po domu i po ulicach. Kto jednak wcielony zostaje do tej piekielnej orkiestry...

Przyjaciele, zastrzelcie mnie, gdyby miało być ze mną choćby tak tylko źle jak w najłagodniejszym z przypadków, które dzisiaj widziałem.

MINIATURY ANGLOSASKIE

I. Ojcowie miasta

— Mój czcigodny przedmówca, z którym od wielu lat jestem zaprzyjaźniony, mister — mister —

Mówca zająknął się, przytyknął palcami, zgromadzeni zaczęli się śmiać. Przecież to komiczne, gdy ktoś powołuje się na starego, czcigodnego przyjaciela, a nie wie, jak się ten przyjaciel nazywa.

Z ironicznego śmiechu zebranych mówca wywnioskował, że podejrzewają go, iż chełpi się przyjaźnią człowieka, którego wcale nie zna. Dlatego też uznał za wskazane wytłumaczyć się:

— Od piętnastu lat codziennie rozmawiam z tym gentlemanem w klubie, znam go jednak tylko jako APC.

Incydent został w ten sposób zlikwidowany i mówca mógł przemawiać dalej. Nikt się już nie śmiał. Pozostali bowiem uczestnicy zebrania znali gentlemana, o którym była mowa, również tylko jako APC, co wymawia się Ej-Pi-Si i oznacza Asiatic Petroleum Company.

Natomiast słowo „tajpan" oznacza: kierownik zagranicznej firmy handlowej. Tajpanowie rozporządzający wielkimi sumami daleko od europejskiej czy amerykańskiej centrali, potężni dzięki liczbie swych pracowników, agentów i dłużników, z dawien dawna zajmują fotele w Radzie Miejskiej Szanghaju, chociaż już przed pięćdziesięciu laty podnosiły się głosy przeciw ich oligarchii.

Gentleman, którego nazwiskiem było przytknięcie palcami innego gentlemana, jest właśnie tajpanem APC. Nie rozmawiamy z nim wprawdzie codziennie od piętnastu lat w klubie, wiemy jednak, że od czterdziestu lat zajmuje się on importem nafty do Chin i że jego stop-

niowemu awansowaniu aż do stanowiska dyrektora APC nic nie stało na drodze. Jako dyrektor APC, został również ławnikiem miejskim. Z pewnością nie odznacza się szczególną ambicją ani nie posiada szczególnej predyspozycji do działalności społecznej, z pewnością też pozbawiony jest żyłki polityka i zdolności do kierowania administracją samorządową, ale skoro władza i zaszczyty dostają mu się automatycznie, to dlaczegoż by nie miał ich przyjąć?

Sprawuje swój urząd publiczny tak, jak tego wymaga jego urząd prywatny, któremu go zawdzięcza, i tak samo, jak to czyni jego ośmiu pozostałych kolegów w Municipal Council, tajpanów największych banków, towarzystw okrętowych i firm eksportowych.

Oto widzimy tych panów w komplecie. Siedzą na estradzie, która zazwyczaj zasłonięta jest płótnem ekranu filmowego. Dzisiaj ekran podniesiono, aby płatnicy podatków settlementu międzynarodowego mogli ujrzeć swych władców in persona.

Ośmiu panów siedzi na solidnych dębowych krzesłach, przy solidnym dębowym stole, który zapewne specjalnie sprowadzono z ratusza. Za nimi tronuje chairman, przewodniczący.

Dziewięciu panów trwa w dziewięciokrotnym bezruchu, mają na sobie dziewięć par szarych wizytowych spodni, dziewięć surdutów i dziewięć sztywnych kołnierzyków, w dziewięciu krawatach tkwi dziewięć szpilek z dziewięcioma perłami, na dziewięciu głowach srebrzą się starannie utrzymane, przeważnie mocno przerzedzone włosy, na siedmiu oczach pobłyskują monokle, a na dwóch parach oczu okulary. (Ci w okularach to Japończycy).

Cała dziewiątka wraz z królem tworzy Radę Miejską międzynarodowego settlementu. Pan APC (patrz wyżej) i pozostali tajpanowie, znający się na ogół tylko z nazw firm, które reprezentują, siedzą na estradzie.

Na widowni — gremium zagranicznych płatników podatku miejskiego. Raz do roku zbierają się na walnym zgromadzeniu; temu, kto płaci więcej niż 500 taelów podatku rocznie, przysługuje czynne prawo wyborcze, temu, kto płaci więcej niż 1 200 taelów, bierne prawo wyborcze.

W ten sposób trzy tysiące obcokrajowców wybiera dziewięciu panów, którzy samowładnie rządzą światowym miastem, rozporządzają armią i flotą, lekceważą traktaty międzynarodowe, narzucają milionom Chińczyków prawa i podaatki, i wydają bezlitosne rozkazy strzelania z karabinów maszynowych, gdy demonstracja robotnicza lub studencka odważy się posunąć aż do Nanking road. Gdy nawet korpus dyplomatyczny zmuszony jest zaprotestować przeciw takiemu bestialstwu (jak to się zdarzyło po masakrze 30 maja 1925 roku), wówczas samowładna Rada Miejska z cynicznym uśmiechem rzuca protest posłów do kosza i nie wykonuje wcale ich uchwał.

W sąsiednim państwie dzieje się podobnie. Sąsiednim państwem jest koncesja francuska, zamieszkała przez nie mniej niż 286 262 Chińczyków i nie więcej niż 7 810 cudzoziemców. W tej gromadce cudzoziemców, Francuzów jest tylko 892, wszystko urzędnicy i pracownicy miejscy. Mimo to Francuzi — konsul generalny i magistrat — zadowoleni z siebie, sprawują beztrosko samowładne rządy.

Reżim francuski jest skorumpowany indywidualnie, każdy bogaci się na własną rękę.

Reżim brytyjski jest skorumpowany jako całość, skorumpowany legalnie.

„Reżim brytyjski"? Mówiliśmy przecież o settlemencie międzynarodowym? Czyż zarząd jego nie jest międzynarodowy? Ależ tak, oczywiście. Jest ściśle międzynarodowy, wszystkie narodowości — a jest ich trzydzieści — osiadłe w settlemencie międzynarodowym są całkowicie równouprawnione, pomijając to, że wszystkie prawa skupiają w swych rękach Anglicy, a żadnych Chińczycy.

Dziewiątka na scenie nie wykonuje swych praw osobiście; po pierwsze nie wszyscy oni są Anglikami, lecz tylko pięciu z nich, a po drugie — nie mają na to zbyt wiele czasu, ponieważ jako tajpanowie zarządzają swymi przedsiębiorstwami, poza tym zaś muszą w klubie pić whisky i grać w kości.

Nie muszą się zresztą wysilać. Wszak wszyscy wyżsi urzędnicy magistraccy są Brytyjczykami i uprawiają brytyjską politykę, jak wszyscy zresztą urzędnicy brytyjscy. Armią settlementu (zwaną korpusem ochotniczym), flotą settlementu (zwaną policją rzeczną i nad-

brzeżną), policją polityczną i kryminalną, policją mundurową, strażą ogniową, personelem więziennym, departamentami: zdrowia, finansów, kanalizacji, elektryczności, komunikacji i długów publicznych zarządzają Anglicy. Ale, by nic nie przemilczać: dyrygentem orkiestry miejskiej jest Włoch, a dyrygentem kancelarii miejskiej — znany z procesów o przemyt broni i opium adwokat amerykański.

Przeszło osiemdziesiąt lat już trwa dyktatura brytyjska nad Chińczykami, przez osiemdziesiąt lat byli oni pozbawieni prawa posiadania gruntu, a nawet prawa wstępu do ogrodów publicznych, i każdy wniosek o przyznanie im przedstawicielstwa w Radzie Miejskiej był odrzucany z ironią. Po masakrze na Nanking road wzburzenie ludu groziło rozpędzeniem całego Municipal Council z przyległościami, i dlatego utworzono pięcioosobowy doradczy komitet chiński. Podobnie jak samowładny reżim Anglii nie zmienił się ani na jotę przez to, że przed wojną światową przydzielono mandaty Amerykanom i Niemcom, po wojnie zaś odebrano je Niemcom i oddano Japończykom, tak też nic się nie zmieniło, gdy w roku 1928 zasiadło w zarządzie pięciu bogatych Chińczyków. Dawno już przekonano się, że ci członkowie komitetu nie mają najmniejszego nawet zamiaru obalenia stuprocentowo brytyjskiego zarządu chińskiego miasta, wobec czego pozwolono im w końcu zostać ławnikami miejskimi.

Poza tym cudzoziemscy ławnicy, zwłaszcza mister Fessenden, opracowują plan proklamowania Szanghaju wolnym miastem, i jeżeli się to uda, Chińczycy wylecą z rządu jak z procy. Zaiste, piękny to plan — mniej więcej tak, jak gdyby angielska izba handlowa w Paryżu powzięła uchwałę wydzielenia Paryża z republiki francuskiej i proklamowania go wolnym miastem.

Na razie jeszcze do tego nie doszło, i pięciu Chińczyków może uczestniczyć w posiedzeniach Rady Miejskiej. Dlaczego to jednak nie siedzą oni dzisiaj na estradzie?

Mandaty otrzymali od swych ziomków, płacących podatek miejski; na zgromadzeniu obywateli zagranicznych, o którym jest tu mowa, nie mają nic do roboty ani ławnicy chińscy, ani chińscy wyborcy.

Dziewięciu ławników osiedla cudzoziemskiego wybiera się w sposób iście patriarchalny. Wszyscy, których kandydatury zostały wysu-

nięte, kandydują. Wykładają wówczas w prasie swój wielce indywidualny program, który zawsze wygląda mniej więcej tak: kandydat jest zwolennikiem utrzymania dobrych stosunków z chińskimi współobywatelami, będzie jednak dbał o poszanowanie i tak już dosyć uszczuplonych praw cudzoziemców. Koniec. Kto spośród wyborców ma czas i ochotę wrzucić swój głos do urny, przekreśla na wydrukowanej liście nazwiska nieodpowiadających mu kandydatów pozostawiając dziewięć nazwisk nieprzekreślonych. Dziewięć najrzadziej przekreślonych nazwisk — to nazwiska wybranych.

W tym roku Japończycy — jedyni, którzy idą do wyborów zwartą ławą — wobec stanowiska zajętego przez Amerykę w wojnie chińsko-japońskiej, przyczynili się do upadku jednego z dwóch kandydatów amerykańskich. Fakt ten wywołał w amerykańskiej kolonii Szanghaju, ba, nawet wśród wszystkich cudzoziemców, ożywione dyskusje. Sama Ameryka, która zdobycie dwóch mandatów do Rady Miejskiej zaksięgowała swego czasu jako wielki sukces, nie wyciągnęła z japońskiego wyzwania żadnych konsekwencyj. Korespondenci amerykańscy w Szanghaju otrzymują w japońskim dowództwie armii informacje i nie chcą, by źródło to zostało dla nich zamknięte.

Nieliczni tylko wyborcy robią użytek z przysługującego im prawa oglądania raz do roku wybranych przez siebie ojców miasta. Gdyby „Carlton-Theatre" był tak pusty wieczorami, jak pusty jest w dniu dorocznego zgromadzenia obywateli, dawno by już zbankrutował. Ledwo osiemdziesiąt osób, dumnych płatników podatku miejskiego, siedzi na parterze, jakieś dwadzieścia, trzydzieści osób, miser plebs, na galerii.

Nikt nie zgłasza wniosków. Jeden brytyjski ex-generał, obecnie ławnik miejski, odczytuje rezolucje i powitania. Mnie, jako przedstawicielowi prasy — nazajutrz przeczytałem w gazecie, że wzięto mnie za przedstawiciela berlińskiego „Lokalanzeiger", o Hugenburgu! — wręczają odbitkę szczotkową. W odbitce tej wszystko jest już wydrukowane, to, co już powiedziano, i to, co dopiero zostanie powiedziane.

Czy zapisuje się ktoś do głosu? Ponieważ nikt nie zapisuje się do głosu, zarządzam głosowanie. Kto jest za wnioskiem, zechce podnieść rękę. Dziękuję. Wniosek został przyjęty.

Nawet te zdania zostały już dawno wręczone składaczowi. Żadnego nieprzewidzianego incydentu nie spodziewano się i żaden też nie nastąpił. Dzisiaj zabrał głos w dyskusji tylko jeden mówca. Sprzeciwił się temu, że jego czcigodny przedmówca, z którym od wielu lat jest zaprzyjaźniony, mister — mister — krótko mówiąc, że do komisji gruntowej zaproponowano dwóch kandydatów chińskich. Jeden wystarczy w zupełności. Japończycy obdarzyli go ostentacyjnymi oklaskami, kilku białych również. Właściwie wszyscy obecni są wrogo usposobieni wobec Chińczyków, jednak wniosek prezydium przechodzi, każdy bowiem rozumie, że Chińczykom udziela się mandatów do komisji nie dla ich pięknych, skośnych oczu...

Być może, że protest opozycyjnego mówcy był z góry umówiony dla naocznego wykazania Chińczykom, że owo wspaniałomyślne dopuszczenie ich do współrządzenia we własnym ich kraju, na ich własnej ziemi, zostało zaakceptowane nie bez sprzeciwu. Być może, że gentleman-opozycjonista zgłosił swój sprzeciw w porozumieniu z gentlemanem, który przemawiał przed nim i którego nazwiska nie mógł sobie przypomnieć. W każdym razie obaj mogą, jak codziennie od piętnastu lat, grać dziś w kości i pić whisky w barze Shanghai-Clubu, gdyż po godzinnym, spokojnym posiedzeniu tegoroczna sesja szanghajskiego parlamentu została zamknięta.

II. Pidgin-English, język kolonii

Pidgin-English jest językiem prostym, nie ma zupełnie gramatyki, a słownictwo jego jest ubogie i prymitywne. Chociaż nie można go nazwać językiem sztucznym, dla nikogo jednak nie jest on językiem ojczystym.

Jest środkiem porozumiewania się garstki białych panów z tysiącem prawie milionów kolorowych niewolników. Pidgin-English jest zniekształconym językiem angielskim, zniekształconym w tym stopniu, jaki Europejczyk uważa za odpowiedni dla języka i mózgu kolorowych. (Podobnie mądrzy dorośli sądzą, że z dziećmi trzeba gaworzyć jakąś dziwaczną, rzekomo dziecinną gwarą). Kolorowi nauczyli się mówić płynnie tym odpowiednio zniekształconym angielskim, natomiast cudzoziemscy kupcy, po wieloletnim nawet pobycie na Da-

lekim Wschodzie, o chińskim lub hinduskim nie mają zielonego pojęcia, nie potrafią nawet mówić po pidgin-chińsku. Co prawda znajomość języka tybulców nie jest im potrzebna, są przecież Europejczykami, dorosłymi i władcami zarazem, gdy tamci są dziećmi i kulisami, należącymi do zacofanych ras. To, że dzisiaj już miliony tych kulisów władają płynnie europejskimi językami, czytają obce książki i pisma, nic nie daje białemu człowiekowi do myślenia; nadal narzuca on Pidgin-English narodom kolonialnym.

Niejednemu jeszcze Europejczykowi przydarzy się to, co przydarzyło się pewnemu panu, który polecił swemu nowemu boyowi — oczywiście w języku Pidgin — otworzyć okno; brzmiało to mniej więcej tak: „Otworzyla okno, zrozumiala?" „Tak jest, proszę pana", odpowiedział Chińczyk i dodał doskonałą angielszczyzną: „Doprawdy, szkoda by było nie oddychać tym przeczystym wiosennym powietrzem". Skutek tego był taki, że kupiec zwolnił służącego. Nie życzył sobie porozumiewać się z kulisem w tym samym języku, w jakim rozmawia z gentlemanami.

*

Co oznacza wyraz „pidgin"? Jest zniekształceniem słowa „business" (interes), a business jest wszak jedynym odcinkiem życia, na którym obcy styka się z tubylcem. „Pidgin" jest w języku „Pidgin-English" ważnym wyrazem. Lecz również inne ważne wyrazy są zapożyczone ze sfery businessu, toteż na zasadzie pojęć tego języka można sobie wyrobić pojęcie o duchu jego wynalazców i nauczycieli.

W języku tym nie istnieje więc na przykład pojęcie „dawać". „Daję" jest tylko wyrażeniem giełdowym, poza tym nie daję nic, któż bowiem mi coś da! Tłumaczenie słowa „dawać" w „Pidgin-English" brzmi: pay, płacić. „Zapłacę missy herbatę", poleca pan domu swemu boyowi. Miss nie powinna zrozumieć tego opacznie. Słysząc to polecenie boy bynajmniej nie zaprosi jej do herbaciarni, lecz natychmiast poda jej filiżankę herbaty. — „Zapłać mi całusa", mówi clerk, biuralista, do dziewczyny z „Majestic-Bar", gdy odprowadza ją do domu. Język ten jest słuszny: w ciągu wieczora wydał on tyle pieniędzy na karty tańca, że teraz powinna płacić dziewczyna.

Cóż znaczy „być"? W życiu handlowym nie ma takiego pojęcia. Czy kulis j e s t? Czy towar j e s t? Nie, on należy. „Jestem — jesteś — jest" — w Pidgin-English brzmi: „Należę — należysz — należy" Niczym jest twój byt, człowieku, jest on jeno czyjąś własnością. Zdanie: „Jestem smutny" tłumaczy się: „My belong sorry" — „należę smutny" albo „należę do smutku". I ma się powody tak mówić. Nic nie j e s t w tym kraju, wszystko n a l e ż y.....

Ale w cyfrach chyba nic już nie można zmienić? Cyfry są wszak dostatecznie przystosowane do interesów, prawda? Otóż nie. W języku pidgin nie liczy się: jeden, dwa, trzy itd., lecz: „jedna sztuka, dwie sztuki, trzy sztuki" itd., chociaż biały mógłby przypuszczać, że mentalność tubylca każe mu raczej opuścić słowo „sztuka". Musi je wymawiać, nawet przedimek nieokreślony brzmi „jedna sztuka". One piece girly — „jedna sztuka dziewczyna", melduje służący. Albo „były tu dwie sztuki panów". Słusznie, przecież człowiek jest towarem i jako taki powinien być liczony na sztuki!

Z dawien dawna ozdobione są świątynie posągami i sprzętem liturgicznym, domy malowanym jedwabiem i lampionami, kobiety grzebieniami z kości słoniowej i srebrnymi broszkami. Czyż mogą to być tylko ozdoby, gdy wszystko w tym kraju stało się towarem, nawet człowiek? Czyż ozdoby mają pozostawać na pagórku przodków i w domu, gdy można je przecież wystawić na sprzedaż, gdy cudzoziemcy właśnie po nie wyciągają chciwe ręce, gdy uczynili z nich jeden z najważniejszych przedmiotów handlu? Czyż nadal ma pozostawać czymś naturalnym to, co było naturalne dla przodków, skoro dla cudzoziemców stanowi to kuriozum? Każda ozdoba nazywa się w Pidgin-English: curio.

Ale przede wszystkim zapamiętajcie sobie dobrze słowo „kumsza" — napiwek. Pojęcie to istnieje wprawdzie również i gdzie indziej, tutaj jednak słowo to pochodzi z życia handlowego, od słowa „commision" albo — co jest mniej prawdopodobne — od okrzyku „come ashore" (przybijaj do brzegu), jakim agenci portowi wzywają przepływające sampany, by przewiozły ich do oceanicznego parowca.

„Kumszy" żąda goniec, „kumszy" żąda żebrak, podczas gdy kupcy i urzędnicy posługują się niespaczonym, czysto angielskim wyrazem „squeeze".

Dwa słowa pochodzą jeszcze z czasów portugalskich: „savy", co oznacza: „rozumieć", „wiedzieć", „rozumiesz?", i „masky". „Masky" jest słowem często używanym na Dalekim Wschodzie, odpowiada ono mniej więcej rdzennie angielskiemu „never mind", rdzennie rosyjskiemu „niczewo", rdzennie niemieckiemu „scheissegal" lub rdzennie polskiemu „jeden diabeł". Czyż znaczenie tego wyrazu nie jest teraz dość jasne? Masky!

Wszystko, co jest małe, jest „pony". „Pony" jest kieliszek do wódki, „pony" dziecko, pony bowiem jest to mały mongolski konik, na którym pan wyjeżdża rano, by użyć trochę ruchu (poza tym zaś używa ruchu tylko kulis, zaprzężony do jego rikszy).

„Topside" znaczy „na górze", „bottomside" — „na dole", „chop-chop" — wyraz kantoński — znaczy „prędko", a „olo" (old) — „stary"

*

Dla każdego, kto choć trochę zajmował się historią lub filozofią języka, zaznajomienie się z Pidgin-English jest wielce pouczające. Nigdzie nie demaskuje się imperializm tak jak w tym swoim tworze językowym.

Chciałoby się wiedzieć czy istnieje już jakaś socjologiczna analiza tego praktycznego języka. Ale gdzie tam! Gramatyka, słownik? Skądże! Cała literatura składa się z tomika wierszy „Pidgin English Tales", który ukazał się na początku bieżącego stulecia w Kantonie. Ach, jakiż to wesoły „poeta". Wyśmiewa on w języku pidgin kulisa-rykszę, który kartkę reklamową bierze za banknot dolarowy, krawca, który zaszył brytyjskiemu marynarzowi dziurę w spodniach i dlatego tytułuje się teraz na swym szyldzie: „Dostawcą departamentu wojny i admiralicji", jednym słowem, wyśmiewa głupotę Chińczyków, chociaż najgłupsi z nich mają więcej rozumu w tyłku niż poeta i jemu podobni w mózgu — proszę o wybaczenie, że w podnieceniu wymknęło mi się niestosowne słowo „mózg".

III. „Tam jest brzeg!"

Wieczorem port należy do amerykańskich marynarzy i żołnierzy marynarki, zwanych gobs i leathernecks. Nikt nie śmie zadzierać z nimi, choćby nawet inne mocarstwa morskie były w knajpie w wię-

kszości, gdyż marynarze innych flot pełnią służbę wojskową z musu i otrzymują tylko nędzne dniówki, podczas gdy Amerykanie zaciągają się jako ochotnicy i otrzymują odpowiednio wysoki żołd, oczywiście w złotych dolarach. „Learn while you earn — ucz się zarabiając", wołają plakaty werbunkowe.

Kto ma więcej pieniędzy, tego dziewczęta więcej kochają, tak w Chinach jak w Nadrenii, tak na lądzie jak i na wodzie. Właściciele knajp wolą gobsów i leathernecksów od nieamerykańskich marynarzy także z innego powodu: z powodu prohibicji. Na pokładzie nie ma alkoholu, w porcie nie brak go nigdy. Na pokładzie nie ma ani jednego pijanego marynarza US-Navy, w porcie nie ma ani jednego trzeźwego marynarza US-Navy.

Właściciele knajp są zarazem Amerykanami i marynarzami, chociaż nie mają już ani amerykańskiego paszportu, ani munduru marynarza, a więc dwóch rzeczy, które Amerykanina czynią Amerykaninem, a marynarza marynarzem. Dlaczegoż to stracili paszport i mundur? Dlatego, że są dezerterami. Właściwie nie są nawet dezerterami, dezerterem bowiem jest ten, kto opuścił swój oddział macierzysty bez wiedzy przełożonych i poszukiwany jest przez wojskowe władze sądowe. Nasi gospodarze zaś opuścili swego czasu oddziały macierzyste nie tylko nie bez wiedzy przełożonych, lecz na ich wyraźny rozkaz, i bynajmniej nie są poszukiwani przez wojskowe władze sądowe. Są legalnymi dezerterami — coś, co w marynarkach i kryminalistyce innych narodów w ogóle nie istnieje.

Otóż sprawa ich przedstawia się tak: byli oni marynarzami na okrętach US-Navy, lecz marynarzami zgoła niepożądanymi. Wciągali kolegów do hazardowej gry, uprawiali homoseksualizm albo pożyczali pieniądze na procent. Aż wreszcie sprawa przybierała takie formy, że kapitan wzywał winnego do siebie i wskazywał za burtę, gdzie można było rozpoznać najbliższy port, do którego okręt miał zawinąć.

„There is the beach", mówił kaiptan. Tylko tyle. „There is the beach — tam jest brzeg".

Wówczas ten, któremu w ten sposób wskazano brzeg, schodził na ląd, by już nigdy więcej nie powrócić na pokład. Udawał się do najbliższej knajpy i informował jej właściciela o swych przyjacielskich

stosunkach z US-Navy i o swych umiejętnościach i zdolnościach do gry i odgrywania, o tym wszystkim, czego „nauczył się zarabiając", jak to pięknie określają plakaty werbunkowe.

Jakiż gospodarz nie przyjąłby współpracownika, który może mu pozyskać nowych klientów i któremu nie musi płacić pensji, tylko procenty? Jeżeli poszukujący pracy chełpi się tylko swymi stosunkami i umiejętnościami, nic nie zarobi. Ale zazwyczaj nie są to przechwałki. Procenty nowego współpracownika stanowią wcale ładną sumkę, ponadto wygrywa on w grze i ciągnie zyski z pożyczania pieniędzy. Wkrótce też ex-marynarz sam otwiera sobie knajpę, o ile możności w Szanghaju. Szanghaj jest bowiem najlepszym portem nad Pacyfikiem, lepszym niż Hongkong, Sajgon, Manila i Singapore razem wzięte, zawsze roi się tam od morskich sił zbrojnych, które nasz przyjaciel umie godnie podejmować.

Marynarze w swych białych bluzach, zahisowanych na bakier czapkach kuchcików zarzucają u niego kotwicę. On zaś uczy marynarzy, palaczy i kanonierów III klasy pić nowe gatunki mieszanych wódek i powierzać cały swój miesięczny zarobek, 32 złote dolary, strzelającym rakom (shooting crabs), dwum kostkom, które więcej dają kombinacyj, niżby się po nich można spodziewać, dopóki się jest nowicjuszem. Uczy się jednak tych kombinacyj nie tylko zarabiając, lecz również przegrywając.

Również marynarze starszych roczników zapełniają bary. Ci wiedzą od dawna, jak strzelają raki, i tak energicznie stukają kubkami do rzucania kości, że ledwo nie rozwalą lady. Mają znacznie więcej do stracenia niż 32 złote dolary miesięcznie. Po kurtce każdego można poznać, ile może przegrać, przehulać lub przepić. Biały orzeł na rękawach u wszystkich jednakowo rozpina swe skrzydła, ale to, co jest pod nim wyszyte, nie u wszystkich jest jednakowe; po tym właśnie można poznać dokładnie, jaką gotówką rozporządza gość. Kto ma na ramieniu czerwony kąt i śrubę okrętową, jest matem-maszynistą i dostaje 42 złote dolary, bosmanmat ma koło sterowe i 47 dolarów, ogniomistrz z dwiema skrzyżowanymi lufami armatnimi i trzema kątami może stawiać 98 dolarów miesięcznie na strzelające raki, główny elektrotechnik 110 dolarów, a oficer pokładowy — baczność, baczność — nawet 156 złotych dolarów.

Najmilej widziani spośród wszystkich gości są ci, którzy odsłużyli już swoje cztery lata i zaciągnęli się na nowo. Mają teraz sześć tygodni urlopu, a w kieszeni czteromiesięczny żołd i pieniądze na podróż do kraju. Pieniądze na podróż, to tylko pięć centów za milę, ale w sumie stanowi to sporo, droga bowiem od Szanghaju do Baltimore wynosi kilka tysięcy mil, a przy tym wcale się jej nie przebywa, pieniądze te muszą więc starczyć tylko od Szanghaju do Szanghaju, hurra! Urlopowany marynarz kupuje sobie cywilne ubranie i robiąc z siebie cywila prowadzi z marynarzami w marynarskich knajpach marynarskie rozhowory i przegrywa marynarski żołd. Jedna jest tylko różnica: jego shore-liberty, urlop na ląd, nie kończy się o określonej godzinie, może sobie pić i grać w kości, jak długo ma ochotę, w ogóle — wszyscy koledzy zazdroszczą mu tego — nie chodzi na pokład i nocuje prywatnie, hurra!

Ale jak to jest z owym przyzwyczajeniem do oszczędzania, którym tak chlubi się kierownictwo amerykańskiej marynarki wojennej? Oto jak wygląda ta sprawa: Każdy prawie marynarz zobowiązuje się do niepodejmowania części żołdu. Temu, kto podpisze takie zobowiązanie, płatnik każdego miesiąca potrąca z żołdu określoną sumę, którą przekazuje do banku, zazwyczaj do Bank of Italy w San Francisko. Choćby nawet marynarz miał kiedyś nadzwyczajne wydatki i porobił długi, płatnik nie zna litości; umówiona suma zostaje potrącona i przekazana do San Francisko.

Szanghajskiemu szynkarzowi taka surowość płatnika w stosunku do jego klientów wcale nie jest niemiła. Gdy bowiem wypłacalni marynarze pragną uregulować należności czekiem na swe oszczędności, szynkarz wzrusza ramionami i mruczy, że nie robi takich interesów, że to trwa tygodnie, i diabli wiedzą, jak nisko może spaść dolar w przyszłym miesiącu (jak gdyby dolar amerykański był inflacyjną marką* lub jak gdyby dolar chiński posiadał jakieś niezwykłe tendencje zwyżkowe). W końcu zgadza się jednak przyjąć czek za 50% jego wartości i otrzymuje w banku całe 100%.

---

* W roku 1932, przed faktyczną dewaluacją dolara.
(Przyp. tłum.).

Marynarzowi 50% wystarcza, jeżeli może za to w St. George przetańczyć całą resztę wieczora lub wynająć w pełnych hałasu i światła uliczkach dzielnicy Chao-Pao-San rosyjską emigrantkę, po której zostaje mu niezbyt miła pamiątka z Szanghaju. Earn while you learn.

Kulis-ryksza, który, kierowany kopnięciami, co wieczór galopem odwozi marynarzy do portu, otrzymuje dwa i pół do pięciu centów amerykańskich. Ameryka łoży miliony na utrzymanie swej pozycji w Chinach. Jak widzimy, Chiny w postaci kulisów-ryksz także otrzymują coś z tych pieniędzy.

ŚWIĄTYNIA KAR

Kochany Synu!

Niniejszym proszę Cię usilnie, byś nigdy nie dopuszczał się grzechów.

Z pewnością będziesz się dziwił otrzymując nagle taką moralizatorską radę ode mnie, Twego ojca, którego tryb życia, jak to już i Tobie wiadomo, bynajmniej nie harmonizuje z tym nieludzkim nakazem. Otóż, Synu mój, od dzisiaj wiem, jakie straszliwe czekają mnie kary. Dla mnie jest już za późno, bym mógł ich uniknąć, może nie byłoby za późno na skruchę — lecz na odzwyczajenie się od tak miłych mi grzechów jest już za późno...

Ciebie jednak, mój kochany Synu, Ciebie muszę ostrzec. Dowiedz się tego, czego ja się dziś dowiedziałem: każdy grzech, jaki masz na swym sumieniu, każdy występek, jaki popełniłeś, każdy nałóg, jakiemu hołdowałeś, każda wina, jakiej się dopuściłeś, każde przykazanie, jakie złamałeś, wszelki nierząd, jaki uprawiałeś — wszystko to zostanie Ci policzone i za wszystko spotka Cię straszliwa kara.

Dowiedziałem się tego dzisiaj oglądając grupy barwnych posągów. Nie były one piękne — w Państwie Środka, dokąd chciwi cudzoziemcy przybywają gwoli naszych dzieł sztuki, w naszych Chinach, gdzie każdy świecznik, każda waza, każda zabawka, gdzie wszystko tchnie tradycją przodków i duchem mistrza, akurat posągi, które dziś ujrzałem zdrętwiałym z przerażenia okiem, są rzeźbione zupełnie bez smaku. Wiele, wiele świątyń zwiedziłem w mym życiu, by nakłaniać mnichów i sługi boże do odstępowania mi posągów i świętego sprzętu — dzisiaj, zwiedzając świątynię Sze-Ba-Ji, po raz pierwszy nie znalazłem żadnego przedmiotu, który by nadawał się do odsprzedania.

Posągi tej świątyni są rzeczywiście tym, co obcy handlarze kuriozów — przeważnie kiedy mają przed sobą prawdziwe dzieła sztuki — nazywają kiczem. Otóż w naszym wielotysiącletnim, szczególnym państwie wszystko ma swoje wielotysiącletnie, szczególne znaczenie. Nawet kicz. Tych grup posągów nie zrodziła fantazja artysty, pokazują one jaskrawo nagą, niczym nieupiększoną, niezłagodzoną prawdę.

Tak, mój Synu, prawdę. Jeszcze wali moje serce, jeszcze drży moja ręka, jeszcze uginają się pode mną kolana pod wrażeniem tego, co dziś ujrzałem, już wali moje serce, już uginają się pode mną kolana na myśl o tym, co mnie jutro czeka.

Proszę Cię, Synu mój: unikaj grzechów. Unikaj ich. Posłuchaj mojej, tym razem naprawdę ojcowskiej, rady, byś nie musiał każdego nieopatrznego kroku opłacać z procentami i procentami od procentów.

Wiem wprawdzie: kiedyś, w chwili słabości pożałujesz, żeś posłuchał mej dzisiejszej rady. Z żalem będziesz może wspominał wtedy długi, które niepotrzebnie spłaciłeś, dziewczynę, której przez szlachetność nie uwiodłeś. „Ach, dlaczegoż nie wykorzystałem wtedy tych możliwości", zawołasz gniewnie, „wszystko to tylko z powodu owego moralizatorskiego listu, który napisał do mnie ojciec 15 czerwca 1932 roku! O, gdybym nigdy nie posłuchał tej rady!"

W tej chwili słabości, kochany mój Synu, w tej przyszłej chwili słabości, w której mnie przeklniesz, wyrusz w drogę i udaj się do Pekinu, by przekonać się, że miałem słuszność ostrzegając Cię w mym piśmie z dnia 15 czerwca 1932 roku, i niech w Twym sercu zrodzi się współczucie dla Twego biednego ojca, którego pośmiertne losy zostaną Ci tam plastycznie przedstawione.

Byś wiedział, dokąd masz skierować swe kroki, opiszę Ci drogę do świątyni, z której — jeszcze szczękają mi zęby jak gong w ręce szaleńca — właśnie teraz powróciłem.

Kulis-ryksza zawiezie Cię tam niechętnie, boi się on siedziby duchów piekła. Zapewne powiezie Cię przez wschodnią bramę Tszi-Dże-Men i zatrzyma się po lewej stronie ulicy przed świątynią Tung-Juch-Miao.

To nie jest ta właściwa świątynia, chyba że dokuczałyby Ci — niech Cię nieba mają w swej opiece i chronią od tego — jakieś do-

legliwości. Tylko w wypadku, gdyby tak rzeczywiście było, przeciśnij się przez tłum na żółwim dziedzińcu, dotknij konia z brązu w tym miejscu, w którym Twe ciało jest chore, i pomódl się, i złóż ofiarę przed ową niszą, w której siedzą wyrzeźbieni z drzewa, nadnaturalnej wielkości Twoi bracia w cierpieniu. Jeżeli dolega ci tylko furunkuł, nalep plaster w odpowiednim miejscu odpowiedniej figury; poznasz ją łatwo, jest ona i tak już obficie oblepiona na nosie, pod pachami, na karku, na pośladkach i nogach. Gdybyś po drodze nabawił się kataru lub kolek, zapalenia oczu lub jakiejś dyskretnej choroby (nie, to ostatnie nie może Ci się przydarzyć, gdyż, choć wprawdzie nie jesteś z drzewa, przychodzisz tu właśnie dlatego, żeś nigdy nie zaznał radości), to udaj się do grupy swoich współpacjentów z drzewa. Dotknij posągów w miejscu, które Cię boli, okiem oka, zębem zęba, członkiem członka, a będzie Ci lepiej.

Potem zaś opuść tę świątynię. Przejdź sto kroków na wschód i zatrzymaj się po prawej, przeciwległej stronie ulicy. Kaprawego, trędowatego żebraka z wyciągniętą, kościstą ręką, który będzie usiłował wymanić okup za wstęp przez wąską bramę, odepchnij na bok, i znajdziesz się w świątyni „Sze-Ba-Ji", świątyni „Osiemnastu czarcich prowincji". Już otaczają Cię, osaczają, opadają okręgowi i podokręgowi funkcjonariusze państwa piekieł.

Kwadratowy dziedziniec, otoczony z czterech stron domami. Cztery długie, parterowe budynki z osiemnastoma otwartymi od podwórza komorami. Bestie znajdują się w tych osiemnastu katowniach i tłum zwiedzających gromadzi się przed nimi. Lecz bestie nie są żywe, jeno z rzeźbionego, pomalowanego drzewa, a zwiedzający nie przez ciekawość tu przebywają, są oni drżącymi pokutnikami. Nie trudno Ci będzie poznać, kto do jakich win się poczuwa, każdy bowiem stoi przed tą komorą, w której przedstawiona jest kara za jego przewinienia.

Żaden z pokutników nie boi się, że przez miejsce, w którym stoi, zdradzi swe przestępstwa, i żaden nie spogląda na swoich sąsiadów, którzy wszak przez to, że modlą się tu i składają ofiary, ujawniają, iż są kolegami po fachu, takimi samymi mordercami, złodziejami lub czymś jeszcze gorszym. Spojrzenie każdego jest utkwione w obraz jego losów na tamtym świecie, przerażenie i strach maluje się w tym spojrzeniu.

W Twoim spojrzeniu jednak, mój Synu, nie będzie przerażenia i strachu. Ciebie nie czeka przecież żaden z losów, jakie tu ujrzysz. Uniknąłeś ich dzięki ojcowskiej przestrodze. Ja, Twój ojciec, nie uniknę ich, mnie bowiem mój ojciec nie mówił o tej świątyni odstraszających obrazów. Czy wciąż jeszcze żałujesz, że unikałeś grzechów?

Albo może sądzisz, że mogłeś popełnić je niepostrzeżenie? Każdy z osiemnastu namiestników ma w głowie niezliczoną ilość oczu, nie poziomych, wyłupiastych, a więc niewidzących oczu obcych diabłów, lecz skośnych, wąskich, a więc wszystkowidzących oczu. Każdy z nich ma oczy na rogach, we włosach i w futrzanym kołnierzu, otulającym szyję, ba, założyłbym się, że mają oni oczy nawet z tyłu. Temu mnóstwu oczu nie uszedłby żaden z grzechów, jakiebyś popełnił. I wszystko jest zanotowane w księdze kontowej naczelnego czarta. To, co się nigdy i nigdzie nie zdarzyło, tu jest faktem: nie zapomniano tu wnieść ani jednej pozycji debetowej. Dłużnicy muszą płacić męczarniami.

Pachołkowie piekielni, maszkary z psimi i krecimi pyskami (prawdopodobnie biedni krawni wicekróla piekieł) dokonują egzekucyj. Jednemu wykrawają serce, ponieważ jako zły sługa uciekł od swego pana, drugiemu obcinają język — kłamliwy, obłudny język, co poznaje się po tym, że jest długi i wije się jak wąż w rękach katowskich pachołków. Albo spójrz na tego oto! Wloką go za włosy na szafot, gdzie już klęczy dwóch innych; na nich kat dokonał już swego dzieła, głowy ich leżą u jego nóg. Może byli to naprawiacze świata i wywrotowcy? Dobrze im tak!

Ale co, do wszystkich osiemnastu diabłów, mogło zawinić to dziecko, które pachołek o psim pysku miażdży w drewnianej prasie? Dziecko nie zawiniło nic, zmiażdżenie go jest tylko karą za grzechy rodziców — mam nadzieję, że Ty, mój Synu, nie będziesz cierpiał tak potwornych katuszy za moje winy. (Byłoby mi bardzo przykro). Lepiej jednak jest umrzeć w dziecięcym wieku, niż być narażonym na to — następna grupa —. że będą Ci zdzierać skórę z ciała, i to tak, że twarz z oczami, uszami, nosem i ustami zwisa na pół już odartego ze skóry ramienia.

Nie pomaduj sobie włosów! Tego młodzieńca powieszono na suficie głową w dół, aby ściekły zeń wszystkie wonne olejki, których używał za życia. Kupca, który oszukiwał na wadze, te piekielne hycle wyginają do tyłu, aż szyja jego daje się przywiązać do kostek nóg; kupiec wisi przy tym na spuszczonej z sufitu linie i huśta się jak gimnastyk robiący na kółkach „gniazdo". W dodatku jest obwieszony ciężarami; ważą one tyle, ile taele, które zdobył oszukując klientów, o, biada mi!

Troje ludzi przykutych jest do rozżarzonej rury, w środku kobieta, po bokach dwaj mężczyźni, z którymi się zadawała. Taka, nie inna, jest kara za nierząd, o, biada mi, biada!

Tutaj jednego zanurzono aż po głowę w piekielnym kotle, tam znów innego wciśnięto w rozłupany pień drzewa i teraz przepiłowują go razem z pniem. Tu dwie niewierne żony, ślubna małżonka w niebieskiej szacie i konkubina w czerwonej, muszą pożreć swego kochanka; czy ma to być karą dla nich, czy też dla niego, nie można rozpoznać, w każdym razie z oczu kobiet wyziera ból i cierpienie, twarz mężczyzny zaś została już połknięta i dlatego widz nie może ocenić jej wyrazu. Lichwiarzy i krzywoprzysięzców stacza się z wysokiej góry, której zbocza naszpikowane są ostrymi sztyletami, o, biada mi, biada!

Kto za życia nie płacił rachunków, niech nie myśli, że śmierć zwalnia go od zobowiązań. Za każdy grosz płaci się częścią ciała, taka jest waluta piekła. A jeżeli części ciała nie wystarczają na wykupienie rewersów, musi się pokryć deficyt przy następnej reinkarnacji przychodząc na świat kaleką. Tu klęczy dwóch dłużników, obok nich wierzyciel przedstawia czarciemu sędziemu dawno już płatne, lecz dotąd niewykupione weksle, a psy piekielne — egzekutorzy sądowi w swej prawdziwej postaci! — chciwie wyciągają obcęgi po odpowiednie części ciała.

Grzeszna para. Leżą na posłaniu, jak często ongiś leżeli. Jednak tym razem nie jest to miękkie łoże z jedwabnymi kołdrami, nie, leżą na płycie żelaznej, na której są smażeni i przypiekani ogniem.

Straszliwe, okrutne, potworne rzeczy dzieją się w numerze osiemnastym, piekle wszystkich piekieł. Tronuje tam naczelny czart, w rękach trzyma berło i księgę kontową i wyznacza każdemu z wprowa-

dzanych grzeszników rolę, którą ten będzie musiał odgrywać na następnej stacji wędrówki swej duszy.

W szyderczym, piekielnym śmiechu szczerząc zęby wręczają pachołkowie grzesznikowi wyrok, strzęp kudłatej skóry wielbłądziej; oznacza to ,że następnym razem będzie on musiał jako wielbłąd wędrować po ziemi. Drugiemu przeznaczona zostaje niełatwa i bynajmniej nie bezpieczna egzystencja tygrysa. Trzeciemu wręczają rybią łuskę jako wzór jego stroju w nadchodzącym sezonie. Nie chciałbyś również tkwić w skórze czwartego, jest to bowiem skóra zająca.

Na skrajnej lewicy zaś stoi człowiek, któremu ze złośliwym uśmiechem podają futro parszywego szczura, nie, nie futro, lecz łysą, pozbawioną włosia, pokrytą wrzodami skórę wielkiego szczura — zbuntował się bowiem przeciw władzy, przełożonym i duchowieństwu.

Widzisz więc, Synu, że kary, jakie się ponosi w Chinach w życiu doczesnym za walkę przeciw reżimowi — ostatnio pogrzebano żywcem pięciu dwudziestoletnich poetów — są jeszcze humanitarne w porównaniu z tymi, jakie grożą za tę zbrodnię w życiu pozagrobowym.

Na miłość boską i czarcią, bądź posłuszny, mój Synu, władcy, bądź posłuszny zwierzchnictwu, bądź posłuszny kapłanom, nie podburzaj nigdy przeciw nim, abyś jako dobry obywatel i płatnik podatków mógł powrócić do ziemi dopiero wtedy, gdy będziesz martwy.

A gdy parszywy, łysy szczur przeleci Ci przez drogę, będziesz mógł z czystym sumieniem brać udział w szczuciu i biciu tej gadziny, sam bowiem zawsze będziesz pobożnym sługą wszystkich kolejnych władców słuchając rady Twego

serdecznie pozdrawiającego Cię
Ojca Pa-Lo-Ji
kompradora w Szanghaju

P. S. Gdybyś wskutek tego, żeś przez całe swe życie nie zakosztował nigdy radości, doznał uczucia rozkoszy na widok tych potworności (jak kilku młodzieńców, którzy jednocześnie ze mną zwiedzali dziś Świątynię Kar), niech Cię to nie przeraża. Sadyzm bowiem nie jest, zdaje się, karalnym przestępstwem, przeciwnie: wyraźnie hołdują mu wszyscy diabli i może właśnie w tym kierunku uzdolnionych klientów traktują oni bardziej życzliwie.

Wyżej podpisany

GODOWN

Zbyt już bezładnie wiruje w głowie wszystko, co się widzi, słyszy, a przede wszystkim czuje.

Rampy i drewniane pomosty łączą poszczególne budynki składów w jeden kompleks. Kulisi, obładowani ciężkimi pakami, chwiejnym krokiem wloką się po spadzistej rampie. „Ley-la, hui-la", śpiewają idący przodem, „ja idę, zejdź z drogi". „Hui-la, hang-la", wtórują im idący z tyłu, „zejdź z drogi, przepuść mnie".

Ley-la, hui-la
hui-la, hang-la.

Z wezwaniem tym bynajmniej nie zwracają się do nas ani w ogóle do kogokolwiek, śpiewają nawet wtedy, gdy nikogo nie ma na drodze. Zawsze jęczą tę melodię, czy to wtedy, kiedy drepcąc i chwiejąc się noszą ciężary na plecach, czy też gdy — charakterystyczny obrazek ulicy Szanghaju — zaprzężeni do obładowanego wozu, w pięciu lub dziesięciu, zgięci w kabłąk, ba, pełzający niemal na czworakach, ciągną ciężary. Zawsze tych samych sześć zgłosek stacza się z rampy:

Ley-la
hui-la
hang-la.

Co pięć minut tę pieśń kulisów pochłania przeraźliwy gwizd syreny okrętowej, a tragarze znikają w kłębach dymu, buchającego z komina okrętu i ostrzeżenia nie słyszy się właśnie w tej chwili, kiedy jest ono najbardziej potrzebne. Tam, skąd wali kłębami dym, na statek wloką się kulisi.

Składy znajdują się tuż koło przystani na Broadwayu, nad Jungtsepoo road i Pootungu, po drugiej stronie Wangpoo, gdzie place są tańsze niż w settlemencie międzynarodowym.

Składy nazywają się tu „godown". Nazwa ta wywołuje w pamięci obraz londyńskiego kupca z czasów Dickensa, obraz wysokiego pana z bokobrodami, który posyła swego praktykanta do piwnicy po belę bawełny: „Go down — zejdź na dół".

Ale szanghajski „godown" nie ma nic wspólnego z angielskim słowem „go down", nazwa ta pochodzi od malajskiego słowa „gadong", nie schodzi się też do godownu na dół, lecz wchodzi na górę, nie jest on patriarchalnym składem piwnicznym, lecz nowoczesną budowlą betonową. Jeśli coś przypomina dickensowskie czasy, to tylko warunki pracy; londyński kupiec w Szanghaju zachowuje warunki pracy z dickensowskich czasów i dba o to, by nie zmieniły się one nawet w tym stopniu, w jakim zmieniły się w Anglii.

Podczas gdy o fabrykach Szanghaju publikuje się statystyki i ankiety socjalne, o składach portowych nie ma żadnej literatury, chociaż w Chinach niewiele fabrykuje się towarów, raczej przystosowuje się je do handlu, przy czym wszystkie związane z tym czynności odbywają się właśnie w składach portowych.

Niektóre godowny są własnością firm eksportowych, inne znów należą do towarzystw gruntowych i okrętowych, które wynajmują pomieszczenia większym firmom różnych branż, toteż, obchodząc kompleks budynków składowych, poznaje się strukturę całego prawie handlu zagranicznego i różne metody pracy.

Drzwi stoją otworem, na bambusowych drągach i na plecach wnoszą przez nie towar kulisi. Dyszą ciężko wchodząc po rampie z workami nasion bawełny.

Hang-la

hui-la

Ley-la

Harują ciężko, podobnie jak robotnicy, którym przynoszą towar. Bez przerwy naciskają robotnicy pedały maszyny, nieustannie uderzają nasiona bawełny o koło i wypadają na zewnątrz. W kole zostają tylko drobne włoski, których dotąd jeszcze nie usunięto z nasion, najmniej

wartościowy materiał bawełniany, jednak nadający się jeszcze do produkcji. Włoski i pył unoszą się w powietrzu. Wysokie, brudne stosy bawełny, z której najpierw muszą być wydzielone ziarna, są ułożone wzdłuż ścian, poza tym poniewierają się wszędzie dokoła; na tych szarych pagórkach jedzą robotnicy i bawią się dzieci, tak małe, że jeszcze nie mogą pracować.

Obok: gremplarnia bawełny. Odpadki i resztki z przędzalń i tkalń, wełniane i bawełniane, sortowane są przez kobiety i dzieci według koloru i gatunku i rozdzielane podobnie jak szmaty w fabrykach papieru.

Kulisi wnoszą na górę bele niesortowanych odpadków —

hang-la

hui-la

Ley-la

Kulisi schodzą z posortowanym materiałem —

Ley-la

hui-la

hang-la.

Z długich hal, w których pakuje się skóry kóz, sarn, łasic i królików, woń padliny wdziera się do wszystkich pomieszczeń i wszystkich galeryj wszystkich pięter ,osiada na rampach, miesza się z pyłem odpadków bawełny i pierza, z wonią kiszek i kałuż nafty na podwórzu i z dymem zakotwiczonych tuż przed gmachem okrętów.

Na koszach i przed koszami siedzą kobiety i dzieci, przebierają odpadki z przędzalń jedwabiu, wybierając z nich resztki kokonów dla fabryk, wytwarzających gorsze gatunki jedwabiu.

Pierze jest poważnym artykułem eksportowym. Na wiosnę zarzyna się setki tysięcy kaczek z doliny Jangtse; nie oskubuje się ich, lecz zanurza we wrzącej wodzie, tak że pierze samo wypada, często zresztą ściąga się przy tym również części skóry, płetw i dziobów. Pierze suszy się na powietrzu, przy czym trzeba je nieustannie rozgarniać, aby nie usmażyło się w skwarze chińskiego słońca lub, co gorsza, nie zajęło ogniem wskutek nadmiernego rozgrzania. Ubija się je nogami i wiąże w bele, po półtora do dwóch pikulów (90 do 120 kilogramów) każda.

Wiele kaczek rodzi się w chińskich moczarach, wielu handlarzy, białych i żółtych, czyha na ich upierzenie. Bank wypłaca zaliczki eksporterowi, eksporter agentowi, agent skupującemu, a skupujący hodowcy. Tak obiega pieniądz. W odwrotnym kierunku obiega towar.

Oto teraz znalazł się tu w składach portowych. Opierzenie skrzydeł i ogona, nadające się tylko na nawóz, zostaje wysortowane; z reszty, przez pocieranie o plecione rzeszota, usuwa się nieczystości, wapień, starte na proszek muszle i piasek. Gęstymi tumanami unosi się w powietrzu pierze i pył, wszyscy pracujący tu mężczyźni, kobiety i dzieci mają usta osłonięte chustkami, inaczej bowiem udusiliby się — nowoczesny betonowy budynek nie posiada ani wentylacji, ani automatycznych odkurzaczy.

Pierze i puch prasuje się hydraulicznie w bele po trzy pikule (180 kg — wartości ok. 350 dolarów); podczas gdy płyty prasy zsuwają się, maszyna obciąga pierze ściśle przylegającym pokrowcem, a pasy z mokrej słomy ryżowej i żelazne obręcze ściskają je mocno.

A gromada kulisów podnosi ciężkie bele pierza na prętach bambusowych i pochyloną kolumną schodzi ze składu do pomostu przystani parowców oceanicznych; jednocześnie z parowców rzecznych wynosi się do godownów wory z nieoczyszczonym pierzem. Na rampie krzyżują się śpiewy kulisów:

Ley-la hang-la
hui-la
Ley-la hang-la

Również czyszczenie kiszek zwierzęcych odbywa się w godownie i ma swe oktawy w klawiaturze nieznośnych zapachów. W Chinach nie robi się wędlin, wszystkie więc kiszki mogą być wysyłane do Europy. Przybywają one do składów portowych z głębi kraju. W godownie napełnia się je pod kranami wodą, aż pęcznieją jak balony. Robotnicy w drewnianych chodakach stoją na drewnianych rusztach, niekiedy aż po kolana w wodzie, mierzą, obcinają, sortują kiszki i pakują je do beczki. Powietrze jest przesycone wonią zgnilizny i pierwotnej zawartości kiszek. Tutaj już dzieci nie pracują, gdyż nawet dorosłych woń ta przyprawia o wymioty.

Odory w dokach londyńskich specyficzne dla poszczególnych ulic, tutaj skondensowane są w jednym budynku. Budynek ten jest bardziej nowoczesny niż dockyards w Londynie; tak imponujących swą prostotą granitowych fasad, ani tak dobrze wycementowanych ramp, nie ma w porcie Tamizy. Natomiast w dokach londyńskich poruszają się wszędzie wielkie, masywne dźwigi, elektryczne żurawie z brzęczącymi łańcuchami, sznury samochodów ciężarowych i pociągi podjeżdżają aż do składów. Nic podobnego nie widzi się na brzegu Wangpoo. Nawet belki z blokami do wciągania ciężarów, już przed pięciuset laty umieszczane w portach europejskich na szczytach składnic towarowych, w wielkim Szanghaju nie zostały jeszcze wprowadzone.

Tańszy od najtańszej maszyny jest w Chinach człowiek, ręce jego są żurawiami, ramiona łańcuchami, plecy samochodem ciężarowym, nogi pociągiem — maszyny te nie potrzebują mechanika ani olejów pędnych, a naprawienie defektu nic nie kosztuje przedsiębiorcy, gdyż maszyną jego jest człowiek.

Gospodarka rabunkowa zamiast racjonalnej, broń zamiast maszyn wytwórczych, opium zamiast żywności, misjonarze zamiast nauczycieli, policja zamiast związków zawodowych, oto ślubne dary Europy dla Chin. Oglądajcie, słuchajcie, wąchajcie życie w godownach i wczuwajcie się w nie, oglądajcie dzieci w tumanach pyłu bawełnianego i pierza, słuchajcie zawodzącej pieśni tragarzy, wąchajcie kiszki i skóry i oceńcie, co uczyniła tu cywilizacja Zachodu i czego nie uczyniła.

Godowny są czystsze tylko tam, gdzie mieszczą się artykuły spożywcze. 100 milionów filiżanek herbaty wypija dziennie sama tylko Anglia, herbaty importowanej z Chin i Cejlonu. Staranną, pieczołowitą opieką otoczone są składy herbaty, porowate budowle z drewnianą podłogą, które nie pocą się tak jak budowle z żelazobetonu.

Wprawdzie kulisi, pracujący na plantacjach herbaty — zbierają 15 funtów liści herbacianych dziennie otrzymując za to 6 do 8 centów — nie liczą się z angielskimi konsumentami, lecz w portowych składnicach herbaty czysto wymyte ręce przesiewają listki przez gęste sita,

by nie pozostały na nich najdrobniejsze ziarnka piasku, najdrobniejsza kruszyna ziemi.

Podobnie w składach jaj, wspaniałych, widnych budynkach firm amerykańskich, higiena dzierży berło w interesie towaru, w interesie klienta, w interesie jego żołądka. Robotnicy noszą białe kitle, białością lśnią stoły, na których rozbija się jaja, i suszarnie, w których oddziela się białka od żółtek; sproszkowane jaja wysyła się do fabryk klusek, makaronów i majonezów.

Z chłodni godownów w letnim skwarze znoszą kulisi ciężkie skrzynie do chłodni okrętowych.

Ley-la

hui-la

hang-la.

Każdy tragarz, przechodząc przez pomost okrętowy, otrzymuje pałeczkę bambusową, którą oddaje kierownikowi grupy; ile odda pałeczek, tyle miedziaków otrzyma potem od niego. W składach pałeczka bambusowa z pieczęcią firmy stanowi płacę dniówkową, zazwyczaj 70 miedziaków za dwanaście godzin pracy.

Kantyną jest chow-shop, gospoda, mieszcząca się w sieni przeciwległego domu albo na plecach handlarza ulicznego. Tam można otrzymać obiad: miskę ryżu, kilka kropel zielonego lub czerwonego sosu i do tego pieczywo. Kosztuje to dwanaście miedziaków. Popija się tę strawę gorącą wodą, za którą płaci się w chow-shop miedziaka albo cegiełkową herbatą (najtańszy gatunek z prasowanych odpadków).

Okazy rasy indo-germańsko-kaukaskiej, o której uczyliśmy się w szkole, że zamieszkuje Europę, ma skórę białą, poziomo osadzone oczy, duży nos i wysoki wzrost, rzadko tylko widzi się w godownach; pełnią tam funkcje rachmistrzów i kontrolerów; pracują na dwie zmiany po sześć godzin każda, podczas gdy przedstawiciele rasy mongolsko-chińskiej pracują w jednej, dwudziestogodzinnej zmianie.

Widzimy kulisa, obstąpili go koledzy. Za ich radą obwiązuje sobie bawełną i kawałkiem juty dwa palce, które przed chwilą zostały zmiażdżone.

Na dole czekają jednokołowe wheel-barrows: czterech dorosłych lub ośmioro dzieci zajmie miejsca po obu stronach koła i jeden człowiek zawiezie ich do domu.

Głowy tych dorosłych i małoletnich pasażerów kiwają się, bezwładnie zwisają ręce, które przygotowały na eksport do Europy i Ameryki chińskie towary: puch na poduszki, żółtka na majonezy, kiszki na kiełbasy, jedwab na suknie, skóry na okrycia futrzane.

NANKIN I CZERWONI

Co? Nankin jest nudnym miastem?

O nie, nigdy się z tym nie zgodzę, przeciwnie, jest to miasto ciekawe i pouczające. Oto dzisiaj na przykład, 1 czerwca 1932 roku, widzimy oddziały wojska, godzinami maszerujące w pełnym rynsztunku ulicą Czungszan.

Co w tym nadzwyczajnego? Przemarsze wojsk przez ulice miast nie są rzadkością, a Czungszan jest przecież ulicą?

Otóż właśnie Czungszan nie jest tylko ulicą, Czungszan jest również pseudonimem, którego Sun Jat-Sen używał za granicą. Na jego to cześć nadano ulicy tę nazwę.

Dlaczegoż by ulicą, której nazwa pochodzi od przydomku Sun Jat-Sena, nie miały przechodzić oddziały wojska? Alboż to Sun Jat-Sen był pacyfistą? Czyż nie prowadził wojen domowych? Czyż nie stanąłby sam na czele oddziałów, przeciągających przez tę ulicę, gdyby jeszcze żył?

Zapewne, w ogóle wojskom, maszerującym przez jego ulicę, nie można nic zarzucić, Sun Jat-Sen nie był pacyfistą, prowadził wojny domowe i sam by kroczył na czele oddziałów przeciągających przez tę ulicę, gdyby żył. Ale nie na czele t y c h oddziałów.

Nie na czele t y c h oddziałów? Przecież to 19 armia, która zaledwie pół roku temu walczyła z Japończykami w Szanghaju i powstrzymała ich ofensywę. Walczyła z obcymi imperialistami. Czyż nie było to w duchu Sun Jat-Sena?

Tak, to było w duchu Sun Jat-Sena. Lecz teraz wyrusza ona przeciw czerwonym prowincjom, i droga jej prowadzi przez ulicę Czung-

szan, ulicę Sun Jat-Sena. Czyż i w tym nie ma nic nadzwyczajnego? Sun Jat-Sen powiedział przecież kiedyś, że każdy wróg komunistów jest tym samym wrogiem Kuomintangu i powinien być z niego usunięty. Jak brzmi jego wyznanie wiary, którym ściągnął na siebie nienawiść burżuazji chińskiej i wywołał zbrojny opór tej burżuazji, wspomaganej przez Anglię? — „Wraz ze zwycięstwem rewolucji rosyjskiej rozpoczęło się nowe życie Chin. Dlatego święćmy dziś tę rewolucję i naśladujmy Rosję". I nie tylko pod względem politycznym winny wziąć sobie Chiny Rosję Sowiecką za jedyny wzór, Rosję Sowiecką, której zawdzięczają swe ukonstytuowanie się jako państwa i zniesienie haniebnych traktatów, winna ona być dla nich wzorem również pod względem militarnym: „Czerwona Armia Rosji powinna być waszym wzorem" wołał Sun Jat-Sen defilującym przed nim oddziałom wojskowym rządu kantońskiego.

I oto dzisiaj maszerują oddziały wojskowe przeciw czerwonej armii Chin. Przed miesiącem wycofano je z okręgu szanghajskiego i skierowano do Nankinu, celem uzupełnienia. Badano każdemu serce i płuca, oczywiście, nie w sensie medycznym. I tych, u których stwierdzano oznaki, budzące podejrzenie, że nie będą ślepym narzędziem reakcji, całkiem po prostu usuwano. Na miejsce usuniętych przyjęto bezwzględnie pewne elementy z innych formacyj. Popularny szyld pozostał: 19 armia. Nowe szeregi zostały wymusztrowane, wprowadzono surową dyscyplinę, ściśle według wskazówek doradców wojskowych, niemieckich oficerów. Trzydziestu cesarsko-republikańskich oficerów. Przybyli tu z pułkownikiem Bauerem na czele i cieszą się zaufaniem Czang-kai-szeka. Początkowo Ententa obawiała się, że dzięki ich wstawiennictwu niemieckiemu przemysłowi wojennemu przypadnie w udziale zbyt wiele dostaw. Czy jest tak w istocie, czy nie, nie ma to dziś dla mocarstw tak wielkiego znaczenia. Niemcy bowiem postawili uzbrojenie i wyszkolenie oddziałów chińskich na tak wysokim poziomie, że imperializm międzynarodowy może być tylko zadowolony. W każdym razie Anglia na pewno woli niemieckich fachowców wojskowych niż amerykańskich. Ameryka woli ich niż francuskich.

Uzbrojenie i wyszkolenie 19 armii, która bez uzbrojenia i bez wyszkolenia potrafiła stawić opór Japończykom, jest już teraz na takim poziomie, że można ją rzucić przeciw Chinom, przeciw chińskim

terytoriom radzieckim, budującym pokojowo nowy ład, bez imperializmu, bez kapitalizmu, bez panowania feudalnego, bez obcych, bez opium, bez banków prywatnych, bez pracy dzieci, bez handlu dziećmi, bez misjonarzy, bez ceł wewnętrznych, bez bandyckich generałów, bez gangsterów, bez łapownictwa.

Niektórych spośród maszerujących żołnierzy widzieliśmy w schronach podziemnych w Tszapei, lecz nie poznajemy ich.

Nie, nie, Nankin zaiste nie jest nudnym miastem! Wiele rzeczy można tu zobaczyć, choćby na samej tylko ulicy Czungszan.

Szare, lniane mundury, owijacze, skórzane pasy i wysokie kepi, takie jakie nosiła c. k. armia Austrii; tylko że zamiast znaczka z literami F. J. I., inicjałami cesarza Franciszka Józefa, mają rozetki z niebieskim słońcem, słońcem Kuomintangu. Kolumny te można by wziąć za wojsko europejskie, gdyby nie to, że na plecach każdego żołnierza wisi wielki, pleciony ze słomy kapelusz-dach, kapelusz-parasol, i gdyby nie to, że u każdego za pasem tkwi włochaty ręcznik, który zanurza się w zimnym strumyku lub w gorącej wodzie na herbatę, by ochłodzić twarz. Szarże trzymają w rękach latarnie elektryczne, wielkie, wyglądające raczej na buławy marszałkowskie. Któż to wpakował Chińczykom ten sprzęt? Latarnia jest najbardziej rzucającą się w oczy cechą charakterystyczną nowej armii chińskiej, podobnie jak termos — japońskiej. Na chłopięcej piersi każdego żołnierza połyskuje medal: wyszkolenie skończone, teraz idź przeciw swym towarzyszom, przeciw swym braciom klasowym, zabij ich jak najwięcej, a znów otrzymasz medal.

Rząd jest zadowolony, że się ich pozbywa. Chociaż 19 armia została rozcieńczona, jednak jest to 19 armia, wciąż jeszcze służy w niej wielu z tych zuchów szanghajskich, którzy bez rozkazu z Nankinu przeciwstawili się Japończykom i nie chcieli podporządkować się nakazanej przez Nankin kapitulacji. Strzeżony przez swych wiernych pupilów z ulgą oddycha Czang-kai-szek obserwując ze swej twierdzy, gmachu Akademii Wojennej, odmarsz wojsk; z ulgą oddycha minister skarbu T. V. Sung w swej willi na wzgórzu Gwiazdy Północnej, z ulgą oddychają wymuskani panowie w domu partyjnym Kuomintangu, z ulgą oddychają reprezentanci przedstawicieli wielkich mo-

carstw (sami przedstawiciele siedzą w Pekinie, o dwa dni drogi koleją od siedziby rządu), z ulgą oddychają wszyscy przyglądając się przeciągającemu wojsku.

W dzielnicy portowej Hsiakwan zostanie ono załadowane na prastare, cytrynowo-żółte statki rzeczne, przycumowane u brzegu Jangtse. Kanonierki najnowszego typu zakotwiczone są pośrodku rzeki. Gdyby na okrętach transportowych zrobiło się nieco za głośno, wówczas na kanonierkach zrobiłoby się jeszcze głośniej. Możecie być tego pewni. 61 dywizja została już załadowana, 60 i 78 maszerują mimo nas wzdłuż wybrzeża, a „North-China Daily News", chińska gazeta Anglii, będzie mogła stwierdzić jutro z uznaniem, że również druga połowa 19 armii bez żadnych incydentów wyruszyła z Nankinu na terytoria „czerwonych".

Słowa „czerwoni" i słowa „komuniści" w sprawozdaniach z procesów i akcji interwencyjnych nie wolno pisać bez cudzysłowu, zbyt wyraźnie bowiem nazwał Sun Jat-Sen każdego wroga komunistów wrogiem Kuomintangu. Dlatego też mówi się o tak zwanych komunistach, o komunistach w cudzysłowie, gdy się ma na myśli komunistów bez cudzysłowu. Ale najlepiej mówić: bandyci. Przy bandytach nie potrzeba cudzysłowu, przeciwnie, postawieniem go można by ściągnąć na siebie karę. Terminologię tę przyswoiła sobie nawet brytyjska prasa w Chinach, dla której zresztą bandyci i komuniści to pojęcia równoznaczne i której niełatwo byłoby odpowiedzieć na pytanie, jaką widzi różnicę pomiędzy komunistami w cudzysłowie a komunistami bez cudzysłowu.

Sądy chińskie skazują komunistów za „knowania reakcyjne". Sędzia stwierdza w wyroku, że oskarżony uprawiał wybitnie reakcyjną działalność występując przeciw imperializmowi, przeciw panowaniu banków, przeciw lichwie zastawowej i przeciw opium.

Przeciw takim właśnie reakcjonistom wyrusza teraz 19 armia; już przedtem wiele oddziałów popłynęło w tym samym celu w górę Jangtse. We wrześniu 1930 roku jedna kanonierka angielska, jedna amerykańska, trzy japońskie i jedna włoska ruszyły w przykładnej zgodzie na zdobycie Czangsza; wszystkie antagonizmy puszcza się szybko w niepamięć, gdy Ameryka, Japonia (z trzema okrętami),

Anglia i Włochy pragną obalić „reakcję". Desanty z „H. M. S. Aphis" „U. S. S. Palos", „H. I. J. M. S. Atami", „Futami" i „Kutama" i „S. M. R. d' I. Carlotta" dopuszczały się najohydniejszych okrucińśtw, którymi jeszcze szczyciły się podkreślając, że „zwłaszcza Commandor Tisdale z „Palosu" dał żądnym krwi hordom, inspirowanym przez Rosję, próbkę ich własnej medycyny" (Chinas Weekly Review", z 6 września 1930 roku).

Mimo tej „próbki" Sowiety powiększyły jeszcze swe terytoria, które już wtedy były zamieszkane przez więcej niż 50 milionów ludzi. Mimo tej „próbki"? Właśnie, z powodu tej „próbki"! To, że Kuomintang w walce z czerwonymi Chinami uciekł się do pomocy obcych mocarstw, wzburzyło również bezpartyjnych chłopów spoza okręgów sowieckich.

Po raz drugi więc Kuomintang nie mógł sobie na to pozwolić. Rząd nankiński musiał sam pokazać, co potrafi. W lutym 1931 roku rozpoczęła się akcja „pacyfikacyjna" przeciw „czerwonym" prowincji Kiangsi, z udziałem 15 dywizji pod osobistym dowództwem Jego Ekscelencji ministra wojny, Ho Ying-Chinga. W czerwcu Ho Ying-Chingowi przyszedł z pomocą naczelny wódz Czang-kai-szek na czele trzystutysięcznej armii. Nigdy dotąd nie wysyłano tak olbrzymich zastępów przeciw jednej prowincji.

Zniszczone zostały wsie, wymordowano w nich starców i dzieci, wytępiono bydło i spalono zbiory. Jedynie czerwonych nie udało się wytępić. Z chłopów, którzy tworzą Czerwoną Armię, najwyżej jeden na trzech miał karabin, a na każdy karabin przypadały zaledwie dwa naboje; tak uzbrojeni, przez sześć miesięcy prowadzili oni wojnę partyzancką mając przeciw sobie armię rozporządzającą 256 europejskimi działami polowymi, 12 samolotami, karabinami maszynowymi i zagranicznymi fachowcami wojskowymi. W końcu dywizje Kuomintangu zostały przepędzone, zupełnie tak samo jak prusko-austriacko-emigrancka armia interwencyjna we Francji przez sankiulotów młodej francuskiej armii rewolucyjnej, jak francusko-angielsko-amerykańsko-niemiecko-czesko-japońsko-białogwardyjskie armie i floty zostały przepędzone z Rosji przez bolszewików. Dowód, że przewaga techniczna tylko wtedy stanowi jedyną przesłankę zwycięstwa, kiedy

obie armie są jednakowo zainteresowane w wyniku wojny, to znaczy wcale nie zainteresowane. W wojnie rządu nankińskiego przeciw ludowi zainteresowanie klasowe nie było jednakowe.

Wśród łupów, zdobytych przez czerwonych, znalazły się trzy samoloty. Okryto je prowizorycznym dachem, i tak stoją jeszcze do dziś dnia; nikt nie potrafi ich obsłużyć, co nie przestaje być przedmiotem kpin prasy pobitego Kuomintangu. W dwa miesiące po ucieczce armii rządowej Kuomintang ogłosił „przerwanie akcji pacyfikacyjnej uzasadniając to tym, że okupacja Mandzurii przez Japończyków wymaga skoncentrowania sił narodowych przeciw wrogowi zewnętrznemu. Minister wojny ekscelencja Ho Ying-Ching po powrocie z wyprawy wywodził przed IV Zjazdem Kuomintangu, dlaczego skoncentrowanej armii nie udało się zdobyć ani jednej nawet prowincji rewolucyjnej. „Mieszkańcy terytoriów okupowanych przez bandytów popierali zbrodnicze hordy, podczas gdy oddziałom rządowym było niezwykle trudno uzyskać choćby najdrobniejszą pomoc ze strony ludności". Jedną tylko pocieszającą nowinę miał minister Ho Ying-Ching dla zjazdu: „W obozie bandytów szerzą się epidemie, i wskutek braku pomocy lekarskiej ludzie mrą tam masowo. Zbliżająca się surowa zima przysparza im trudności, tylko nieliczni bowiem spośród nich posiadają zimową odzież".

Czy wzmianka o tym, że „czerwoni" nie posiadają nawet zimowej odzieży, została przyjęta przez zjazd radośnie, protokół nie zaznacza. W każdym razie w rezolucjach uznano za pierwszy obowiązek rządu przedsięwzięcie nowej ekspedycji dla wytępienia czerwonego niebezpieczeństwa; okupację północnych Chin przez Japończyków potraktował zjazd jako sprawę mniejszej wagi. Aby wykonać tę uchwałę, muszą teraz chłopcy, którzy dla obrony swych rodzin i siedzib jako ochotnicy zaciągnęli się w Szanghaju do 19 armii, wyruszyć przeciw swej ojczyźnie, przeciw prowincjom swej ojczyzny, urzeczywistniającym trzy zasady Sun Jat-Sena. Ale i ci chłopcy w szarych mundurach, z nowymi karabinami, lśniącymi medalami i elektrycznymi latarniami nie wywalczą zwycięstwa, jakie przyrzeka im rozkaz dzienny. Na czym ma ono polegać? W czym ma się ono wyrazić? W skomasowaniu podzielonej ziemi, w przydzieleniu gruntów panu feudalnemu, w przywróceniu ceł wewnętrznych, w przywróceniu przekups-

twa, w ponownym zasianiu pól makiem, w ponownym dopuszczeniu misjonarzy? W zamknięciu nowych szkół, drukarń, bibliotek, gazet?

Czyż ludzie ci sądzą, że uda się im zbrojną przemocą znów wpędzić lud w ciemnotę? Na zjeździe sowietów chińskich, który otwarty został 7 listopada 1931 roku, w dniu czternastej rocznicy rewolucji rosyjskiej, w Jufkinie, oznajmiono, że w sześciu okręgach radzieckich w ciągu czterech lat osiem milionów ludzi nauczyło się czytać i pisać. Prasa angielska podwoiła nawet tę liczbę i pisała o „szesnastu milionach ludzi, których nauczono czytać po to, by uczynić z nich podatny element dla drukowanej propagandy wywrotowej". Pisma Marksa, Lenina i Sun Jat-Sena drukowane są w nakładach sięgających miliona egzemplarzy. W pewnym mieście, gdzie nakład „Państwa i rewolucji" Lenina wyczerpał się wobec braku papieru, zjawiali się w drukarni ludzie z papierem własnego wyrobu i odbijali sobie książkę z matryc. Pewien Amerykanin pisze do szanghajskiej „Evening News", że „we wszystkich okręgach, sąsiadujących z bandyckimi terytoriami, pieniądze papierowe z wizerunkami znanych agitatorów komunistycznych, Marksa i Lenina, są uznawane za pełnowartościowy środek płatniczy".

Co? Z odmarszem wojsk Nankin traci swoją jedyną atrakcję? Poza tym jest to nudne miasto?

O, nie, z tym się nigdy nie zgodzę! Spójrzcie na przykład, jak rozkopuje się tu wszystkie ulice. To nie sprawa samorządu, to sprawa polityczna, zapłata, jaką ofiarowuje Anglia Nankinowi za zwalczanie czerwonego niebezpieczeństwa.

Płacona przez Chińczyków od 1900 roku danina karna jest w ostatnich latach inwestowana przez wielkie mocarstwa w samych Chinach. Amerykanie za pieniądze, ściągane tytułem indemnizacji za powstanie bokserów, dla celów propagandowych wysyłają Chińczyków do swoich college'ów. Ale ci studenci, miast stać się żółtymi jankesami, stają się często przeciwnikami obcego panowania i zwolennikami rewolucji.

Anglia nie jest tak głupia jak Ameryka. Anglia daje chińskie pieniądze tylko na cele komunikacyjne, i to na takie roboty, do których materiału dostarcza sama po odpowiednio wysokich cenach. Wszędzie, jak widzimy, siedziba rządu wasalnego zostaje ufortyfiko-

wana, zakłada się rurociągi i kable i montuje stacje radiowe, aby przemysł angielski mógł na tym zarobić, wszędzie, jak widzimy, burzy się domy, by przeprowadzać szerokie ulice, na których szwadrony kawalerii swobodnie mogłyby szarżować powstańczy lud.

Miasto jest dobrze obwarowane. Wzmocniony został podwójny pierścień otaczających je wałów, odnowiono bramy miejskie, chociaż samoloty bynajmniej nie zwykły wjeżdżać przez bramy twierdz, a pociski dział okrętowych zatrzymywać się bezradnie przed ich murami. Ale nie dla obrony przed nowoczesną artylerią stoją kompanie wartownicze pod każdym łukiem bramy... Wróg, przeciw któremu zbroi się miasto, nie posiada samolotów bombowych ani pancerników na Jangtse, ani nowoczesnych pociągów pancernych. Wróg, przeciw któremu zbroi się miasto, nie jest wrogiem zewnętrznym. Może on niebawem stanąć przed bramami. Nankin jest zawsze gotów do ucieczki.

Każdy przyjezdny zostaje zatrzymany przed bramą miejską, straż skrupulatnie bada pergaminy, stwierdzające miejsce pochodzenia i zawód, i sprawdza pozwolenie na pobyt w mieście, zanim otwiera bramę siedziby partii „ludowej" i jej rządu. Biedota zamieszkuje dzielnice podmiejskie, pomiędzy dworcem kolejowym a bramą miejską. Również jednak w samym mieście brudu i nędzy jest więcej, niż można sobie wyobrazić.

Chłopi uprawiający pola ryżowe, i tkacze brokatów mają swe chałupy po wewnętrznej stronie wewnętrznego muru warownego albo na dole, na ufortyfikowanym brzegu rzeki Czin-Hwaj. Zapadające się budy drewniane są warsztatami tkaczy brokatów, stare słupy przydrożne podpierają ich krosna. Pomiędzy dziesięcioma prętami bambusowymi, poruszanymi nogą tkacza, wyrasta wzór, czółenko ze swą złotą treścią jedzie z lewa na prawo, dzieci skręcają czarne i złote włókna. Wydaje ci się, że bezcelowo poruszają się ich palce, że bawią się tylko powietrzem, nie widzisz wcale włókien, tak szybko się to odbywa. Przy tej pracy pochylają dzieci głowy na prawo i na lewo jak zawodnicy w sześciodniowym wyścigu kolarskim. Nie wolno im podnieść wzroku, nawet wtedy, kiedy pracownię odwiedza gość. Na czerni rodzącego się jedwabiu wyrastają cztery złociste ptaszki, znikają, i znów cztery takie same złociste ptaszki

wyrastają na jedwabiu. Ich ukazywanie się i znikanie odbywa się w atmosferze brudu i głodu. Żona tkacza prosi nas o mały datek. Tkaczom nie wolno sprzedać ani jednego metra brokatu, cały towar dawno już, jeszcze zanim go wyprodukowano, został zastawiony u dostawców przędzy w Czekiangu. Wszędzie otaczają cię żebracy. Cholera i trąd zbierają obfite żniwo nie natrafiając nigdzie na opór.

Wiele nędzy wślizgnęło się do miasta, mimo zakazów pobytu, mimo warowności tego podwójnie obwarowanego miasta. Podwójnie obwarowanego? Tak. Nankin ma swoją twierdzę materialną i ideologiczną, przy czym ideologiczna jest natury materialnej. Doprawdy nie rozumiem, jak można nazwać Nankin nudnym miastem.

Wysoko w górę wznosi się cytadela ideologiczna: grobowiec Sun Jat-Sena. Nawet waszyngtońskie mauzoleum Lincolna, na którym pomnik ten jest niewątpliwie wzorowany, nie jest tak pompatyczne i luksusowe. Miliony pochłonęła ta jedyna prawdziwie monumentalna budowla republiki. Mingowie, którzy są pochowani tuż obok, nie mają tak wspaniałych grobowców. A przecież Mingowie panowali w Chinach przez trzysta lat, Sun Jat-Sen zaś, pierwszy prezydent republiki, musiał już po kilku miesiącach ustąpić miejsca cesarskiemu mandarynowi, Juan Szi-Kajowi, który obwołał się Synem Nieba. Cztery razy uciekał Sun Jat-Sen z republiki uchodząc przed jej władcami, tak jak przedtem musiał uchodzić przed władcami cesarstwa. Gdy został prezydentem rządu kantońskiego, był on, narodowy rewolucjonista, dla kupców i wielknch mocarstw rewolucjonistą zbyt socjalnym. Kupcy rzucili przeciw niemu swą kantońską gwardię, a Anglia, w której rządy sprawował robotniczy gabinet Macdonalda, posyłała im transporty broni. Sun Jat-Sena opór jego przeciwników nauczył wiele, nauka jego, pełna niejasności i kompromisów, stawała się coraz bardziej zdecydowana i socjalna.

W 1925 roku umarł i został pochowany tu na górze. Kilometrowej długości szerokie marmurowe schody, ozdobione wazami, obeliskami, pilonami, prowadzą na szczyt, do olbrzymiego posągu, do sarkofagu. A jednak ten grobowiec nie jest luksusową budowlą, jest budowlą celową, dziesięć milionów dolarów nie poszło na marne. Zabezpieczenie ideologiczne. Patrzcie, jak czcimy Sun Jat-Sena, my, którzy rządzimy w duchu jego nauki. „My" — to obecni władcy Nan-

kinu. Sun Jat-Sen znał ich dobrze i określił jako „zwyrodniałych rewolucjonistów, fałszywych rewolucjonistów, którzy w ostatnich latach byli pochłonięci jedynie robieniem kariery i bogaceniem się. Ludzie ci zhańbili wielką sprawę rewolucji i ducha rewolucyjnego i ośmieszyli ją... Zerwijcie z ludźmi tego pokroju i zapomnijcie o nich..."

Karierowicze sami dokonali tego zerwania, krwawego zerwania. Teraz oni są u władzy. Nie urzeczywistnili ani jednej nauki Sun Jat-Sena, ani jednej nie usiłowali nawet urzeczywistnić. Cudzoziemcy, z których panowaniem walczył Sun Jat-Sen, są protektorami jego następców, związki zawodowe, stworzone przez niego, przeistoczono w żółte stowarzyszenia zawodowe, jego rewolucyjne związki chłopskie zniszczono, gangsterzy — zjawisko towarzyszące chicagowskiemu kapitalizmowi — cieszą się względami rządu, bandyccy generałowie — zjawisko towarzyszące panowaniu feudalnemu — są udzielnymi książętami tego państwa. Kwitnie tu handel opium, kwitnie handel bronią, kwitnie praca dzieci, kwitną cła wewnętrzne.

Żona Sun Jat-Sena, wierna jego ideom, musi mieszkać w cudzoziemskiej dzielnicy Szanghaju, inwigilowana przez czternaście szanghajskich organizacyj szpiclowskich wielkich mocarstw, i nie może stanąć na ziemi chińskiej nie narażając się na zamach ze strony partii, która mieni się partią jej męża; wśród cudzoziemców ma ona przyjaciół tylko w amerykańskiej pisarce Agnes Smedley i odważnych współpracownikach prześladowanego zewsząd czasopisma „The China Forum".

Oddziały, wysłane przeciw sowieckim okręgom, maszerują przez ulicę, nazwaną imieniem człowieka, który na łożu śmierci napisał do rządu sowieckiego następujący list:

> „Drodzy towarzysze! Leżę na łożu śmierci, myśli moje zwrócone są ku wam i ku przyszłym losom mej partii i mego kraju. Stoicie na czele tych republik, które wyzwolił nieśmiertelny Lenin. Gdy narody, dziś jeszcze będące ofiarami imperializmu, pójdą waszymi śladami, wówczas wyzwolą się z pęt tego ustroju społecznego, który zawsze był oparty na niewolnictwie, wojnie i niesprawiedliwości. Zostawiam partię, która, jak zawsze się tego spodziewałem, będzie w sojuszu

z wami walczyła o wyzwolenie Chin i innych ujarzmionych narodów. Dlatego polecam mej partii, by pozostawała z wami w stałym kontakcie. Czuję się szczęśliwy wierząc niezłomnie, że i nadal będziecie udzielali poparcia memu krajowi.

Teraz, żegnając się z wami pragnę dać wyraz nadziei, że nadejdzie dzień, gdy Związek Radziecki będzie mógł w wolnych i silnych Chinach powitać swego przyjaciela i sojusznika, i że oba państwa będą szły ręka w rękę w wielkim boju o wyzwolenie uciskanych całego świata.

Z braterskim pozdrowieniem

Sun Jat-Sen

Umarł i chińscy urzędnicy policyjni wdarli się do eksterytorialnej dzielnicy poselstw zagranicznych w Pekinie, napadli na poselstwo sowieckie, aresztowali personel, wynieśli akta, obsadzili gmach. Spośród drogich placów na wybrzeżu w Szanghaju jeden tylko nie przynosi dochodu, jeden tylko gmach jest niezamieszkały: konsulat sowiecki Garden Bridge.

Odpowiedź Kuomintangu na ostatnie, wyraźne polecenie Sun Jat-Sena: „Polecam mej partii, by pozostawała z wami w stałym kontakcie..."

Stojący pustkami dom może być bardziej interesujący od zamieszkałego. Miasto urzędników, bonzów, monumentalnego grobowca i długich kolumn wojska bynajmniej nie jest nudne. Nie, Nankin doprawdy nie jest nudnym miastem.

JAKŻE DZIWNA ULICA

Wiedeń w Pekinie. Słowa Karola Marksa, że Austria to niemieckie Chiny, zawsze przychodzą nam na myśl, ilekroć błądzimy po labiryncie chińskich ulic. Zaiste czujemy się tam tak, jak gdybyśmy się znajdowali w azjatyckiej Austrii, w chińskim Wiedniu. Tuż obok siebie: hałaśliwa wesołość i nędza, odwieczna herbaciarnia i business, serwilizm i surowość, nienawiść do obcych i obcy przemysł. Naród Feaków. Zawsze jest tu niedziela, w dzień powszedni, zawsze jest tu dzień, również w nocy. Tylko nad ogniskiem nie obraca się rożen. Widzi się więcej głodnych niż sytych. Chińczycy są bardziej wiedyńczykami niż sami wiedyńczycy, w najlepszych czasach Wurstelprater nie mógł się mierzyć z Tjen-Men-Da-Dje, ulicą Pekinu, którą należałoby zaznaczyć na globusie fosforyzującą kreską. W wiedeńskim Praterze stoi (albo stał) w środku karuzeli pięciometrowej wysokości Chińczyk z warkoczami i zwisającymi wąsami i podnosi rękę, gdy koniki karuzeli zataczają koła. W Chinach nie ma karuzeli z pięciometrowej wysokości Europejczykiem pośrodku, błogosławiącym jadących na niej ludzi. W tej więc dziedzinie Wiedeń ma nad Pekinem zdecydowaną przewagę. Również gdy na przykład Mei Lan-Fang bądź Lo Sa-Jung (aktorka ta, Rosa Jung, jest córką Niemca) przechodzi ulicą, nie budzi to takiego poruszenia jak ukazanie się ulubieńca publiczności teatralnej w alei Prateru. Podobnie w konkurencji pomiędzy grupami figur panoptikum Präuschera a grupami posągów świątyni „Sze-Ba-Ji" Präuscher otrzyma palmę pierwszeństwa. A młode wino? Tego Pekin w ogóle nie zna. Ale za to, co się w Wiedniu nazywa pogrzebem pierwszej klasy, jest po prostu niczym wobec konduktu pogrzebowego w Chinach. Podczas nocnego spaceru napotyka się co

prawda dwa, trzy trupy zmarłych z głodu — tym nie wyprawia się żadnego pogrzebu — ale taki prawdziwy pogrzeb to kondukt z trumną z drzewa bukowego, w której wygodnie się mieszka, i grabarzami w czerwono-zielonych szatach; muzyka gra, a za tobą niosą figury pięknych dziewcząt, lokajów i innych ludzi, którzy mogą ci się przydać na tamtym świecie. Sprzedajcie me szaty, jadę do nieba! O sposobność do zamienienia szat na pieniądze nie trudno, lombard jest zawsze vis à vis. Ale o tym potem.

Na wpół zamknięty dostęp do chińskiego miasta. Okratowane bramy oddzielają osiedle cudzoziemskie Szanghaju od rdzennych Chin. Teraz biali zabezpieczyli jeszcze bramy zasiekami z drutów kolczastych i postawili warty z karabinami; pozostawiono jednak wąskie przejścia między workami piasku i drutami kolczastymi, gdyż całkowicie Zachód bez Wschodu obejść się nie może. Co prawda kompradorzy, wielcy krajowi pośrednicy europejskiego kupca, nie mieszkają w mieście chińskim. Ale mieszkają tam żółci maklerzy, agenci i inkasenci białego kupca. A przede wszystkim mieszkają tam jego klienci i kulisi. Są mu potrzebni i dlatego muszą przedzierać się do osiedla cudzoziemskiego, nawet wtedy, gdy dostępu doń bronią druty kolczaste i worki piasku, bagnety i kraty.

Po tamtej stronie granicy. Nazwę ulicy „Boulevard de Deux Républiques" Francuzi wymawiają z uśmiechem zakłopotania: jakże tak można w jednej nazwie wiązać młodą republikę chińską i starą republikę francuską? Gdy przekroczysz granicę, Boulevard de Deux Républiques, wówczas pięciotysiącletnie życie tej młodej republiki, tłum dziwnych, obcych ludzi, zgiełk niezrozumiałych głosów i wir nieznanych rzeczy poniesie cię aż do Nantao, dzielnicy targowej.

Warsztat, sklep i mieszkanie mieszczą się w tej samej izbie. Snycerze pracują tu i sprzedają; rzeźbią z kości słoniowej i świńskiej figury mah-jonga, rączki do parasoli, ustniki do fajek, cygarniczki, kości do gry, małe trzonki do sztabek, służących do drapania pleców, i okrągłe grzebienie do drapania głowy. Pod rylcem snycerzy rzeźbiących w drzewie powstają świeczniki, kulki do liczydeł. Pod ich pendzlem postumenty z ornamentami ze stylizowanych ryb otrzymują barwę i połysk, smoki — straszliwie rozwarte

paszcze, a bożki wojenne — straszliwie rozwarte oczy. Parasolnicy polerują bambusowe pręty, kroją i obrębiają jedwab. Koszykarze, malarze wachlarzy i grawerzy są wytwórcami i kupcami zarazem, pośrednictwo handlowe jest wyłączone. Pisarze listów tuszem i pendzelkiem przelewają tyle uczuć miłosnych na papier, ile może żądać klient za swych kilka miedziaków. Chiromanci wróżą z linii rąk. Golarze swym klientom, siedzącym na chodniku, mydlą uszy puszkiem, osadzonym na drewnianym trzonku. Osobliwe żłobki z papieru są domowymi ołtarzami przodków, srebrzyste pakieciki staniolu — symbolami taelów, które spala się nad grobem zmarłego. Cukiernicy ugniatają smażony cukier w fantastyczne kształty i farbują go. Witryna handlarza drobiu obwieszona jest skrzypcami; z bliska okazuje się jednak, że nie są to skrzypce, lecz kaczki, ugotowane na czerwono w betelu. W jatce leżą płaskie szynki, zawinięte w kolorowy pergaminowy papier; pochodzą ze świń z prowincji Junan, które zdobywają sobie pokarm własnym przemysłem i dlatego mają tak wątłe lędźwie. Przed sklepem handlarza porcelany stoją wielkie porcelanowe piece, hibaczi; w środku różne drobiazgi: filiżanki, dzbanuszki, miseczki do tuszu, spluwaczki i miseczki na pokarm dla ptaków.

Sklepy ptaszników są po prostu oblegane przez Chińczyków, którzy godzinami całymi stoją przed nimi jak zaklęci, patrzą i wsłuchują się w śpiew czyżyków i jaskrawo opierzonych słowików japońskich. Chińczyk jest fanatycznym miłośnikiem ptaków. Gdy wychodzi na spacer, zabiera swego ptaszka; pieczołowicie trzyma przed sobą klatkę, a w herbaciarni stawia ją koło siebie. Widzieliśmy uciekinierów z Tszapei — nie zabrali ze sobą nic poza poduszką i klatką z ptaszkiem. — W klatkach handlarza zwierząt doskonale współżyją ze sobą krety i myszy, jak w owej pieśni o myszy wodnej i krecie, które, by rozkoszować się wieczorną zorzą, na stromą wspięły się górę. (Jest to rzekomo wiersz Goethego, który ponoć spłodził go kiedyś późnym wieczorem leżąc na kanapie). Żółwie i złote rybki kupuje się po to, by obdarzyć je wolnością — rzuca się je do stawu przy herbaciarni. W Chinach uchodzi to za dobry uczynek. Tkwiący w drewnianym futerale mauzer policjanta jest fabrykatem europejskim.

Wszędzie ożywiony ruch. Wszędzie przepełnienie. Podobnie jak na kanałach łodzie z ryżem, płynące do miasta, i łodzie

z ludzkimi ekskrementami, płynące na wieś, nie pozostawiają ani jednego wolnego cala powierzchni wody, tak w dzielnicach nędzy ani jednego wolnego cala gruntu nie pozostawiają ludzie. Mężczyźni noszą długie kitle, opadające do kostek, kobiety — niebieskie, lniane spodnie. Starsze kobiety śpiesznie drepcą na swych małych, okaleczonych przez bandażowanie nóżkach — wydaje się, że przewrócą się lada chwila. Wiele kobiet ma łysiny, prawdopodobnie wskutek tego, że noszą na głowie dzbany i kosze. Małe dzieci z ogolonymi główkami i sterczącymi do góry warkoczykami, w długich, watowanych, z przodu i z tyłu otwartych spodniach, bawią się na ulicy. Pięcioletnie muszą już kleić papierowe smoki lub stożkowate pakieciki staniolu, pieniądze nieboszczyków. Sześcioletnie, ośmioletnie rzeźbią i malują figury mah-jonga, mielą w młynkach soję, zamiatają warsztaty i wynoszą towary. Przy bocznych ścianach domów stoją mężczyźni i załatwiają naturalną potrzebę; lewe nogi całego rzędu są obnażone: ponieważ spodnie nie mają rozporków, podciąga się do góry nogawkę. Domy są niskie, nie wielopiętrowe jak w dzielnicy międzynarodowej, gdzie nad sklepami powiewają wielkie reklamowe płachty z brokatu, gdzie litery na szyldach firm są złocone i gdzie można swobodnie palić opium. W mieście chińskim palenie opium jest zabronione celem zabezpieczenia od konkurencji cudzoziemców, ciągnących zyski z przemytu opium i spelunek opiumowych. W gablotkach sklepów z wyrobami metalowymi w Nantao nie widzi się przedmiotów, które dominują na wystawach analogicznych sklepów na rue du Consulat: fajek opiumowych, pincetek, stojaków i innych utensyliów, niezbędnych przy paleniu opium. Słyszy się tylko syczenie fajki wodnej.

Żebractwo. Żebracy siedzą rzędem koło siebie. Na pokratkowanych płachtach płóciennych, leżących przed nimi, przedstawione są ich losy; niektórzy spauperyzowani inteligenci wypisują swą autobiografię kredą na chodniku, i przechodzień kładzie jałmużnę na tym kwadracie, którego treść najwięcej go wzruszyła. Fakt, że cech żebraków nie przyjmuje kobiet, nie daje się zauważyć na ulicy, trudno sobie bowiem wyobrazić większą ilość żebraczek.

Wielkie oburzenie wśród szanghajskich Europejczyków wywołuje fakt, że pomiędzy żebrakami Szanghaju

spotyka się teraz również białych. Białych w znaczeniu fizycznym i politycznym: rosyjskich emigrantów. Przeważnie w stanie nietrzeźwym, nagabują o jałmużnę Chińczyków. Dawniej zubożały Europejczyk miał niezawodny środek na otrzymanie pieniędzy na drogę powrotną. Zaprzęgał się po prostu do rykszy. Biali nie mogli pozwolić na podważanie ich autorytetu i natychmiast kupowali mu kartę okrętową. Chętnie uczyniono by to samo z rosyjskimi chuliganami, a zwłaszcza z odwiedzanymi przez Chińczyków emigrantkami, ale jest ich już zbyt wiele! Co by też powiedział na to stary Herder, który przed stu pięćdziesięciu laty oświadczył: „To, że Chiny zamykają się przed naszymi europejskimi narodami i krępują bardzo zarówno Holendrów jak Rosjan i jezuitów, nie tylko harmonizuje z całym ich sposobem myślenia, lecz jest również godne pochwały z politycznego punktu widzenia — wobec zachowania się Europejczyków w ich własnym kraju". A wtedy wszak tylko handlowe metody kupców europejskich budziły „tatarską dumę" Chińczyków, a nie pijani żebracy i prostytutki.

Czyżby poganie mogli być miłosierni? Nigdy! Co czwarty prawie przechodzień daje żebrakowi miedziaka. Nie uszło to uwagi misjonarzy kościołów chrześcijańskich, które uznają dawanie jałmużny za miły Bogu uczynek i środek pomocy społecznej. Ponieważ jednak nieokrzesany poganin nie może mieć chrześcijańsko dobroczynnego serca, tłumaczą jego ofiarność lękiem przed zemstą cechu żebraków lub strachem przed demonami, sprzymierzeńcami kalek. Gdyby każdy opieszały ofiarodawca miał być prześladowany, żebracy nie mieliby czasu na żebranie, a demony nie miałyby czasu być demonami.

Różne wiadomości o aptekach. Medycyna w ogóle obfituje w przesądy, lecz przesądy chińskie wydają się mniej głupie od innych. Nad drzwiami każdej apteki wisi malowany tygrys, cieszy się on bowiem sławą uzdrawiającego zwierzęcia. Jądra jego dawno już sprawiały w Chinach cuda na zniedołężniałych mężczyznach, zanim jeszcze Europa poznała hormony i sekrecję wewnętrzną. Podobnie działa gin-seng, alraune, korzeń w kształcie małego człowieczka. Ach, jakże zabobonny jest jednak ten lud! Tylko że analiza dokonana przez chemików europejskich wykazała, iż gin-seng (Panax ginseng)

zawiera duże ilości sperminy i kolaniny. Do 1911 roku firmy chińskie skupowały we Władywostoku korzenie, zbierane w kraju Ussuryjskim i na syberyjskim Pomorzu, i wysyłały je okrętami do Chin. Eksport ten przynosił przeciętnie 450 000 rubli rocznie. Gdy kupcy władywostoccy spostrzegli, że ich zawierający sperminę artykuł stracił na dochodowości wskutek amerykańskich i mandżurskich eksperymentów hodowlanych, zaczęli stosować jako środek pobudzający „Panti", zmielone na proszek rogi ussuryjskich łosiów. I jak mogą tu Chiny nie być przeludnione! — Klient z receptą zjawia się w aptece rzadko, gdyż w każdej prawie aptece za brązową barierą tronuje lekarz. Często sam aptekarz jest lekarzem, wówczas sam bada pacjenta, przepisuje lekarstwa, miesza specyfiki i sprzedaje je. Najważniejsza rzecz — to kolor medykamentu: żółte są na żołądek, czerwone na serce i krew, zielone na wątrobę, niebieskie na oczy, brunatne na kiszki. Gdy ciężarna kobieta zażywa preperat ze sproszkowanego mięsa żółwiego, wówczas dziecko jak naoliwione samo wyślizguje się na świat. I jak mogą Chiny nie być przeludnione!

Lekarze reklamują się. Dom lekarza poznaje się po drewnianych tabliczkach z dziękczynnymi tekstami na fasadzie; wdzięczni pacjenci zaświadczają w ten sposób, z jakich dolegliwości wyleczył ich lekarz. Wymiary tych tabliczek — a to bezwstydna banda, ci Chińczycy! — nie są ograniczone przez żadną izbę lekarską. W gabinecie lekarza ustawione są w oszklonych szafach mało estetyczne srebrne tarcze, podobne do nagród przechodnich naszych imprez sportowych — również premie za skuteczne leczenie. Takimi tablicami i tarczami nie może poszczycić się dentysta, dom jego nie posiada fasady, a on sam nie posiada gabinetu. Dentysta — przynajmniej dentysta ludowy — ordynuje pod gołym niebem; trofeami jego są setki zębów, nanizanych na sznurki, reklamą — małpka na łańcuchu, ale właściwie reklama wcale nie jest mu potrzebna, zęby wyrywa się bowiem na oczach publiczności i każdy nabiera ochoty na poddanie się temu zabiegowi.

Zakłady zastawnicze. Tyle jest tych bezokiennych, półkolistych budynków — na każdym prawie rogu ulicy znajduje się lombard, a wszystkie są pełne, zwłaszcza w nocnych godzinach. Klienci przynoszą brązowe kadzielnice, posążki Buddy, jedwabne

szaty, kołdry i poduszki. Błagając i zaklinając usiłują uzyskać wyższe stawki — nigdzie nie ma tak hałaśliwych zakładów zastawniczych. Jaką rolę w lichwiarskim wyzysku ludu odgrywa w Chinach pożyczenie pieniędzy pod zastaw, wiadomo z dzieła K. A. Wittfogla „Wirtschaft und Geselschaft Chinas"; procent oblicza się miesięcznie, potrąca się go już przy wypłaceniu pożyczonej sumy, zastawiony przedmiot ocenia się nisko, termin płatności wyznacza się krótki. Okoliczność, że lichwa zastawnicza krzewi się w środowisku hałaśliwego życia nocnego, przypomina nowojorską dzielnicę murzyńską Haarlem, gdzie w blasku reklam świetlnych murzyni cisną się do lombardów, by zastawić swe smokingi i saksofony. Tu jak i tam, i tu bodaj w większym jeszcze stopniu niż tam, lombardy stanowią odwrotną stronę rzekomej radości i taniego luksusu.

Lunapark. W sąsiedztwie „Wielkiego Świata" i „Małego Świata" jeden lombard mieści się przy drugim „Wielki Świat" i „Mały Świat" to szanghajskie lunaparki, wielkie, sześciopiętrowe pałace rozrywek, z tarasami, blisko dwudziestoma teatrami, występami akrobatów, stołami gry, baletem dziecięcym, loteriami, strzelnicami, automatami obrazkowymi, krzywym zwierciadłem i innymi „cudami" z europejskich bałaganów. Prostytutki ze swą rajfurką stoją na podwórzu, na tarasie studenci lub tacy, którzy za studentów pragną uchodzić, grają w miniaturowego golfa. W Pekinie ulica Tjen-Men-Da-Dje spełnia rolę dywersji socjalnej. Spisaliśmy tam następującą listę branż:

Snycernie nefrytu
Tkalnie dywanów
Szlifiernie kamieni półszlachetnych
Curio-shops
Wytwórnie emalii cloisonée
Sprzedaż ogni sztucznych
Wytwórnie lampionów
Lakierowanie parasoli
Sprzedaż waz
Wytwórnie papierowych kwiatów
Wytwórnie trumien

Kukły pogrzebowe
Instrumenty muzyczne
Wytwórnie sylwetek żelaznych
Odlewnie brązu
Złotnictwo
Herbaciarnie
Naprawa wachlarzy
Sprzedaż żółwi
Stragany z pestkami melonów
Wytwórnie ołtarzy domowych
Wytwórnie siodeł na wielbłądy
Wytwórnie masek
Sprzedaż lampek opiumowych

i setki innych warsztatów i sklepów, wszystkie udekorowane aksamitnymi płachtami o złotych napisach, olbrzymimi lampionami, histerycznie jaskrawymi papierowymi kwiatami i kunsztownie rzeźbionymi portalami, przed którymi ustawione są akwaria ze złotymi rybkami.

A na skrzyżowaniach wszystkich ulic półkoliste, masywne budynki lombardów. Nie potrzeba im ani witryn, ani reklamy. To transformatory, które przeistaczają radosne sprzedawczynie świecidełek, stałych klientów spelunek opiumowych, roześmianych widzów teatralnych, hojnych gości łaźni — w postacie, błąkające się w jaskrawym drgającym, nęcącym blasku ulicy Tjen-Men-Da-Dje, w powłóczących nogami żebraków, zbiedzone, obdarte dziewczęta z niemowlęciem na plecach i wychudłych, zataczających się mężczyzn o oliwkowo-zielonej cerze palaczy opium.

TEATR CHIŃSKI

I. Chustki, symbolika i chustki

Gdy się pisze o chińskim teatrze, chcąc nie chcąc musi się zacząć od chustek. Gdyż zanim jeszcze rozpoczyna się na scenie gra aktorów, na widowni rozpoczyna się gra chustek; pracze rzucają z bocznego korytarza świeżo zwilżone chustki człowiekowi, który wypożycza je w środkowym korytarzu, wypożyczający rzuca im użyte chustki z powrotem i tak fruwają te płócienne ptaki po całym budynku teatralnym, przed przedstawieniem i w czasie jego trwania.

Na widowni, na której podczas przedstawienia nie gasi się świateł, publiczność wyciera sobie gorącymi, parującymi chustkami czoła, szyje, uszy i oczy (sprzyja to szerzeniu się trachomy i ospy), poza tym widzowie wachlują się, piją herbatę, rozmawiają z sąsiadami, chrupią pestki słoneczników i melonów, ziarnka maku, palą papierosy i kupują czekoladę bądź ryżowe pasztety od handlarzy, bezustannie krążących pomiędzy rzędami.

Zaiste, europejski aktor życzyłby sobie innej publiczności i, zaiste, europejski aktor miałby rację. Natomiast dla chińskiego aktora publiczność chińska jest wprost wymarzona.

Zna ona na pamięć każde słowo dramatu, zna każdy gest. Już to jedno nie podobałoby się aktorowi europejskiemu. Wszak pewien dyrektor teatru, któremu jego dramaturg zaproponował z okazji rocznicy urodzin Schillera inscenizację „Pieśni o dzwonie", powiedział: „Daj mi pan spokój z takimi historiami! Moja publiczność zna to na pamięć, a moi aktorzy musieliby się tego dopiero uczyć".

W Chinach publiczność zna sztuki klasyczne na pamięć, ale aktor zna je jeszcze lepiej. Zna je na pamięć, chociaż przeważnie nie umie czytać (odwrotnie niż w Europie), nauczył się ich w dzieciństwie u nauczyciela, który też zresztą nie posiadał ani pisanych, ani drukowanych ról. Tak dzieje się od tysiąca lat.

Publiczność zapełnia również scenę, i to tak tłumnie, że występujący aktor ledwo może się przecisnąć. Ale że mu się to w końcu jednak udaje, to ostatecznie nie wiem czy można podnieść jakieś poważne zarzuty przeciw przebywaniu widzów na scenie.

Po prostu zaś pochwały godnym zjawiskiem są żądne widowiska teatralnego tłumy Chińczyków za sceną. Godne pochwały z punktu widzenia aktora, który może się czuć szczęśliwy, że spojrzenia tłumów są zwrócone na niego również przed jego występem i po jego zejściu ze sceny. Godne pochwały z punktu widzenia tych tłumów, które nie płacąc za wstęp cisną się przez boczne drzwi, by słyszeć prowadzone dialogi i przypatrywać się przygotowaniom aktorów do występu.

Ten parter „darmowych" entuzjastów nazywa się „ting-tsang-chi", przy czym ting znaczy słuchać, tsang — darmozjad, a chi — teatr. Na ting-tsang-chi nikt nie siedzi, nikt nie pije herbaty, nie wachluje się ani nie chłodzi gorącą chustką, nikt nie ma prawa wołać w zachwycie „chao-chao", gdy wykonawcy czołowej roli uda się wypowiedzieć jakiś monolog dokładnie tak samo, jak wypowiedział go jego poprzednik i poprzednik poprzednika. Godzinami stoją za sceną niemi, wsłuchani w grę aktorów słuchacze.

Jest ktoś, kto jest obecny na każdym przedstawieniu każdego teatru — to Tang Min-Huang. Siedzi w szklanej szafie za sceną i łatwo można go wziąć za rekwizyt teatralny, jeśli się nie jest przyzwyczajonym do tego, że w Chinach rekwizytów nie chowa się za sceną, lecz kładzie na widoku publicznym na specjalnym stole. Ze stołu bierze je, gdy są potrzebne, robotnik teatralny. Zanim na przykład księżniczka w porywie namiętności rzuci się na kolana przed swoim małżonkiem, kulis dawno już rozłożył złocisto-zielony dywan, jak gdyby z góry przeczuł ten wybuch uczuć. A gdy bohaterka markuje napad szału, wówczas na scenę wchodzi jej służący ubrany po cywilnemu i, nie troszcząc się o obecnego przy tym mandaryna, którego

napad szału miał zaskoczyć, pomaga swej pani rozwichrzyć włosy i podrzeć suknię, i to tak, by nie straciła uroku swej postaci i nie obraziła moralności publicznej. Aby ją przekonać, że ta przemiana wypadła estetycznie, bierze ze stołu z rekwizytami lustro, w którym bohaterka przegląda się z satysfakcją.

Tak, wszystkie rekwizyty i wszystkie ruchome dekoracje znajdują się na scenie, a więc Tang Min-Huang, siedzący za sceną i za szklanymi ścianami, nie może być ani rekwizytem, ani ruchomą dekoracją.

Jest bogiem, bogiem teatru. Bogiem mógł stać się z łatwością, ponieważ już przedtem był cesarzem. Jako taki wynalazł on teatr i muzykę, by zabawić swą ukochaną synową Yang Kwei-Fei (kochał ją tak bardzo, że aż włączył ją do swego haremu). Sam szkolił swoich aktorów urządzając przedstawienia w sadzie gruszkowym i dlatego aktorzy chińscy dzisiaj jeszcze są nazywani „studentami gruszkowego sadu", a w żadnym teatrze, nawet w teatrze Mei Lan-Fanga, nie może zabraknąć za sceną posągu Tang Min-Huanga.

Nawet w teatrze Mei Lan-Fanga. Trzeba to wyraźnie zaznaczyć, Mei Lan-Fang bowiem występował niedawno w Ameryce, otrzymał tam tytuł doktora honoris causa i powrócił tak zachwycony kulturą teatralną tego wielce kulturalnego kraju, że jako giętki eklektyk przystąpił do reformowania chińskiego teatru. Otóż teatrowi starochińskiemu można zarzucić wiele, ale reformować go — to to samo, co przerabiać oratoria na muzykę jazzową albo odbudowywać Forum Romanum w stylu modernistycznym.

Teatr starochiński jest teatrem feudalno-dworskim, służy gloryfikacji dynastii, szlachty i cnót mandarynów — eiapopeia dla ludu. Teatr ten jest konserwatywny, konserwatywny do tego stopnia, że stracił wszelki związek z życiem, wszelką zdolność oddziaływania na współczesną rzeczywistość.

Toteż na postacie, które mówią tam na scenie falsetem, jakim nie mówi żaden śmiertelnik, i które mają twarze, jakich nie ma żaden śmiertelnik, publiczność spogląda nie jak na ludzi, lecz jak na istoty z bajki. Publiczność traktuje to tak, jak gdyby lwy i słowiki prowadziły z sobą rozhowory. Dzieci cieszą się, gdy babcia opowiada bajki,

lecz gdyby chciała wprowadzić jakąś zmianę, byłyby niezadowolone. Pragną tych samych gestów, tego samego głosu, tych samych słów.

Nie, doktorze honoris causa amer., Mei Lan-Fangu, nie może pan zreformować starochińskiego teatru, musi on trwać i przeminąć jako kategoria historyczna. Wszak pan sam jesteś elementem tej kategorii, pan, mężczyzna kreujący kobiece role, pan, mężczyzna stąpający na piętach z palcami stóp podniesionymi do góry (tak nie stąpają ziemskie kobiety), pan, mężczyzna z falsetowym głosem i srebrnymi kwiatkami we włosach, pan, dr Mei Lan-Fang. Zjawiska pańskiej sceny nie zniosą transfuzji krwi jankesów, nie zniosą żadnej w ogóle transfuzji, gdyż same nie mają wcale krwi, podobnie jak chińskie obrazy nie mają cieni, ponieważ są nierzeczywiste.

Chce pan wprowadzić żywe konie na scenę, gdy wszyscy widzowie w pańskim teatrze i tak widzą jeźdźca w człowieku, który hasa na kiju od miotły?

Człowiek, którego zabito, nie powinien zmykać ze sceny, lecz leżeć jako broczący krwią trup? Po co? Jego żona, która właśnie przed chwilą została wdową, nachyla się nad niewidzialnym nieboszczykiem, galeria i parter widzą przed sobą ciało trupa, właśnie tam, gdzie powinien on leżeć, ale nie leży.

Po co brutalnie chwytać za czuprynę pojmanego, skoro wyciągnięte symbolicznie ręce baletu zbirów są powszechnie rozumiane jako konwencjonalny symbol aresztowania?

Najzupełniej wystarcza pomalowanie na biało twarzy, by pokazać, że ten mandaryn nadużywa swego wysokiego urzędu — czyż chce pan uszminkować go hollywoodzką mimiką intrygantów? Na cóż błaznowi bat i dzwoneczki, i dwubarwna liberia, skoro już biały plaster na nosie pozwala rozpoznać w nim błazna?

Po co walkom na scenie, tym barbarzyńsko-dzikim, akrobatycznym tańcom z lancami, nadawać cechy realizmu? Po co sceny zbiorowe dla odtworzenia zgiełku bitewnego, skoro wystarcza zręczne wywijanie mieczami przez ponurego żonglera, a w najgorszym razie odtańczenie pojedynku przez dwóch partnerów?

Po co budować kulisy, skoro zarówno dziadek jak i wnuk wiedzą, że szara płachta, pod którą przechodzi aktor, jest bramą miejską?

Na co potrzebny jest zmierzch na scenie, na co w ogóle oświetlenie, skoro rytm muzyki dobitnie (dla ucha Europejczyka aż nadto dobitnie) oznajmia godzinę, oznaczającą przejście dnia w noc? Po co lektyka, skoro całkowicie wystarcza, że tragarz kroczy za „niesionym" trzymając dwa pręty bambusowe po obu jego bokach? Po co instalować wyrafinowaną kryjówkę dla szpiega, skoro może on po prostu stanąć na stole, by móc wszystko widzieć, sam nie będąc widziany?

Na cóż potrzebni są dekoratorzy teatralni, skoro każdy z widzów galerii po przodkach odziedziczył to, o czym marzył Faust: czarodziejski dywan, który unosi go w dalekie kraje, gdy tylko udały się tam interesujące go osoby. Teraz książę wetknął sobie we włosy dwa wielkie bażancie pióra, a więc jesteśmy w kraju barbarzyńców, a nasz książę został wzięty do niewoli. Chodząc podnosi wysoko nogi — plastycznie widzimy przed sobą nieistniejące schody.

„Wejść przez środek", „zejść na lewo" — podobne wskazówki reżysera są tu zbędne; dwoje drzwi prowadzi na scenę, są otwarte, osłonięte tylko lekką kotarą. Przez lewe wchodzą wszyscy aktorzy, przez prawe wychodzą. Poza tym zaś wszędzie jest dosyć drzwi, trzeba tylko nauczyć się je widzieć. Gdy ktoś chce wejść czy wyjść z domu, wystarczy, by wyciągnął tylko obie ręce, jak gdyby odsuwał potężny rygiel i otwierał bramę, i to okazałą bramę — twoja fantazja nie jest zdolna do wyimaginowania okazalszej bramy jak właśnie ta.

Czy można to wszystko zmienić? Nie, nie można. I reformizm — taka jest wszak jego istota — nie rusza fundamentu, zadowalnia się szminkowaniem symptomów. To, cośmy tu wyliczyli, stanowi podstawę feudalno-dworskiej sztuki teatralnej Chin, i nawet Mei Lan-Fang nie może tego usunąć. Jeżeli jednak mimo to modernizuje, to psuje tylko. Wypędza muzykantów ze sceny, wypędza publiczność ze sceny i nie dopuszcza nawet za kulisy tłumów ciekawych słuchaczy W teatrze jego stosowane są efekty świetlne, wykreśla on całe partie ze sztuki, by uwypuklić swoją rolę i pozwala sobie nawet dla zdobycia poklasku wygłaszać wulgarne dowcipy w pewnej lirycznej scenie.

Tak poczyna sobie doktór Mei Lan-Fang (poza tym jest on zresztą delikatną i piękną aktorką o wzruszającym głosie) w starochińskim teatrze, którego nie może ani ocalić, ani obalić.

Również w teatrze Kai-Ming-Chi blask jedwabiów i tricki reżyserii bynajmniej nie przeszkadzają temu, że na widowni fruwają szerzące trachomę i ospę chustki, od których musi się, chcąc nie chcąc, zacząć i na których musi się skończyć, gdy się pisze o chińskim teatrze.

II. Kupujemy kostiumy

Jest „danem", występuje w rolach kobiecych, śpiewa na scenie sopranem, balansuje na niewidzialnej linie, jak gdyby był linoskoczkiem, i wygina ciało w linę S. W życiu prywatnym jest homoseksualistą. Dzisiaj idzie kupować kostiumy, a ja mam mu towarzyszyć. (Honny soit qui mal y pense!)

Ryksze nasze przez Tjen-Men-Da-Dje zajechały przed sklep, w którym roi się od właścicieli, sprzedawców, praktykantów, kulisów; wszyscy oni poza tym są ze sobą spokrewnieni jako bracia, synowie, bratankowie i dalsi krewni. Tak dzieje się w większości sklepów. Nam jednak ten zbyt już liczny personel wydał się tu tym bardziej nie na miejscu, że kostiumy teatralne w Chinach nie mogą być artykułem, który by pozwalał spodziewać się natłoku kupujących. W zasadzie każdy dramat, każda rola i każdy aktor podlegają ścisłym przepisom określającym kostiumy teatralne. Zapewne aktor pewnego dnia wymieni swą starą szatę na nową, zapewne pewnego dnia wymieni swą piękną szatę na jeszcze piękniejszą, ale że teatr starochiński wystawia wiecznie te same sztuki, nie może być mowy ani o toaletach premierowych, ani o związanych z nimi kłopotach. A może jednak?

W każdym razie w sąsiednim sklepie tej samej branży nie było ani jednego klienta, co można było wywnioskować z tego, że właściciel ze swymi braćmi, półbraćmi, dziećmi dzieci, dziećmi rodzeństwa, kuzynami i mlecznymi braćmi ukazał się na progu swego kramu, by patrzeć z zazdrością, jak, wysiadłszy z ryksz, udaliśmy się prosto do konkurencyjnego sklepu.

Zastaliśmy tam dwóch klientów. Jeden, znajomy mego przyjaciela, jest również aktorem, lecz zupełnie innego rodzaju, jest djingiem. Djing to włóczęga, herszt zbójców albo wódz armii, straszliwy w swej fantastycznej charakteryzacji. Jego własne oczy są zaszminkowane,

nad nimi wymalowane są budzące grozę, teatralne oczy; śpiewa niskim głosem i chód jego jest zawadiacki. Tutaj w sklepie, dokąd przyszedł w zwykłym stroju cywilnym, by kupić kostiumy dla swego ucznia i zarobić coś przy tym, nie budził w nas grozy, przypominał aktora charakterystycznego krajów zachodnich.

Drugi klient nie był „studentem gruszkowego sadu", lecz skrzypkiem. Mój przyjaciel przywitał go ozięble. Pogarda ta dotyczyła nie tylko skrzypka jako skrzypka (choć aktor sam stoi na bardzo niskim szczeblu drabiny społecznej, mianowicie pomiędzy żołnierzami a prostytutkami), lecz również heteroseksualizmu w ogóle i faktu, że ta perwersja zaczyna zagnieżdżać się w teatrze.

Na chińskiej scenie w ostatnich czasach role kobiece są tu i ówdzie odtwarzane również przez kobiety. Podobnie jak grze męskich wykonawców tak i ich grze akompaniują przez cały czas hu-tsziny, dwustronne skrzypce, które podkreślają rytm ruchów występujących aktorów i akcentują ich śpiew. Nut nie ma, muzykę dostosowuje się do roli przez wielomiesięczną, a nawet wieloletnią współpracę, i aktor bez swego skrzypka nie może wcale występować. Gdy aktor jest aktorką, skrzypek nadużywa często swego monopolistycznego stanowiska i grozi zerwaniem współpracy, jeżeli partnerka nie chce mu być powolna.

Skrzypek, którego poznaliśmy w sklepie, jest już ze swoją aktorką tak daleko zaawansowany, że może jej kupować kostiumy i kłaść sobie do kieszeni odpowiednią prowizję. Dawniej przywilej ten przysługiwał tylko nauczycielowi aktora.

— Kobiety wprowadziły do teatrów rozwiązłość obyczajów — mruczy mój towarzysz.

Milczę.

— Nieszczęściem Chin jest naśladowanie Europy.

Spuszczam głowę.

— Wy jesteście temu winni!

Drżę, przejęty skruchą. Na szczęście otacza nas rodzina kupca i musimy powiedzieć wreszcie, jakie przedmioty nas interesują.

Potrzeba nam czerwonej haftowanej sukni i czerwonych spodni. W trzecim akcie sztuki, w której będziemy występowali, mają nas

aresztować jako podejrzanych o mężobójstwo, a na scenie starochińskiej nawet niespodziewane aresztowanie nie może nastąpić, jeżeli kandydatka na aresztantkę nie nosi czerwonej sukni.

Następnie pragniemy nabyć drewnianą kryzę, deskę, jaką w europejskim średniowieczu zakładano na szyję delikwenta, przy czym w dwóch mniejszych otworach tego narzędzia tortur tkwiły przeguby rąk. W Chinach narzędzie to stosowane jest jeszcze dzisiaj, nawet na scenie, która skądinąd gardzi realistyką i zadowalnia się symbolicznymi gestami.

W sztuce, w której przewidziane jest aresztowanie nas za mężobójstwo, musimy nosić deskę tak długo, aż nie wyjdzie na jaw, że nie my, lecz druga żona zamordowanego popełniła ten zbrodniczy czyn.

Nie dość tego, sami — uśmiechnij się, dyrektorze europejskiego teatru! — musimy ją sobie kupić. Żądamy deski odpowiedniej do naszej szyi i o kolorze stosownym do naszej cery. Chcemy, by była obciągnięta granatowym jedwabiem i zahaftowana perłami. Ale w lokalu, w którym znajdujemy się wraz z tłumem subiektów-krewnych, studentem gruszkowego sadu i skrzypkiem, nie ma na składzie ani czerwonych szat uprawniających do aresztowania, ani drewnianej obręczy na szyję. Jesteśmy tu niejako w witrynie, tutaj przechodzień ulicy Tjen-Men-Da-Dje, zwabiony barwnością jedwabiów, powinien wstąpić, by nabyć kostium na przedstawienie amatorskie, tutaj powinien wpaść stały klient, aby sąsiad-konkurent pękł z zazdrości, tutaj powinni spotykać się ze sobą djing-okrutnik i dan-zalotnica, i tszau-komik, i mo-towarzysz, i szen-młody bohater, by wypić filiżankę herbaty, zanim poprowadzą ich do jednego z pięciu składów kostiumowych tych pięciu różnych ról.

Pod liczną eskortą udajemy się przez tylne wyjście i uliczkę parasolników do magazynu kostiumów kobiecych. Olbrzymie lakierowane skrzynie z lśniącymi zamkami chronią fundus instructus; sprzedawcy uroczyście wyciągają pojedyncze sztuki i uroczyście rozkładają je przed nami. Przyjaciel mój w ciemnym kąciku wstydliwie przymierza kaftaniki, suknie i spodnie.

Wybór, jak zwykle u pań w salonie mód, dokonany został bardzo szybko (kolor był już co prawda z góry ustalony): w ciągu dwóch-

trzech godzin przyjaciel mój zdecydował się na pewną toaletę. Właśnie w naszym guście są wyhaftowane na czerwonym tle latające ryby z pyskami pekińskich piesków, właśnie w naszym guście jest kobaltowo-błękitna podszewka. Długie rękawy, raczej skrzydła niż rękawy, nadsztukowane białym jedwabiem, sięgają niemal do ziemi. Do tego dochodzi biała jedwabna spódnica.

W ciągu niewielu godzin, potrzebnych do wybrania i przymierzenia sukni, została też wytargowana cena (32 srebrne dolary). Potem zaprezentowano nam różne serwety, kotary i poduszki, rekwizyty sceniczne, które — dyrektorze europejskiego teatru, uśmiechnij się! — aktor sam kupuje, aby harmonizowały z jego kostiumem.

Więcej czasu pochłonęła drewniana kryza, chociaż wszystkie drewniane kryzy mają ten sam kształt, mianowicie stylizowanej ryby, i tę, której otwory dokładnie pasowały do naszej szyi, łatwo udało się wyszukać. Ale chodziło o kolor jedwabnego pokrycia i deseń haftu. W końcu wybraliśmy cieńki brokat i narysowaliśmy odpowiadający nam wzór ornamentu z cekinów i perełek. Ponieważ jednak nie można było przewidzieć czy narzędzie tortur po wykończeniu będzie harmonizowało z naszą płomiennie czerwoną suknią aresztancką, zostawiliśmy również suknię nie płacąc za nią.

Po sześciogodzinnym zaledwie pobycie opuściliśmy magazyn i wstąpiliśmy do magazynu kostiumów wojennych, gdzie nasz kolega, wykonawca ról djingów, wyszukał już sobie potrójną trójkątną chorągiewkę, jaką dzielni wodzowie bitew mają zatkniętą z tyłu za pasem; każdy trójkąt symbolizuje 10 000 żołnierzy, zastępuje — uśmiechnij się, amerykański reżyserze filmowy! — oddział 10 000 ludzi.

Pożegnaliśmy się z wodzem trzydziestotysięcznych zastępów, który wyraził swe zadowolenie, że jutro spotka nas tu ponownie, i on bowiem przyjdzie tu, by zakończyć swe sprawunki.

Dzieła o teatrze chińskim stwierdzają zgodnie, że wszystkie kostiumy sceniczne są ustalone przez tradycję i przez ostatnich dziewięćset lat prawie się nie zmieniły.

TARAS NA DACHU GRAND HÔTEL DE PÉKIN

Szopka z 10 czerwca 1932 roku, na razie w dwóch aktach

Akt I

Impresario: Szanowni państwo! Mam zaszczyt...

Wesołek (wysuwa głowę zza kurtyny): Mam zaszczyt! *(Znika).*

Impresario (do Wesołka): Siedziałbyś cicho, Wesołku.

(Do publiczności): Mam zaszczyt zaprezentować państwu taras na dachu Grand Hôtel de Pékin i towarzystwo, jakie się tu co wieczór zbiera. Widzicie państwo księżyc nad tarasem, lecz panowie, których mam zaszczyt zaprezentować...

Wesołek (jak wyżej): Mam zaszczyt!

Impresario: Dajże spokój, dajże spokój, Wesołku, przerywasz mi wątek myśli. Na czym to ja się zatrzymałem?

Wesołek: Na księżycu.

Impresario: Tak, słusznie, mówiłem o księżycu. Księżyca goście tarasu nie widzą, tańczą bowiem pod girlandami kolorowych żarówek elektrycznych. Zresztą każdy z nich widzi tylko siebie, aż wejdzie bohater mej sztuki ze swym orszakiem. Wtedy wszyscy będą się wpatrywali w niego i o nim tylko mówili.

Wesołek: Dlaczego wszyscy będą się wtedy w niego wpatrywali? Dlaczego wszyscy będą tylko o nim mówili? Czyż jest tak wysoko postawioną osobistością?

Impresario: Nie dlatego. Wszyscy tu są przecież wysoko postawionymi osobistościami.

Wesołek: Oczywiście, są wysoko postawieni, skoro są na dachu, ha-ha-ha.

Impresario: Ach, ty głupcze. Przecież to są znakomitości. Na mojej scenie występują t y l k o znakomitości.

Wesołek: Nie, nie ja jestem głupcem, to z ciebie głupi blagier. *(Przedrzeźniając)* „Na mojej scenie występują t y l k o znakomitości". Gdybyś powiedział, że znakomitością jest człowiek z orszakiem, w którego wszyscy będą się wpatrywali, gdy wejdzie — no, na to mógłbym się zgodzić. Ale, że wszyscy tu są znakomitościami, któż by uwierzył w takie brednie?

Impresario: Mogę ci tego natychmiast dowieść. Zawołam któregokolwiek z panów w białym fraku i którąkolwiek z pań w złocistej wieczorowej sukni. Na przykład tego oto. *(Woła za kulisy):* Szanowny pan pozwoli tu na chwilę. Tak, pan! Niech pan tu stanie łaskawie i powie publiczności, jak się pan nazywa.

Lord Lytton: Jestem lord Lytton.

Wesołek: A to ci drągal!

Impresario: Pański zawód, mylordzie?

Lord Lytton: Nie mam żadnego zawodu.

Impresario: A więc pańskie zajęcie, Wasza Lordowska Mości?

Lord Lytton: Nie mam żadnego zajęcia. Jestem przewodniczącym komisji Ligi Narodów.

Wesołek: Ha-ha, a to sobie komisja znalazła długiego przewodniczącego!

Impresario: Zechce mi pan wybaczyć, mylordzie, że go fatygowałem. Chciałem tylko pokazać mej P. T. publiczności, że gentleman, który niebawem zjawi się tu ze swym orszakiem i zwróci na siebie powszechną uwagę, nie jest jedyną znakomitością na tarasie.

Lord Lytton: Ale ja jestem bezsprzecznie najznakomitszą znakomitością, moja osoba posiada światowe znaczenie polityczne. Nawet moja laska ma światowe znaczenie. Czyż nie czytał pan w gazetach o mojej lasce?

Impresario: Tak jest, Wasza Lordowska Mości. Nie wiem jednak czy moja publiczność o tym wie. Może będzie pan tak uprzejmy i złoży nam krótkie sprawozdanie o tym.

Lord Lytton: Sprawozdanie — bardzo chętnie, wszak po to tu jestem. A więc, przed paru dniami zrobiłem małą wycieczkę na wieś, a gdy wróciłem do Pekinu, spostrzegłem, że moja laska zginęła. Może zostawiłem ją w jakiejś świątyni. A może ją zgubiłem. Nie jest też wykluczone, że mi ją skradziono. W każdym razie rząd obwieścił, że wszyscy kulisi, którzy nas wieźli, zostali aresztowani. Wszczęto energiczne poszukiwania zaginionej laski. Zostały wyznaczone nagrody za odniesienie jej.

Impresario: Przez pana, mylordzie?

Lord Lytton: Przeze mnie? Rzecz jasna, że przez rząd chiński.

Impresario: Czyż laska była taka cenna?

Lord Lytton: Bynajmniej, ale nie można przecież pozwalać, by mnie tak po prostu okradano. Jeśli nie otrzymam laski z powrotem, przyznam Mandżurię Japonii.

Wesołek: Laskę! Królestwo za laskę!

Lord Lytton: Tak jest, Chińczycy powinni to sobie wziąć pod uwagę. Albo zwrot laski, albo uznanie Mandżukuo.

Generał Mac Coy: (wbiega na scenę) Wasza Lordowska Mości, protestuję, pan tu składa oświadczenia... protestuję w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych i Zjednoczonego Przemysłu Włókienniczego Ameryki.

Lord Lytton: Generale Mac Coy, rząd amerykański i przemysł włókienniczy również nie strzegły mej laski. Jeżeli nie otrzymam jej z powrotem, Chiny nie otrzymają również z powrotem Mandżurii.

Generał Mac Coy: Ale, Wasza Lordowska Mości, osłabia pan tym przecież pozycję rządu nankińskiego!

Lord Lytton: Nic mnie to nie obchodzi. Rząd nankiński nie troszczył się o moją laskę ani o Mandżurię.

Generał Mac Coy: Niechże się pan opamięta, lordzie Lytton, obalenie rządu nankińskiego oznaczałoby zwycięstwo sowietów chińskich! 60 milionów Chińczyków znajduje się już pod władzą sowietów i przynajmniej drugie tyle sympatyzuje z nią, ponieważ dokonała podziału ziemi, zlikwidowała handel opium i oddała rządy w ręce nieprzekupnych ludzi. Jeżeli nie wesprzemy teraz Czang-kai-szeka, będziemy mieli komunistyczne Chiny.

Lord Lytton: Na miłość boską, w takim razie rezygnuję raczej z mej laski. Chodź pan, oświadczę to zaraz oficjalnie. *(Odchodzą).*

Impresario (do publiczności): Widzicie, moi państwo, że istotnie tylko znakomite osobistości ukazują się na mojej słynnej scenie.

Wesołek: Widzę, że doprawdy masz tu zabawny zwierzyniec. Zaprezentujże nam jeszcze kilka spośród tych twoich znakomitych bestii.

Impresario: Sam ich wszystkich nie znam. Na przykład tego tam. Można wiedzieć, jak się szanowny pan nazywa?

Conte Ciano: Jestem Conte Ciano.

Impresario: Bardzo mi przyjemnie. Czy wolno zapytać pana, hrabio, czy jesteś znakomitością?

Conte Ciano: Magnifico! Czyż nie wie pan, kim jestem? Jestem małżonkiem Eddy Mussolini. Jestem zięciem faszyzmu. Jestem posłem włoskim w Chinach. Czyż można, mając zaledwie 28 lat, być bardziej znakomitą osobistością?

Wesołek: Porco di maccaroni! Zięć faszyzmu! To musi być fajna posadka! Powiedz pan, czy Mussolini nie ma jeszcze jednej córki?

Conte Ciano (do impresaria): Czy pan sobie jeszcze czegoś życzy?

Impresario: Nie, dziękuję, panie hrabio.

Conte Ciano (żegna publiczność faszystowskim podniesieniem ręki): Eja, eja, alala! A noi! *(Odchodzi).*

Wesołek: Ej, ej, tralala! Ahoi! A to ci zabawna klucha! *(Do impresaria):* Masz jeszcze więcej takich na składzie? Kim jest na przykład ten homoseksualny młodzieniec z monoklem w oku?

Impresario: To jest akurat przeciwieństwo młodzieńca z monoklem.

Wesołek: Przeciwieństwo?

Impresario: Tak. Jest to bowiem homoseksualna dziewica z monoklem. *(Odwraca się):* Proszę, zechce pani łaskawie zbliżyć się do nas, lady, i wymienić swoje nazwisko.

Nadin Huang: Jestem Nadin Huang.

Wesołek: Czy osoba jest mężczyzną, czy kobietą?

Huang: Jestem ubrana po męsku, ponieważ na kobiety patrzą w Chinach krzywo.

Wesołek: Chińczycy nie dlatego patrzą na ciebie krzywo, że mają skośne oczy, ale dlatego, że należysz do berlińskiego „Eldorado".

Huang: Tak jest, moi zacofani rodacy nie mają pojęcia o tym, co w Europie jest en vogue.

Impresario: Czy pan pracuje poza tym w jakimś zawodzie, panie Haung czy też panno Haung — nie wiem, jak mam się do pani zwracać?

Huang: Niech pan mówi do mnie „pan". Jestem adiutantem Czangstolianga, młodego marszałka, który właśnie tam siedzi. Do widzenia. *(Odchodzi).*

Impresario (do Wesołka): Słyszałeś, co on powiedział? Marszałek Czangtsoliang jest również, syn Czangtsolina i zastępca Czangkai- szeka. Takie to osobistości należą do mego ensemble'u—Czangtsoliang jest drugim z kolei najpotężniejszym człowiekiem w Chinach, a najpotężniejszym w Chinach północnych łącznie z Mandżurią...

Wesołek: Nie jest, a był.

Impresario: No tak, był. Nie stawiał oporu Japończykom, gdy zajmowali Mukden, ponieważ miał na ten wieczór zamówioną lożę w teatrze Mei Lan-Fanga. Lożę w teatrze Mei Lan-Fanga nie co dzień się dostaje i doprawdy trudno się jej wyrzec.

Wesołek: Naturalnie. Raczej już wyrzec się Mandżurii. Powiedz no, kim jest ten starszy pan, co tam siedzi?

Impresario: To jest dr Schnee, ex-gubernator ex-niemieckiej Afryki Wschodniej.

Wesołek: Acha, zeszłoroczny śnieg*). Cóż on tu właściwie robi?

Impresario: Zaraz go zapytamy... Ekscelencjo Schnee, czy nie zechciałby pan zbliżyć się do nas i udzielić nam paru wyjaśnień? Co, proszę? Ależ, oczywiście, może pan przyprowadzić pozostałych panów, skoro nie wolno panu zrobić ani jednego kroku samemu.

Claudel (przedstawia się): Generał Claudel, przedstawiciel Francji.

Aldrovandi (jak wyżej): Conte Aldrovandi, przedstawiciel Włoch.

Schnee (jak wyżej): Schnee, przedstawiciel Niemiec.

Impresario: Pozowolą panowie, że ich zapytam, co tu robicie?

---

*) Gra słów: „Schnee" po niemiecku „śnieg".

Wszyscy trzej: Nic. Jesteśmy komisją Ligi Narodów.

Impresario: A co tu robi komisja Ligi Narodów?

Wszyscy trzej: Wydatki, oczywiście.

Człowiek z publiczności: Tak, o tym czytaliśmy dzisiaj w pekińskich gazetach wieczorowych. Gminę miejską Pekinu pobyt komisji Ligi Narodów kosztował już 60 000 dolarów. Wycieczka tych panów do Tszapei kosztowała 8 000 dolarów.

Wesołek: Za to Lord Lytton zostawił tam swoją laskę.

Człowiek z publiczności: Rada miejska Pekinu zredukowała z powodu tych wydatków pensję urzędników o 20%, lecz wynosi to tylko 3 000 dolarów miesięcznie i pokryłoby wydatki naszych gości dopiero w 20 miesięcy. Dlatego wstrzymano również wypłaty zasiłków dla ubogich.

Trzej przedstawiciele: Nie jesteśmy temu winni. Gmina miejska Pekinu może żądać zwrotu poniesionych wydatków od rządu chińskiego.

Publiczność (śmieje się): Ha-ha, ha-ha!

Wesołek: Spokój! Gdy Liga Narodów coś mówi, to nie ma w tym nic śmiesznego!

Trzej przedstawiciele: Poza tym nie siedzimy tylko w Pekinie. W Pekinie jesteśmy dopiero od trzech tygodni, w Chinach zaś bawimy już cztery miesiące.

Wesołek: No, to można sobie łatwo obliczyć, ile kosztuje cały pobyt komisji.

Człowiek z publiczności: Pociąg specjalny już od trzech tygodni stoi do dyspozycji komisji na dworcu pekińskim, już to samo stanowi stratę 174 000 dolarów.

Trzej przedstawiciele: Liga Narodów przeznaczyła nam 500 000 franków szwajcarskich. Dlaczego Chiny nie zaprotestowały w Genewie przeciw naszej podróży? Zresztą teraz jedziemy do Japonii, a tam będą musieli płacić Japończycy.

Publiczność: Szczęśliwej podróży! Szczęśliwej podróży!

Trzej przedstawiciele (kłaniając się): Dziękujemy, dziękujemy! Nie omieszkamy podkreślić w naszym sprawozdaniu serdecznych życzeń, złożonych nam przez naród chiński.

Mongolska księżniczka Torgut: Lady Astor, proszę, niech mi pani pożyczy swego różu, muszę przecież dbać o swą powierzchowność, jestem wszak księżniczką Torgut i przybyłam tu z komisarzem Ligi Narodów.

Lady Astor: Księżno Torgut, proszę, niech mi pani pożyczy swego lusterka, muszę przecież dbać o swą powierzchowność, jestem wszak lady Astor i przybyłam tu z posłem.

Ambasador: Panie radco, wywołałem pana, aby prosić go o monokl. Mój zostawiłem w domu, a muszę przecież reprezentować godnie moje mocarstwo wobec przedstawicieli innych mocarstw. To wszak jedyne nasze zajęcie w Pekinie.

Radca ambasady: He-he-he, a w Europie myślą, że reprezentujemy nasz kraj wobec rządu chińskiego. W Europie nie wiedzą, że rząd chiński siedzi w Nankinie, o dwa dni drogi stąd.

Ambasador: He-he-he, to zupełnie tak samo, jak gdyby ambasador w Watykanie mieszkał w Sztokholmie.

Radca ambasady: Ale Ministerstwo Spraw Zagranicznych powinno przecież wiedzieć, że nie przebywamy w siedzibie rządu, Ekscelencjo?

Ambasador: Oczywiście, ale MSZ sądzi, że nasze telegramy dochodzą stąd do Nankinu prędzej aniżeli telegramy berlińskie lub paryskie. W istocie zaś telegramy europejskie przychodzą do Nankinu znacznie wcześniej.

Radca ambasady: He-he-he!

Ambasador: Panie radco, pan będzie łaskaw kazać sobie przynieść z domu inny monokl. Bez monokla żadną miarą nie może pan tu zostać. Cały świat patrzy na nas.

Radca ambasady: Istotnie, Ekscelencjo. *(Odchodzą).*

Chińscy kelnerzy (przebiegają przez scenę): Ba-sze-El, Ba-sze-El. Osiemdziesiąt dwa jest tu.

Conte Aldrovandi (przebiega przez scenę): Czang Tsung-Czan przyszedł! Po cóż włożyłem mój nowy frak?

Ambasador: Panie radco, może pan wziąć swój monokl z powrotem.

Nie potrzeba nam już monokli, nikt już na nas nie patrzy, Czang Tsung-Czan przyszedł! *(Odchodzi).*

Lady Astor: Oto pani lusterko, księżno Torgut, już mi nie jest potrzebne, Czang Tsung-Czan jest tu z całym swoim haremem.

Chińscy kelnerzy: Ba-sze-El, Ba-sze-El. Osiemdziesiąt dwa jest tu!

Kochanki sekretarzy Ligi Narodów: Czort wozmi!' — Teraz jesteśmy tu zupełnie zbędne. Nasi panowie oczy sobie wypatrzą wpatrując się w harem Czang Tsung-Czana.

Sekretarze Ligi Narodów: Czort wozmi. Teraz jesteśmy tu zupełnie zbędni. Nasze panie oczy sobie wypatrzą wpatrując się w Czang Tsung-Czana, pana „Osiemdziesiąt dwa"!

Wesołek: Co to znaczy „Osiemdziesiąt dwa"?

Impresario: Oznacza to osiemdziesiąt dwie monety dolarowe, nałożone jedna na drugą.

Wesołek: A co oznaczają osiemdziesiąt dwie monety dolarowe, nałożone jedna na drugą.

Impresario: Oznacza to szczególnie męską budowę ciała.

Wesołek: Nie rozumiem.

Impresario: Wcale nie musisz tego rozumieć.

Rzeczoznawca Ligi Narodów: Czy widział pan generał jego harem? Jedna dziewczyna piękniejsza od drugiej. Najmłodsza ma osiem lat.

Generał (lubieżnie): Osiem lat! Osiem lat! O... *(Umiera).*

Amerykanka: Osiemdziesiąt dwa! Jak osiemdziesiąt dwie monety dolarowe, nałożone jedna na drugą! Osiemdziesiąt dwie... *(Umiera).*

Francuski dziennikarz: Mon Ambassadeur, czy mógłby mi pan postarać się o wywiad z Czang Tsung-Czanem?

Ambasador Francji: Ja? Kiedy on nawet mnie nie chce przyjąć.

Małżonka ambasadora: Nie chce przyjąć mego męża — ambasadora Francji! Tego już za wiele! *(Umiera).*

Ambasador Francji (pochyla się nad trupem): Adieu, ma chérie. *(Do dziennikarza).* Niech się pan zwróci do Bardaque'a, dyrektora naszego Banque de l'Industrie. Czang Tsung-Czan otrzymuje od niego pieniądze i broń. Jeżeli Bardaque pana zaproteguje, to, być może, generał przyjmie pana.

Hrabina Berg: Niech mi pan powie, profesorze Tung Czing-Lei, przecież on ma tylko zupełnie młodziutkie dziewczęta — jak on to robi?

Profesor Tung Czing-Lei: Po dwóch latach odsyła każdą ze swoich żon na emeryturę. Żony, z których jest niezadowolony, wydaje za mąż za kulisów. Gdy przed pięciu laty musiał uciekać do Japonii, zastrzelił swą najpiękniejszą dziewczynę, by nie mógł jej posiąść żaden inny mężczyzna.

Hrabina Berg: Biedne dziewczęta chińskie!

Profesor Tung Czing-Lei: Nie tylko chińskie, wówczas posiadał również Europejki. Chwalił się, że ma w swoim haremie pięćdziesiąt kobiet pięćdziesięciu narodowości.

Hrabina Berg (patrząc przez lorgnon): Przystojny mężczyzna z tego Czang Tsung-Czana. Powiedz pan, panie profesorze, a czy teraz nie bierze on już Europejek?

Profesor Tung Czing-Lei: Nie. Mówi, że Europejki nic nie są warte. Od 1929 roku nie bierze już ich wcale. *(Hrabina Berg umiera).*

Admirał Doherty (wchodzi z żoną): Nie wytrzymam tu dłużej. Gdy pomyślę, że ten kulis żyje z dziesiątkami najpiękniejszych dziewcząt, podczas gdy ja całe życie muszę spędzić z tobą, ty wybrakowana kozo...

Admirałowa Doherty: Śmiesz mnie, lady, nazywać wybrakowaną kozą! A czymże ty jesteś, Nie jesteś nawet wybrakowanym kozłem. Nawet w latach młodości nie zdołałbyś nic począć z tymi pięknymi dziewczętami. Byłam wczoraj u pułkownika Beya, jest o pięć lat starszy od ciebie, a jest jeszcze prawdziwym mężczyzną...

Admirał Doherty: Byłaś u pułkownika Beya... *(Umiera).*

Ku Wei-Den, młody Chińczyk: Li-Ba, po cośmy tu przyszli! Po co!

Li-Ba, młoda Chinka: Czemu jesteś taki wzburzony! Cóż w tym ostatecznie złego, że wstąpiliśmy na taras hotelu Pekin, by zobaczyć, jak też tu wygląda?

Ku Wei-Den: Jak tu wygląda! Przecież to straszne, co się tu dzieje! Wstydzę się za mój naród. Cudzoziemcy używają tu sobie za nasze pieniądze i uważają nas przy tym za niższą rasę. A potem przy-

chodzi tu na górę ten drab, Czang Tsun-Czan, i dziw się tu, że pogardzają nami.

Li-Ba: Co cię to obchodzi?

Ku Wei-Den: On jest symbolem naszego ujarzmienia. Ograbił prowincję Kiangsi, ograbił Kirin, ograbił Fengtien, ograbił Szantung, rabował jako komisarz okupacyjny, rabował jako dowódca armii, rabował jako namiestnik.

Li-Ba: Tak, widać, że musi mieć wiele pieniędzy. Jego żony mają przepiękne suknie i kosztowności.

Ku Wei-Den: Ale tam, gdzie on gospodarował, chłopi nie mają ryżu do jedzenia! Wyssał z nich całą krew!

Li-Ba: I co on zrobił z tyloma pieniędzmi?

Ku Wei-Den: Przehulał te miliony. Teraz nic mu już nie pozostało.

Li-Ba: Jakże więc może sobie pozwolić na taki zbytek?

Ku Wei-Den: Obce mocarstwa dają mu pieniądze, by pozyskać sobie jego pomoc przeciw ruchowi niepodległościowemu w Annamie i przeciw naszym terytoriom radzieckim. A on, ten sprzedajny łotr, przychodzi tu, by się postawić, pije szampana i pokazuje swoje dziewczyny...

Li-Ba: Jego dziewczyny również piją szampana.

Ku Wei-Den: Oczywiście, aby mógł powiększyć swój kredyt, aby wiedziano, że stać go na kupowanie sobie żołnierzy.

Chińscy kelnerzy (przebiegają przez scenę): Ba-sze-El odchodzi! Samochód!

Li-Ba: Dlaczego nazywają go Ba-sze-El?

Ku Wei-Den: Oznacza to osiemdziesiąt dwie monety dolarowe nałożone jedna na drugą.

Li-Ba (spuszcza oczy): Fe! Ileż on ma lat?

Ku Wei-Den: Pięćdziesiąt.

Li-Ba: A kim był, zanim został generałem?

Ku Wei-Den: Bandytą, jak wszyscy nasi generałowie.

Li-Ba: Bandytą? Na to wcale jakoś nie wygląda.

Ku Wei-Den (zazdrosny): Widzę, że ci się podoba?

Li-Ba: Podoba? Czuję do niego wstręt.

Ku Wei-Den: Ale nie odrywasz od niego wzroku.

Li-Ba: Jesteś zazdrosny o tego potwora, obrażasz mnie tym.

Ku Wei-Den: Wybacz, ale boli mnie, że Chiny nie kładą kresu panoszeniu się tej chołoty, ponieważ nie dopuszcza do tego Kuomintang i obcy. Opłacają jego, tego łotra, który...

Czang Tsung-Czan (olbrzym, z trzynastu dziewczętami, zatrzymuje się przed Li-Ba i chwyta ją za pierś): Pokaż nogi. *(Li-Ba pokazuje).* Doskonale, możesz iść ze mną.

Li-Ba: Tak. *(Czang Tsung-Czan z orszakiem i Li-Ba odchodzą).*

Ku Wei-Den (chce pobiec za nią, jeden z żołnierzy odpycha go. Ku Wei-Den wskakuje na balustradę tarasu). Muszę więc umrzeć... Nie, on musi umrzeć. Niech giną wrogowie, my będziemy żyć. *(Krzyczy):* Chiny, słuchajcie mnie! Chiny, gnębią nas wrogowie, gnębią nas cudzoziemcy, gnębią nas Chińczycy!

Kurtyna

Impresario: Nie chciałem wcale, by szopka skończyła się tak poważnie, nie jestem temu winien.

Wesołek: A bo to się ona już skończyła?

Impresario: Hm, myślę, że niezupełnie.

POSŁOWIE

Egon Erwin Kisch umarł niedawno w swym rodzinnym mieście — Pradze. Przez dwadzieścia przeszło lat przebiegał ten „szalejący reporter" (tytuł jednej z jego książek) kraje świata, odsłaniał wstydliwie ukrywane zakątki i ujawniał prawdziwe oblicze imperializmu. Egzotyczny Meksyk czy dalekie Chiny były mu równie bliskie jak wyzyskiwani i uciemiężeni robotnicy włókniarze w czeskim Jabloncu. Albowiem dzielił on ludzi na krzywdzących i krzywdzonych, wyzyskujących i wyzyskiwanych, a obojętny mu był kolor ich skóry lub miejsce ich zamieszkania. Nie było też bariery, której Kisch by nie przekroczył w poszukiwaniu prawdy. Wysiedlany i szczuty przez policje kapitalistycznego świata, który widział w nim niebezpiecznego wroga, nie dawał się odstraszać żadnymi przeszkodami. Gdy odmówiono mu prawa wjazdu do Australii, skoczył ze statku na brzeg łamiąc przy tym nogę. Okupił to długą chorobą, ale odkrył po raz wtóry — po żeglarzach XVII w. — kontynent australijski. Tak powstało kilkanaście wspaniałych książek, z których każda mogłaby nazywać się „Bez Maski". Każda bowiem smagała i demaskowała zakłamanie, oszustwo, kradzież i podłość panujące w ustroju kapitalistycznym; każda wychowywała tysiące czytelników w nienawiści do imperializmu, zagrzewała ich do walki o zbudowanie lepszego ustroju.

Taką była potrójna osobowość wielkiego pisarza: Kisch-demaskator, Kisch-bojownik, Kisch-wychowawca. A gdy umarł on parę miesięcy temu, obozowi postępowej kultury ubyła jedna z najświatlejszych postaci.

I

Wprawdzie zostało to już wielokroć napisane, wprawdzie brzmi to jak banał, ale trzeba raz jeszcze powtórzyć: Chiny nie są krajem, ani zespołem krajów: Chiny są całym kontynentem rozprzestrzeniającym się na terenie 9 491 000 km², zamieszkałym przez 450 milionów ludności. Ta ¼ ludzkości składa się, nie licząc obcych i ludności napływowej, z pięciu zasadniczych grup: z Chińczyków, Mongołów, Mandżurów, Tybetańczyków i Turkmenów. W ramach tego ogromnego kontynentu znajdują się zarówno milionowe miasta jak i drobne wsie, przeludnione okręgi i pustynne obszary, różne typy antropologiczne, różne języki, różne szczeble rozwoju technicznego. Nic też dziwnego, że tam właśnie, na ogromnych terenach między Himalajami a Pacyfikiem fantazja średniowiecznych pisarzy poumieszczała pół-ludzkie, pół-zwierzęce twory, że tam właśnie znajdować się miała siedziba jednorożców, karłów, olbrzymów, latających słoni i pływających syren. Ale zainteresowanie krajów zamorskich „Państw Środka", jak tradycja każe nazywać Chiny, nie opierało się na naukowo-badawczej ciekawości. Nie z pobudek etnograficznych czy w poszukiwaniu okazów zoologicznych szły karawany i ekspedycje morskie do dalekiego Cathay'u; od czasów weneckiego kupca Marca Polo do czasów amerykańskiego generała Wedemayera rosła i potężniała wieść o niezmierzonych bogactwach chińskiego kontynentu, o złocie i brokatach, o bogactwach kopalnianych i lasach, o setkach milionów niewolników stanowiących niewyczerpaną rezerwę dla wyciskania nadwartości i o setkach milionów konsumentów tworzących nieograniczony rynek zbytu.

I tak dla „poznania wschodu" (o poznanie, ileż zbrodni popełniono w twoim imieniu!) wytworzyła się specyficzna spółka ideowo-handlowa. Misjonarz i kupiec w dawnych wiekach, technik i przemysłowiec w późniejszych okresach, polityk i bankier w ostatnich czasach — zawsze pierwszy ze spółki głosił ideały i nauki, a drugi zbierał plony; pierwszy zaszczepiał chrześcijańską pokorę czy faszystowski rasizm — drugi eksportował sztaby złota czy dywidendy. A gdy obu nie starczyło argumentów — do pomocy stawał trzeci atut imperializmu; działa marynarki mocarstw europejskich i Ameryki nieco gwałtownie przy-

swajały narodowi wynalazców prochu lekcje balistyki; „wspaniali chłopcy" z Saint Cyr, West Point czy Sandhurst dokonywali „cudów waleczności" przeciwko „mongolskiej dziczy". W ten sposób na ostrzach bagnetów importowane zostały do Chin takie zdobycze cywilizacji, jak palenie opium, syfilis, jaglica i gruźlica; w ten sposób — jak pisze Kisch — przywiezione zostały specjalne maszyny tkackie dla dzieci, maszyny, które pod naporem walk klasy robotniczej wycofane zostały z użytku w Europie i Ameryce przed dziesięcioleciami; w ten sposób mocarstwa świata — nie przestając mówić o „żółtym niebezpieczeństwie" — zrewanżowały się Chińczykom za to, że ci ośmielali się tak długo bronić przeciwko dobroczynnym skutkom „uzachodnienia", wbrew zachęcającym przykładom Indian amerykańskich, Maorysów australijskich i innych ludów będących już na wymarciu.

II

Umysł ludzki lubi ujmować kraje i społeczeństwa w skróty myślowe i symbole. Symbolem tragedii chińskiej był przez wiele dziesięcioleci tytuł znanego dramatu: „Krzyczcie, Chiny". Jeśli nawet dźwięki te nie dochodziły do uszu cudzoziemskich panów w koncesjach zagranicznych Szanghaju czy Pekinu — cała uczciwa opinia publiczna świata słyszała okrzyki rewolucjonistów prowadzonych na śmierć za walkę o wolność, krzyk maltretowanych chłopów po wsiach, krzyk milionów dzieci pracujących po kilkanaście godzin dziennie dla bankierów z City czy Wall Street, krzyk całego kilkusetmilionowego narodu jęczącego pod jarzmem trójprzymierza feudałów, rodzimego kapitalizmu i obcych imperialistycznych interesów.

Imperializm przyszedł do Chin w swej najbardziej brutalnej postaci. Nie znano jeszcze wtedy tak nowoczesnych metod jak plan Marshalla — Chiny musiały być zdobyte siłą zbrojną. Czyniły to różne mocarstwa w różnych okresach, ale pionierką w dziele wykrawania porcji z „chińskiego melona" była oczywiście Wielka Brytania. Walki trwały pod różnymi nazwami, w różnych okresach, w latach 1830—1860. Może nigdy i nigdzie ideowo-handlowy mariaż nie otrzymał tak szumnego ślubu (kościelnego!) jak w traktacie z 1858, który otwierał dla penetracji brytyjskiej 9 portów i wiele terytoriów celem „swobodnego handlu opium... i propagowania zasad chrześcijaństwa"...

Śladem Anglii poszły oczywiście inne imperializmy: Francja, Niemcy, carska Rosja, Japonia. Z początkiem bieżącego stulecia całe Chiny podzielone były na sfery wpływów, oficjalne — tzw. koncesje zagraniczne, gdzie cudzoziemcy byli eksterytorialni, a Chińczykom wstęp był wzbroniony, i nieoficjalnie — gdzie monopol na wyzysk spoczywał w rękach danego państwa. Amerykanie zarezerwowali dla siebie skromne żądanie „otwartych drzwi", czyli prawo handlowania, gdzie im się żywnie podoba, pod warunkiem oczywiście, że Chiny również mogą... zalewać rynek amerykański swoimi towarami, a chińscy finansiści eksploatować amerykańskie bogactwa. Polityka ta w swym cynizmie może się śmiało porównać z brytyjskim żądaniem wolnego wstępu dla opium i Chrystusa...

I znowu: byłoby niesprawiedliwością opisywać jedynie wyzysk Chin przez imperialistów, a nie wspomnieć o tym ile pieniędzy ci panowie w kraj ten włożyli. Gdy np. w 1911 r. wybuchła antyfeudalna, republikańska i antyimperialistyczna rewolucja — Wielka Brytania natychmiast udzieliła kontrrewolucyjnemu watażce Juan-Szi-Kaiowi 25 milionów funtów pożyczki celem zduszenia powstania. Był to oczywiście drobny procent zysków, jakie brytyjski imperializm z Chin wyciągnął; ale znaczenie tych 25 milionów polega głównie na tym, że był to pierwszy zwiastun rosnących kosztów własnych imperializmu, pierwsza zapowiedź zwyżkujących premii ubezpieczeniowych, jakie wielkim mocarstwom przyszło płacić dla ratowania bodaj części dywidend.

Rewolucja z 1911 r. zapoczątkowuje nowy okres chińskiej historii. W założeniu swym ruch ten skierowany był zarówno przeciwko feudalnej i skruszałej zarazem strukturze cesarstwa chińskiego jak i przeciwko imperialistycznej interwencji. Na czele rewolucji stali ludzie tacy jak dr Sun-Jat-Sen, szczery postępowy demokrata, którego logika wypadków zmuszała do coraz konsekwentniejszego rozumienia ruchu powstańczego i który u schyłku swego życia był bardzo bliski komunizmu. Jednakże poszczególni ci przywódcy pozbawieni byli bazy masowej, wobec słabości proletariatu chińskiego i braku rewolucyjnej partii robotniczej. Hegemonia w rewolucji przeszła więc do rąk burżuazji, co oznaczało zduszenie rewolucji przez kontrrewolucję.

Sukcesy chińskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego osiągnięte zostały w dużej mierze dzięki temu, że mocarstwa imperialistyczne prowadziły w okresie 1914-1918 między sobą wojnę o podział świata na terytorium Europy i Afryki pozostawiając Chiny w pewnej mierze własnemu losowi. Za to ubytek wpływów europejskich „skompensowany" został aż nadto przez wtargnięcie Japończyków na szeroką skalę do Chin. Później, po zakończeniu wojny, która wyeliminowała z Chin pozycje niemieckiego imperializmu — mocarstwa alianckie znowu skierowały swą uwagę na „Państwo Środka". Elementy burżuazyjne w obozie republikańskim otrzymały szerokie poparcie. Przygotowana została jedna z najkrwawszych fal w historii antyludowego terroru. „Rozzuchwaleni kulisi" przywołani zostali do porządku. Groźba wisząca nad miliardowymi inwestycjami została usunięta. „L'Ordre règne en Chine" — mógł zaraportować swojemu rządowi ambasador Jego Brytyjskiej Mości wraz ze swymi kolegami z francuskiej i amerykańskiej republiki.

Ale był to spokój pozorny. Albowiem pomimo chwilowego zwycięstwa kontrrewolucji narastały nowe, potężne fale ruchu narodowo-wyzwoleńczego.

III

Dialektyka chińskiej rewolucji jest na pozór trudna do ogarnięcia. Zarysowujące się coraz wyraźniej linie klasowych podziałów przesłaniały przed oczyma szerokiego świata konflikty drugorzędne wprawdzie, ale na szeroką skalę toczące się, konflikty sztucznie wyolbrzymiane przez anglosaski monopol informacji o Chinach i podnoszenie do godności punktów węzłowych „sprawy chińskiej". Do tych wyolbrzymianych świadomie i celowo antagonizmów należą częste walki między prowincjonalnymi generałami i gubernatorami, których żaden cywilizowany sąd nie odróżniłby od zwykłych bandytów; kontrrewolucyjne boje o władzę między poszczególnymi klikami feudalnymi i burżuazyjnymi, z których każda nadawała sobie tytuły wyłączności do reprezentowania „interesów Chin". Periodyczne katastrofy pochłaniające miliony ofiar — wylewy ogromnych rzek, regularne posuchy — tragedie publikowała prasa światowa gdzieś w kąciku, między obszer-

nym sprawozdaniem z ostatniego balu a sentymentalną historią o okrucieństwie wobec zwierząt.

Chiny starano się przedstawić jako kraj nieograniczonych niemożliwości, gdzie miliony giną nie wiadomo dlaczego, gdzie wszyscy walczą z wszystkimi i gdzie jedynym czynnikiem stabilizacji są obce garnizony w żółtym morzu. I tak jak średniowieczne historie o wielkoludach wstydliwie ukrywały prawdę o intratnym handlu korzeniami i bogatymi tkaninami — tak wyobrażenie o Chinach jako antykwariacie pełnym kuriozów zagłuszyć miało wielki krzyk setek milionów.

Trzeba przyznać, że kamuflaż ten cieszył się powodzeniem. Nielicznym tylko uczciwym obserwatorom udało się przeniknąć żelazną kurtynę imperializmu i opowiedzieć prawdę o 400-milionowym narodzie. Do tych szczęśliwych należy Egon Erwin Kisch, spod pióra którego wyszedł wstrząsający obraz „Chin bez maski". Ostrym skalpelem wnikliwej obserwacji, opartej o znajomość układu sił społecznych, autor ukazuje nam w swych reportażach imperializm in flagranti; zdejmując z półek antykwariatu coraz to inne kuriozum pokazuje Kisch zarazem zasadniczy, podstawowy antagonizm między rewolucją a kontrrewolucją w Chinach. I chociaż Kisch opisuje sytuację z r. 1932 — analiza jego pozwala rzutować wstecz, rozróżnić poszczególne nurty, rozwikłać kłębowisko różnokierunkowych sił, które doprowadziły do takiej, a nie innej sytuacji.

Rewolucja chińska z 1911 r. miała ogólno-narodowy charakter zwrócony przeciwko rodzimemu feudalizmowi i obcemu imperializmowi. Udział w niej brał zaczątkowy proletariat miejski pozbawiony własnej organizacji, pozbawiony przywódców, pozbawiony nawet związków zawodowych. Uczestniczyły w niej masy chłopskie posiadające historycznę tradycje buntów włościańskich — masy częstokroć nieświadomie włączające swoją lokalną walkę klasową przeciwko znienawidzonemu obszarnikowi — do wielkiego oceanu rewolucji. Wreszcie główną siłą rewolucji była narastająca w miastach burżuazja, spętana w swych ruchach przez cechowe ograniczenia monarchii mandżurskiej i ograniczona w swym rozwoju przez obcy imperializm.

Przywódca tego ruchu, dr Sun-Jat-Sen, sprecyzował cele rewolucji w słynnych Trzech Zasadach:

1. Wyzwolenie narodowe spod imperialistycznego ucisku;

2. Obalenie feudalizmu i ustanowienie zjednoczonej republiki demokratycznej;

3. Podniesienie dobrobytu ludu przez reformę rolną, polepszenie doli klasy robotniczej i ograniczenie władzy kapitału.

Aczkolwiek dr Sun nie był marksistą, program jego odpowiadał doskonale w ogólnych zarysach ówczesnemu etapowi rozwoju Chin. Był to program rewolucji burżuazyjno-demokratycznej mającej nieść za sobą zarówno wyzwolenie narodowe jak i postęp społeczny dla mas ludowych. Ale jeśli cele te odpowiadały interesom podstawowych mas chłopstwa biednego i średniego, jeśli oznaczały one poprawę bytu proletariatu — nie szły one bynajmniej po linii życzeń burżuazji. Ta ostatnia walczyła bowiem nie przeciwko imperializmowi, lecz o modus vivendi z imperializmem, o współudział w zyskach wyciskanych przez imperializm; nie o demokratyczną republikę, lecz o zastąpienie dyktatury carsko-feudalnej przez dyktaturę burżuazji; nie o podniesienie dobrobytu ludu, lecz o przejęcie od innych klas i obcych kapitałów praw do wyzysku. Tak więc burżuazja nie sprzeciwiała się temu, że Chińczyk musi na chodniku ustępować miejsca białemu, lecz chciała ona wywalczyć prawo chodzenia wraz z białym na jednym chodniku i spychania kulisa na jezdnię.

W początkowych okresach rewolucji tylko częściowo — przy pomocy zagranicznych pożyczek — udało się jej hamować ruch rewolucyjny. W okresie wojny światowej, a szczególnie przy jej końcu, sytuacja burżuazji była jeszcze trudniejsza: potężne echo rewolucji rosyjskiej, której jednym z pierwszych aktów była rezygnacja z wszelkich imperialistycznych praw nabytych przez carat, dawało postępowym elementom w kraju zbyt silne oparcie, by wpływy Sun-Jat-Sena mogły zostać zniweczone. Gdy w r. 1921 powstała Partia Komunistyczna i gdy po krótkim czasie ogarnęła ona wszystko, co było pozytywne wśród proletariatu, chłopstwa i inteligencji chińskiej — nie wątpiono, że hegemonia w rewolucji znajdzie się wreszcie w rękach konsekwentnych bojowników ruchu narodowo-wyzwoleńczego. Jeszcze bardziej spotęgowała ten proces ewolucja Sun-Jat-Sena, który otworzył wrota

powstałej niedawno przed tym Partii Ludowej (Kuomintang) dla komunistów i widział w ZSRR czołową siłę antyimperializmu. We wzruszającym liście pisanym na dzień przed śmiercią do CK WKP (b) wielki rewolucjonista chiński pisał m. in.:

„...zaleciłem Kuomintangowi, by kontynuował dzieło ruchu narodowo-wyzwoleńczego, dopóki Chiny zepchnięte do poziomu półkolonii nie uzyskają wolności. Dlatego też zaleciłem partii, by była w stałym kontakcie z Wami... Wy stoicie na czele Związku Wolnych Republik — spadku, który pozostawił uciskanym narodom świata nieśmiertelny Lenin. Z pomocą tego spadku ofiary imperializmu wyzwolą się spod reżimu międzynarodowego, którego podstawy oparte były od najdawniejszych czasów na niewolnictwie, wojnach i niesprawiedliwości... Z braterskim pozdrowieniem Sun-Jat-Sen".

IV

Po śmierci Sun-Jat-Sena i w dwóch następujących latach zaszły zasadnicze zmiany w sytuacji rewolucji chińskiej. Po pierwsze burżuazja, przestraszona nie na żarty potężniejącym z dnia na dzień ruchem narodowo-wyzwoleńczym, nie ograniczała się już do walki podjazdowej, intryg w łonie obozu republikańskiego i zorganizowanego na skalę lokalną sabotażu; zaczęła ona coraz jawniej i brutalniej ustanawiać swoją dyktaturę i eliminować fizycznie elementy postępowe. Po drugie imperializm, po załatwieniu „nieporozumień" wynikłych z podziału łupu lat 1914—1918, powrócił na nowo — i ze zwiększoną siłą — do eksploatacji Chin.

Wspólny strach burżuazji chińskiej i zachodniego imperializmu przed rewolucją przyczynił się do stosunkowo szybkiego, choć powierzchownego, zatarcia istniejących różnic i uzgodnienia kandydatury na „Fuehrera Państwa Środka". Został nim jeden z militarystów, którzy znajdowali się w otoczeniu Sun-Jat-Sena, generał Czang-Kai-Szek. Alians celebrowany został potokami krwi komunistów i postępowców na ulicach chińskich miast i wiosek. Nieważne jest czy początkiem Termidoru było zdławienie Komuny Kantońskiej, czy stłumienie strajku szanghajskiego; ważne jest, że niedługo po śmierci Sun-Jat-Sena po-

grzebany został jego testament. W szaty rewolucji odziali się jej najbardziej zaciekli przeciwnicy; szydercza nazwa „Partii Ludu" (Kuomintang) symbolizować zaczęła jedną z najbezwstydniejszych w historii instytucji rajfurskich, która za cenę ochłapów ze stołu obcych imperialistów doprowadziła do perfekcji system wykrwawiania setek milionów Chińczyków.

Zza żelaznej kurtyny przedostają się na świat poszczególne fragmentaryczne wieści. Trzeba wprawnego oka, by z tych cząsteczek ułożyć mozaikę. Jednego dnia skromna depesza agencji donosi, że inwestycje amerykańskie, minimalne przed wojną, wzrosły w 1930 r. do 250 milionów dolarów; inna informuje o masowych strajkach w Tientsinie; trzecia z kolei mówi o działalności „czerwonych bandytów", którzy zajęli poważne obszary i ustanowili tam władzę ludową.

Wreszcie prawdy nie można już ukryć. Wtedy uruchamia się maszynę propagandową imperializmu, lansuje się „bohaterskie" walki kuomintangowskich oddziałów przeciwko wyzwolonym okręgom Chin, reklamuje się — podobnie jak dziś w Grecji — coraz to nowe „ostateczne" ofensywy wojsk Czang-Kai-Szeka przeciwko armii ludowej. Poprzez cenzurę imperializmu przeciekają wieści o tym, że komuniści chińscy walczą, z przepojonych wściekłością depesz wynika, że zwyciężają w tych walkach, ogłoszone przez Czang-Kai-Szeka ciągłe represje świadczą, że ruch ten zatacza coraz szersze kręgi.

W tym właśnie okresie do Chin przybywa Kisch. Małżeństwo między burżuazją chińską a obcym imperializmem zostało już dawno zalegalizowane, choć kłótnie w rodzinie trwały nadal. Owocem jego są nie tylko miliardowe zyski obcych imperialistów — ale i dość poważna akumulacja kapitału u chińskiego mieszczaństwa. Zarazem jednak na dużych obszarach Chin zniesiona została władza wielkiego kapitału; 60 milionów ludzi żyje już w ustroju przeprowadzającym reformy społeczne. Ruch rewolucyjny ogarnia wszystkie miasta, fabryki, uniwersytety, a nawet armie wroga.

Kisch daje nieporównany obraz ówczesnego trójstopniowego społeczeństwa chińskiego: mas ludowych uginających się pod jarzmem nieludzkiego wysiłku, burżuazji chińskiej, wyzysk ten bezpośrednio organizującej, i wreszcie obcych imperialistów, przesiadujących non-

szalancko w klubach Szanghaju, nie dostrzegających rosnącego na horyzoncie groźnego cienia Japonii, który w krótkim czasie miał zmaterializować się jako groźba nie tylko dla Chin ale i dla Ameryki, Anglii, Francji i innych państw — Japonii, która w przeciągu kilku lat miała przy pomocy innej przekupionej sekcji chińskiej burżuazji wyprzeć kapitalistów europejskich i amerykańskich z wszystkich niemal ich pozycji na terenie Chin.

V

Ekspansja imperializmu japońskiego w kierunku Chin datuje się jeszcze od końca ubiegłego stulecia. Po drobnych stosunkowo zdobyczach (koncesje w różnych portach, Korea itd.) dopiero wojna światowa 1914—1918 daje Japonii sposobność penetracji na szerszą skalę. Ale koniec wojny rozwiązuje ręce mocarstw zachodnich i pozwala im zahamować japońską ekspansję. Osławione 21 punktów, które rząd tokijski przedstawił Chinom i które oznaczały de facto zamienienie tego kraju w kolonię — zostają wycofane przez Japonię pod naciskiem innych państw imperialistycznych, głównie Stanów Zjednoczonych. Jest to chwilowy postój w marszu: nieprzygotowany do generalnej rozgrywki imperializm japoński czeka i czatuje na sposobność.

W roku 1927 prasa światowa ogłasza sensacyjny tajny memoriał barona Tanaki. Ten „Mein Kampf" samurajskiego imperializmu stanowił szczegółowy plan opanowania całego świata, przy czym punktem wyjściowym miało być opanowanie Chin. Warunki do realizacji tego planu zaczynają się kształtować w latach 1930—1931. Wojna domowa rozpętana w oparciu o obcy imperializm przez chińską burżuazję przeciwko własnemu ludowi osłabiła kraj. Pomimo formalnego uznania reakcyjnego rządu nankińskiego (rządu Czang-Kai-Szeka) przez wielkie mocarstwa toczyła się nadal w łonie Kuomintangu i poza nim walka wewnętrzna różnych frakcji i klik.

Proces zrastania się chińskiej burżuazji zarówno z pozostałościami feudalizmu jak i z obcym imperializmem nie przebiegał po linii prostej; był to szereg zygzaków, na przemian walk i bankietów, na przemian puczów wojskowych i korupcji. Jeśli nawet wszystkie sekcje reakcji chińskiej i zagranicznej zgodne były co do konieczności „wytę-

pienia komunizmu" — nie mogły się one pogodzić co do podziału łupów. Wprawdzie kapitał chiński wzrósł w latach trzydziestych do blisko 500 milionów dolarów, ale stanowiło to zaledwie 20% ogólnej sumy 2,5 miliardów zainwestowanych wówczas w Chinach, z czego lwia część znajdowała się w rękach mocarstw anglosaskich.

Tak więc sytuacja wewnętrzna w rozbitych Chinach i ciągłe rozłamy w obozie rządzącym stwarzały dogodną dla Japonii sytuację. Ale na decyzję ataku wpłynęły jeszcze dodatkowe momenty natury międzynarodowej (pomijając już wewnętrzne potrzeby imperializmu japońskiego). Kryzys z 1929 r. powalił gospodarkę większości państw kapitalistycznych, przede wszystkim anglosaskich rywali Japonii. We Włoszech faszyzm był u władzy, a w Niemczech brunatne kohorty zapowiadały noc długich noży. W Anglii utworzony został „Rząd Narodowy" reakcji, tradycyjnie związanej z imperializmem japońskim wspólnotą interesów na Dalekim Wschodzie i wspólną platformą antyradziecką. Tokijscy samuraje uznali więc moment za dojrzały do zapoczątkowania realizacji memoriału Tanaki.

Zajęcie Mandżurii w r. 1931 stanowiło właśnie pierwszy krok w tym kierunku. Była to zarazem próba wysondowania reakcji innych imperializmów. I, trzeba przyznać, japońscy militaryści nie zawiedli się. Złamana przez kryzys, zagrożona przez rosnącą falę ruchów rewolucyjnych burżuazja zachodnia była już moralnie przygotowana do kapitulacji przed silniejszym partnerem. Walczyła już nie o ekskluzywne prawo do wyzysku, lecz o możliwie dogodne warunki współpracy. Na długo przed Monachium w Europie burżuazja Anglii, Francji i Stanów Zjednoczonych gotowa była do Monachium na Dalekim Wschodzie, tym razem kosztem Chin, na korzyść Japonii. Paradoksem historii jest tylko to, że wzięła ona na siebie wobec imperializmu japońskiego tę samą rolę, jaką burżuazja chińska odgrywała wobec USA, Anglii i Francji, rolę mniejszego wspólnika, pozostawiającego innym robotę policyjną, zadowalającego się ochłapami zysków z pańskiego stołu. Jedna tylko była różnica i to raczej w metodach: mający lepsze maniery imperializm zachodni nie ściągnął spodni z bogatych chińskich kupców, jak uczynili to Japończycy z Anglikami w Tien-tsinie.

Lata 1931—1936 wypełnione są postępującą naprzód ekspansją japońską odbywającą się przy akompaniamencie „potępień" impotentnej Komisji Ligi Narodów, którą tak wiernie odmalował Kisch. Reakcyjna burżuazja chińska zmienia partnera i gotowa jest służyć samurajom. Czang-Kai-Szek widzi przed sobą tylko „czerwone niebezpieczeństwo" i przeciwko komunistom kieruje wszystkie swe wysiłki. Liczne „ostateczne" ofensywy odbywają się pod hasłem: „Najpierw unifikacja (czyli zduszenie komunizmu), potem opór (czyli wojna z Japonią)". Komuniści przeciwstawiają temu żądanie jedności narodowej, zaprzestania wojny domowej i rozpoczęcia wojny antyimperialistycznej.

VI

Nie wszystkie fragmenty historii tego okresu wejdą do księgi dziejów, ale znajdzie się w niej na pewno karta o sławnym „Długim Marszu Armii Czerwonej". 700 kilometrów, przez 12 prowincji, przez niezliczone pasma górskie i 20 wielkich rzek — włącznie z Jang-Tse-Kiangiem, rzeką Żółtą i Tatu — maszerowały oddziały Armii Czerwonej Chin z południowo-wschodniego Kiangsi do północnego Szensi. Wieść o tym gigantycznym marszu rozniosła się szeroko po całych Chinach. Wraz z nią szły dziwne słuchy o potędze Armii Czerwonej i jej legendarnych wodzach: Mao-Tse-Tung i Dżu-De, o Kungczangtang (Partii Komunistycznej), która wyzwoliła chłopów i przepędziła lichwiarzy, o licznych szkołach, do których ciągnęło przez setki mil najeżonych niebezpieczeństwami dziesiątki tysięcy młodzieży, o kobietach, które walczą i pracują na równi z mężczyznami, o niezwykłym entuzjaźmie tych bojowników rewolucji, którzy z pieśnią idą na szafot i z pieśnią ruszają do bitwy. Zarazem jednak utrwalała się w umyśle mas świadomość, że ci komuniści są prawdziwymi patriotami walczącymi zarówno o wyzwolenie spod jarzma obcego imperializmu jak i o demokrację społeczną, że biją się oni od dawna przeciwko Japończykom i utworzyli na tyłach armii japońskich duże obszary wyzwolone, że wreszcie propagują jednolity front wszystkich Chińczyków chcących stanąć do walki z inwazją japońską. Wszystkie te wieści nabierały konkretnej treści tam, gdzie przemaszerowały oddziały Armii Czerwonej, tam gdzie docierali jej żołnierze.

Fala ruchu narodowo-wyzwoleńczego wzniosła się wysoko w Chinach. Przykład komunistów działał zaraźliwie. Uległy mu nie tylko masy robotnicze i chłopskie; przejęły się nim również szerokie warstwy inteligencji i drobnomieszczaństwa, pewne sekcje burżuazji zagrożone w swym istnieniu przez japońską ekspansję i nawet poważne koła armii Czang-Kai-Szeka. Nierzadkie były wypadki lokalnych sojuszów między oddziałami armii czerwonej a wojskami Kuomintangu na bazie nieagresji i wspólnej walki z Japończykami. Nierzadkie były demonstracje studentów i profesorów, a nawet strajki kupców, domagające się rozpoczęcia ruchu oporu przeciwko Japonii. Czang-Kai-Szek pod wpływem „militarnej perswazji" ze strony sprzymierzonego z komunistami jednego z dowódców wojsk Kuomintangu, marszałka Czang-Hsu-Lianga — musiał w r. 1936 zgodzić się na zawieszenie broni z komunistami i skierowanie oręża przeciwko Japonii. Rozpoczął się okres „jednolitego frontu antyjapońskiego" Partii Komunistycznej i Kuomintangu.

Okres ten miał formalnie trwać 10 lat, od 1936 do 1946. W rzeczywistości jednak od pierwszej chwili Czang-Kai-Szek i reakcyjne kliki rządzące Kuomintangiem uprawiały sabotaż jednolitego frontu. Przez cały czas wojny główny ciężar wysiłków wojskowych spoczywał na barkach armii ludowych (tak później nazywały się armie czerwone). Pomimo że Kuomintang dysponował ok. 3 milionami żołnierzy, a armie ludowe zaledwie 800 000 — te ostatnie miały po swojej stronie znacznie więcej bitew i sukcesów aniżeli wojska Czang-Kai-Szeka. Japońska gazeta „Asahi Sinbun" pisała 25 I 1944 r.:

„...Bilans walk stoczonych w 1943 r. w Chinach jest następujący:

Bitwy z wojskami Czung-Kingu (Kuomintangu)	— 40
Bitwy z wojskami komunistów	— 49
Wrogów zabitych z armii Czung-Kingu	— 230 710
Wrogów zabitych z armii komunistów	— 77 802
Jeńców wzięto z armii Czung-Kingu	— 110 459
Jeńców wzięto z armii komunistów	— 5 590...

...Z powyższych cyfr wynika, że główną przeszkodą dla pokoju we Wschodniej Azji nie jest już rząd Czung-Kingu, lecz

Partia Komunistyczna. Upór jej daleko przewyższa upór armii Czung-Kingu..."

Japońscy imperialiści oczywiście przemilczają liczbę własnych strat, a wyolbrzymiają cyfry strat przeciwnika. Ale z zestawienia powyższego wynika jasno, że komuniści stanowili główną siłę walczącą w wojnie chińsko-japońskiej. Nie mogło zresztą być inaczej. Przecież 1/3 armii Czang-Kai-Szeka, ok. miliona żołnierzy, zajętych było przez okres wojny blokadą północnych okręgów opanowanych przez armię ludową. Inne części armii, nie bacząc na zwycięstwa Japończyków i coraz dalszą ich penetrację w głąb Chin, atakowały stale armie ludowe (np. atak na Czerwoną Armię w r. 1940, który o mało co nie doprowadził do zerwania jednolitego frontu). Tak jak Daladier i Chamberlain przeciwko Hitlerowi — tak Czang-Kai-Szek przeciwko Japonii walczył tylko o tyle, o ile zmuszała go do tego presja opinii publicznej. Głównym jednak wrogiem reakcji kuomintangowskiej i imperializmu japońskiego pozostali komuniści. Przeciwko nim zwrócone były przede wszystkim wysiłki rządu Kuomintangu nawet w najczarniejszych chwilach wojny z Japonią.

VII

Taka polityka szła zresztą po linii mocarstw imperialistycznych. Pomimo wojny chińsko-japońskiej nie wolno jednak spuścić z oka „czerwonego niebezpieczeństwa", ruchu narodowo-wyzwoleńczego, który w znacznie większym stopniu zagrażał samym podstawom zachodniego imperializmu aniżeli nawet japońska okupacja. Dlatego też z wielu miliardów dolarów rzuconych przez rząd amerykański do Chin w czasie wojny — armie ludowe (które na mocy układu miały otrzymywać pieniądze i broń proporcjonalnie do swej liczebności) dostały w sumie... 850 000; dlatego też tanki amerykańskie, karabiny maszynowe i artyleria dostawały się do rąk armii ludowych dopiero po odbiciu ich od Japończyków, którzy zdobyli je uprzednio na bardzo źle walczących oddziałach Czang-Kai-Szeka. Dlatego wreszcie, popierając formalnie Chiny, nie mając jednak zaufania do możliwości zduszenia komunizmu przez Czang-Kai-Szeka — państwa zachodnie nie przerywały kontaktów z Japonią. Ostatni transport materiałów wojennych

do Japonii odszedł ze St. Zjednoczonych dn. 4 grudnia 1941, na trzy dni przed zdradzieckim atakiem na Pearl Harbour, Anglia zaś w r. 1940 zamknęła „drogę birmańską", jedną z nielicznych arterii łączących nieokupowane Chiny ze światem wobec okupowania całego wybrzeża przez Japończyków. Niejeden żołnierz brytyjski zginął niepotrzebnie w Birmie z powodu tego kroku angielskiego; niejeden amerykański lotnik zestrzelony został z broni fabrykowanej przez firmę Du Pont de Nemours.

Nawet wtedy, kiedy wojna chińsko-japońska utonęła w szerszej II wojnie światowej, nawet wtedy, gdy od kul japońskich zaczęły padać tysiące amerykańskich, angielskich, holenderskich i francuskich żołnierzy — nawet wtedy dyrektywą Amerykanów w Chinach było „doprowadzić do zerwania albo osłabienia kontaktów rządu z komunistami i... wyparcie ich z zajmowanych stanowisk" („The Stilwell Papers", notatki gen. J. Stilwella, jednego z dowódców amerykańskich w Chinach w czasie wojny). A „zajmowane przez komunistów stanowiska" — to były bazy gerylasów, terytoria wyzwolone na tyłach armii japońskiej. Zadaniem więc amerykańskich „doradców" Czang-Kai-Szeka było de facto ułatwienie Japończykom walki z komunistami.

Ukoronowaniem tej całej polityki był osławiony rozkaz, wydany po zakończeniu wojny oddziałom japońskim, by żadną miarą nie poddawały się komunistom, lecz tylko i jedynie wojskom Kuomintangu. Wobec tego, że armie Czang-Kai-Szeka znajdowały się na ogół w bezpiecznej odległości od frontu, przez długie miesiące jeszcze grasowały po chińskich okręgach uzbrojone oddziały japońskie. Burżuazja chińska wolała obcą okupację i wszystko, co ona oznacza dla milionów ludności — aniżeli wzmocnienie walki ludu chińskiego.

Ale plan ten udał się tylko częściowo. Rozbicie głównych sił japońskich w Chinach przez Armię Radziecką pozwoliło chińskim armiom ludowym, skoncentrowanym przede wszystkim na tyłach Japończyków — na zajęcie dużych obszarów kraju. Obok dawnych baz wyszli oni z wojny wzmocnieni o całą niemal Mandżurię, której mieszkańcy najdłużej bodaj jęczeli pod jarzmem tokijskim, i o ogromne obszary Chin północnych. Walka rewolucji i kontrrewolucji w Chinach weszła w nowy etap.

VIII

Wojna z Japonią i zwycięstwo aliantów zmieniły radykalnie układ stosunków i sił na Dalekim Wschodzie. Kapitulacja Japonii przyspieszona została nie tyle zrzuceniem przez Amerykanów bomb atomowych — ile przez błyskawiczną ofensywę radziecką w Mandżurii i Chinach północnych, która w bardzo krótkim czasie rozgromiła elitę wojsk japońskich: Armię Kwantuńską. Z drugiej strony ZSRR był jedynym państwem, które konsekwentnie, przez cały czas wojny, pomagało Chinom przeciwko Japonii i to nawet w najcięższych chwilach wojny, w okresie Stalingradu. Gdy Anglia zamknęła „drogę birmańską", wtedy jedyną linią kontaktów nieokupowanych Chin ze światem pozostała komunikacja ze Związkiem Radzieckim via Turkiestan. Nic też dziwnego, że z zakończeniem wojny niepomiernie wzrósł prestiż ZSRR na Dalekim Wschodzie, a w szczególności w Chinach. Nic też dziwnego, że pod naporem opinii zmuszony był nawet sam Czang-Kai-Szek zawrzeć układ ze Związkiem Radzieckim, który przypieczętowywał niejako ogromną rolę odegraną przez ZSRR w wyzwoleniu Chin.

Innym skutkiem wojny był gwałtowny spadek znaczenia i wpływów imperialistów zachodnich. Szybka okupacja wszystkich niemal posiadłości europejskich w Azji południowo-wschodniej przez Japonię i druzgocące klęski poniesione przy tym przez armie zachodnie rozwiały całkowicie mit niezwyciężoności białego człowieka. W oczach setek milionów Chińczyków, Hindusów, Birmańczyków, Indochińczyków, Indonezyjczyków i innych ludów imperialiści amerykańscy i europejscy przestali być nadludźmi. Okazało się, że ci, którzy z taką brutalnością potrafili miażdżyć ruchy powstańcze nieuzbrojonych kulisów — poddają się niemal bez walki w obliczu silniejszego nieprzyjaciela. Okazało się, że ci, którzy wycisnęli dziesiątki miliardów zysków z pracy narodów kolonialnych, nie zamierzali zainwestować nawet milionów w obronę życia i mienia tych narodów przed najazdem obcego imperializmu.

Burżuazja chińska wyszła z wojny częściowo wzmocniona. Ogromne sumy rzucane przez Amerykę na pomoc dla rządu Czang-Kai-Szeka znikały w przeważającej większości w kieszeniach wąskiej warstwy bliskich dyktatorskiej klice spekulantów i bankierów. Cztery „dy-

nastie"*), kliki otaczające Czang-Kai-Szeka, potrafiły zakumulować fantastyczny majątek sięgający 20—30 miliardów dolarów. W czasie wojny, wobec konieczności pozyskania opinii chińskiej — państwa imperialistyczne zrezygnowały z wszystkich koncesji w portach i wielkich miastach kraju (tylko Hong-Kong pozostał w rękach angielskich. Wyrazem antagonizmu anglo-amerykańskiego jest fakt, że Czang-Kai-Szek kilkakrotnie domagał się zwrotu tego terytorium). Z tych samych powodów Chiny formalnie uznane zostały za wielkie mocarstwo i otrzymały jedno z miejsc w koncercie „wielkiej piątki". Klęska Japonii postawiła więc przed burżuazją chińską perspektywę zagarnięcia bogatych obszarów Mandżurii i Chin północnych i stania się w ten sposób decydującą siłą na Dalekim Wschodzie. Tylko jedna przeszkoda stała na drodze realizacji tej wizji: komuniści chińscy i armia ludowa. Nie po to walczyli oni przez dziesięciolecia przeciwko uciskowi rodzimemu i obcemu, by oddać teraz w ręce skorumpowanej kliki losy 450 000 000 ludzi. Między ustami a brzegiem pucharu leżały tereny wyzwolone, gdzie zapoczątkowany został inny ustrój społeczny i gdzie zlikwidowane zostały najbardziej brutalne i jaskrawe formy wyzysku człowieka przez człowieka.

Niewiele czasu też zajęło Czang-Kai-Szekowi zmontowanie nowych ofensyw przeciwko armiom ludowym i komunistom chińskim, pomimo że formalnie obowiązywał nadal pakt o jednolitym froncie. Zachęcony i wspomagany przez Amerykanów, którzy na Dalekim Wschodzie tak samo jak i w innych punktach globu przejęli rolę głównego bankiera i głównego organizatora kontrrewolucji, ruszyły armie Kuomintangu do ataku na tereny wyzwolone w połowie 1946 r. Impet ataku, którego awangardą były doskonale wyposażone i wyszkolone dywizje, stojące przez cały czas wojny z Japonią z bronią u nogi — poniósł daleko armie Czang-Kai-Szeka. Udało im się zająć dużą część Mandżurii, większość północnych Chin i wszystkie niemal większe miasta na terenie kraju. Ale w trakcie zdobywania terenów armie Czang-Kai-Szeka poniosły ogromne straty, ludność przyzwyczajona do demokra-

*) Cztery rodziny zajmujące kluczowe stanowiska w rządzie Kuomintangu a zarazem kontrolujące całą niemal gospodarkę narodową Chin czangkaiszekowskich: Czangowie, Sungowie, Kungowie i Czengowie.

tycznej administracji zaczęła się buntować przeciwko wybrykom soldateski, armie ludowe zaś rosły w siły dzięki napływowi dezerterów z wojsk Czang-Kai-Szeka, sprzeciwiających się wznowieniu wojny domowej. Gdy w 1947 r. Czang-Kai-Szek z dumą ogłosił koniec „czerwonych Chin" po zajęciu tymczasowej stolicy terenów wyzwolonych, Jenanu — był to w rzeczywistości koniec reakcyjnej ofensywy. Od tej chwili zaczyna się kontrofensywa armii ludowej, która dotychczas trwa i która w swym przebiegu przypomina wyrzucanie Niemców z ZSRR przez Armię Radziecką. Tak samo jak tam, przerwa w operacjach nie oznacza — jak to niejednokrotnie Kuomintang zapowiadał — końca ofensywy, lecz tylko nabranie tchu i reorganizację tyłów; podobnie jak tam, zasięg ofensywy jest coraz większy, sukcesy coraz bardziej ważkie, straty wroga coraz większe; oraz podobnie jak tam, osiągnięta została już teraz strategiczna przewaga nad armiami wroga, nie tylko jakościowa, ale i liczebna.

Jeśli kiedyś była to armia partyzancka, unikająca walnych bitew, omijająca wielkie miasta, koncentrująca swe siły w okręgach wiejskich i zbudowana przede wszystkim na milicji ludowej — dziś podstawą jej są doskonale uzbrojone w zdobyczną broń dywizje armii regularnej, rozgrywające wielkie batalie, zdobywające wielotysięczne miasta bronione przez setki tysięcy żołnierzy wroga. Dziś armia ta posiada własną bazę przemysłową w Mandżurii i Chinach północnych, gdzie produkowana jest broń i towary dla konsumcji cywilnej. Dziś armia ta licząca ponad 2 miliony żołnierzy (nie licząc szeroko rozbudowanej milicji ani oddziałów partyzanckich na terenach okupowanych jeszcze przez Kuomintang) jest potężną siłą wojskową, nawet na skalę europejskich armii. Dziś wreszcie armia ta jest źródłem nadziei i inspiracji nie tylko dla przeważającej większości mieszkańców Chin, ale dla setek milionów innych ludów kolonialnych walczących z imperializmem.

IX

Niezmiernie trudno jest scharakteryzować i opisać Wolne Chiny. Nie dlatego, że wisi nad nimi rzekoma żelazna kurtyna; przyczyną tu jest niesłychana płynność sytuacji, codzienne zmiany w położeniu, przy których każda dzisiejsza ocena już za tydzień może być przesta-

rzała. W ciągu jednego roku walk Armia Ludowa zajęła tereny o kilkuset tysiącach km² powierzchni, wyzwoliła ponad 70 milionów ludzi spod jarzma Kuomintangu, zabiła, wzięła do niewoli lub w inny sposób unieruchomiła ponad 2,5 miliona żołnierzy przeciwnika. W tym samym czasie Czang-Kai-Szek otrzymał od Stanów Zjednoczonych ponad 1,5 miliarda dolarów z ogólnej sumy 4,5 miliardów użyczonych mu przez Departament Stanu dla „zwalczania komunizmu". W tym samym czasie korupcja, nieudolność i chaotyczność administracji Kuomintangu osiągnęła takie rozmiary, że reakcjoniści amerykańscy zaczęli otwarcie mówić o konieczności zastąpienia „generalissimusa" kimś bardziej energicznym i potrafiącym lepiej wykorzystać miliardowe subwencje. W tym samym czasie wreszcie żagiew buntu podniosła się w Birmie, na Malajach, w Sjamie, w Korei południowej, w Indonezji, gdzie rząd Hatty, śladem Czang-Kai-Szeka, zdradził interesy własnego narodu idąc na ugodę z imperializmem. W tym samym czasie na przestrzeni całej dominowanej przez imperializm Azji, gdzie zamieszkuje połowa ludności, rozgorzał wielki bój o narodowe i społeczne wyzwolenie miliarda ludzi.

Od chwili, gdy piszemy te słowa, do chwili, gdy książka ukaże się w druku, wiele z podanych niżej faktów będzie już nieaktualnych. Powstanie już zapewne centralny rząd terenów wyzwolonych, do którego utworzenia od dłuższego czasu trwają przygotowania, i rząd ten rozpocznie nowy etap walki wyzwoleńczej. Warto jednak choć okiem rzucić na ten jedyny w swoim rodzaju fenomen, jakim są tak zwane przez prasę zachodnią „Czerwone Chiny".

Terytorium Wolnych Chin obejmuje obecnie obszar ok. 2,8 miliona km². Rozciąga się ono na przestrzeni całej Mandżurii, obejmuje większą część Chin północno-wschodnich (na północ od Żółtej Rzeki) i duże obszary między Żółtą Rzeką a Jang-Tse-Kiangiem. Na północy i wschodzie Wolne Chiny graniczą z ZSRR i Koreą; na zachodzie dochodzą do granic Republiki Mongolskiej i sięgają w głąb najdalszych zachodnich prowincji Chin. Na południu wreszcie, poza małymi przyczółkami, granicą Wolnych Chin jest rzeka Jang-Tse-Kiang.

Ogromne te obszary, które dzięki zwycięstwom w letniej ofensywie 1948 r. stanowią niemal nieprzerwany blok, zamieszkałe są przez

blisko 200 000 000 ludzi, czyli przez więcej niż 40% ludności Chin. Wszystko to nie obejmuje terenów partyzanckich znajdujących się głęboko na tyłach wroga i sięgających do przedmieść największych miast Chin: Szanghaju, Hankau, a nawet Kontonu. Niemal wyłącznie rolnicze w początkowych stadiach Wolne Chiny obejmują obecnie wiele miast liczących po kilkaset tysięcy mieszkańców: wśród 600 miast okręgowych znajdują się: Mukden, Charbin, Tsitsihar, Kirin, Kiamuszo, Mutankiang, Antung, Lojang, Czang-Czun (stolica Mandżurii), Tsinan, Kaifeng, Cze-Fu, i in. Wiele portów na Morzu Żółtym od granicy Korei do Szanghaju znajduje się na terytoriach wyzwolonych. W chwili, gdy piszemy te słowa, w zasięgu ofensywy znajdują się: Nankin, Pekin, Taiuan, Kalgan i wiele innych miast Chin północnych.

Nie sam jednak obszar decyduje o znaczeniu Wolnych Chin; ważniejsze jest, że tereny wyzwolone stanowią najbogatszą część kraju. Ok. 80% znanych rezerw węgla znajduje się w Mandżurii, której roczna produkcja wahająca się w granicach 15—18 milionów ton stanowiła ponad połowę całego wydobycia Chin. Tamże znajduje się większość złóż żelaza (roczna produkcja Mandżurii — ok. 2 miliony t.). 11 000 km kolei mandżurskich stanowiących blisko połowę całej sieci kolejowej Chin znajduje się na terenach wyzwolonych. Gęsta sieć kolejowa Chin północnych jest również w większej części pod kontrolą Armii Ludowej. Na terenie Wolnych Chin znajdują się najbardziej uprzemysłowione obszary kraju, jak np. okręgi Anszan, Czin-Hsin, Fang-Tse, Po-Szan, Liuo-Ku, Tsu-Hsien oraz światowej sławy hydrocentrala w Hsien-Feng-Man. Tam też znajdują się bogate złoża ołowiu, złota, magnetytu i nafty. Tam skoncentrowana jest uprawa bawełny, w której Chiny zajmują czwarte miejsce na świecie. Tam wreszcie znajdują się najbardziej żyzne ziemie Chin i najbardziej zalesione tereny (27% obszaru Mandżurii stanowią lasy).

Wyzwolenie Mandżurii i Chin północnych zmieniło więc radykalnie sytuację sił demokratycznych. Dało to Armii Ludowej i kierowniczej organizacji politycznej Wolnych Chin — Partii Komunistycznej — solidną bazę klasową w postaci proletariatu przemysłowego, który odgrywał czołową rolę w walce z japońskim okupantem i który obecnie stoi w pierwszych szeregach walki wyzwoleńczej. Dało to demokratom

chińskim poważną bazę gospodarczą pozwalającą im na rozbudowę swojej armii i położenie podwalin przyszłej demokratycznej republiki chińskiej. Niewątpliwie ostatnie przemiany jakościowe Armii Ludowej, które umożliwiły jej osiągnięcie potężnych zwycięstw i zajęcie wielkich miast — są w pierwszym rzędzie wynikiem uzyskania odpowiedniej bazy.

Jednakże tym czynnikiem, który umożliwił pełne wykorzystanie bogactw naturalnych i potencjału ludnościowego, była realizacja demokratycznej poltyki proklamowanej od dawna przez Partię Komunistyczną. Władza ludowa w Wolnych Chinach zorganizowana jest całkowicie na zasadach jak najszerzej pojętej demokracji. Od rad gminnych, poprzez rady okręgów (hsien), aż do rządów terenowych obejmujących obszary niejednokrotnie większe od niejednego państwa europejskiego — wszystkie instytucje pochodzą z powszechnych wyborów. Po raz pierwszy w czterech tysiącach lat swej historii chłop chiński i robotnik bierze bezpośredni czynny udział w kierowaniu swoimi własnymi losami.

Oparciem dla demokratycznej organizacji władzy ludowej są reformy społeczne przeprowadzone na terenach oswobodzonych. Zasadnicza struktura własnościowa wsi chińskiej, gdzie ok. 60% ziemi należało do obszarników i bogatych chłopów, a ok. 55% ludności wiejskiej nie posiadało w ogóle ziemi — została radykalnie zmieniona przez reformę rolną, która przeprowadziła parcelację dziesiątków milionów ha, zaprowadziła na szeroką skalę spółdzielnie produkcyjne na wsi i przeobraziła całkowicie życie kulturalne, polityczne i gospodarcze 130 000 000 biednych i średnich chłopów. Reforma przemysłowa wywłaszczyła obcych imperialistów i zdrajców z ich własności oraz przejęła z rąk rodzimych kapitalistów kluczowe gałęzie kopalnictwa i przemysłu pozostawiając dość szerokie pole dla działalności inicjatywy prywatnej w zakresie produkcji i handlu. Reforma obyczajowo-kulturalna wreszcie zrównała całkowicie kobiety we wszystkich dziedzinach życia, otworzyła wrota szkół dla dziesiątków milionów dzieci, uruchomiła setki szkół średnich i zawodowych, utworzyła dziesiątki uniwersytetów, politechnik, akademii artystycznych itd. Organizacje społeczne rozwinęły się niesłychanie. Związki zawodowe, nielegalne na

terytorium Kuomintangu, liczą 2,5 miliona członków. Na niedawnej konferencji nastąpiło zjednoczenie wszystkich zw. zawodowych na terenie Chin (legalnych i nielegalnych) w jedną centralę. Działalność wydawnicza przekracza trzykrotnie produkcję Chin koumintangowskich.

Całą tą ogromną pracą kieruje Komunistyczna Partia Chin, blisko trzymilionowa organizacja proletariatu chińskiego. Po licznych błędach i wahaniach w przeszłości partia stanęła mocno na gruncie marksizmu-leninizmu jeszcze przed wybuchem wojny z Japonią i od tego czasu z coraz większym powodzeniem kieruje walką ludu Chin o wyzwolenie. Program jej w chwili obecnej, bardzo zbliżony do Trzech Zasad Sun-Jat-Sena, zmierza do przekształcenia Chin w ludowo-demokratyczną republikę po zwycięstwie nad imperialistyczno-kuomintangowską koalicją. Partia nie traci jednak z oczu dalszych celów i głosi w swoim programie stworzenie w Chinach społeczeństwa socjalistycznego. Wodzowie jej cieszą się niezwykłym mirem nie tylko we własnym kraju, ale i na całym świecie. Nazwisko Mao-Tse-Tunga jest znane każdemu świadomemu robotnikowi na świecie, każdemu człowiekowi, któremu nie są obce ideały wyzwolenia ludów spod jarzma imperializmu. Niemniej znane są nazwiska przywódców wojskowych i politycznych Wolnych Chin — Dżu-De, Peng-Te-Tu i innych.

* * *

Egon Erwin Kisch, którego książkę w nowym wydaniu daje na nowo do ręki czytelnikowi polskiemu „Prasa Wojskowa", widział w Chinach tylko imperializm, reakcję, nędzę i głód. Oburzył się w 1932 r. na „specyficzne" metody reakcji w walce z rewolucją, choć po akcjach Gestapo i po tym, jak z aprobatą amerykańskiego generała na widok publiczny wystawiane są głowy schwytanych powstańców w Atenach, kolebce cywilizacji europejskiej — Kisch przestałby oburzać się na „specyficzność" chińskich metod. Oprócz komunistów torturowanych, maltretowanych i prześladowanych — tylko z daleka migały ówczesne skromne tereny Czerwonych Chin, drobne wysepki w oceanie zła.

Radykalna zmiana — taka, jaka nastąpiła po powstaniu Wolnych Chin, które całkowicie zmieniły układ sił strategicznych i politycznych na Dalekim Wschodzie — wydawała się wówczas sprawą dziesięcioleci.

Amerykański pisarz i znawca Chin, W. H. Mallory, przytacza rozmowę z admirałem chińskim, Tsai-Ting-Kan. Oto urywek z niej:

„...Zapytałem starszego pana, jak długo potrwa, aż Chiny się „ustatkują". „Nie długo" odpowiedział. „Ale ile — pytałem dalej — pięć lat?". „Nie, skądże, może sto lat". Historia Chin uczy nas, że trwa to na ogół około stu lat, aż nowy porządek jest ustabilizowany".

Admirał chiński może znał dawną historię swego kraju, ale nie rozumiał dynamiki epoki socjalizmu. O wiele lepiej wyczuwał przyspieszony rytm rozkładu imperializmu i narastania nowej ery Egon Erwin Kisch. Miarą jego zasług jest to, że potrafił on w nieporównany, „kischowski" sposób pokazać Chiny Bez Maski — dać autopsję stosunków jeszcze dziś aktualnych na większej części terytorium „Państwa Środka". Miarą siedmiomilowych postępów historii jest to, że zamiast admiralskiego stulecia wystarczyło lat kilkanaście, by obraz ten stał się nieaktualny dla dużej części obszaru Chin. A największym zaszczytem, jaki spotkać może tę książkę, będzie fakt traktowania jej po upływie krótkiego czasu jako kroniki historycznej.

Stanisław Brodzki

8226

BIBLIOTEKA AKADEMII
SZTABU GENERALNEGO

SPIS ROZDZIAŁÓW

		Str.
	Od Wydawnictwa	
1.	Na ruinach Wusungu	7
2.	Pogrzeb zbrodniarza	12
3.	Spekulacja pieniężna	17
4.	Hindus na wieży sygnałowej	26
5.	Yosziwara nad grobem poległych	31
6.	Egzekucja	36
7.	Ryksza, Ryksza	44
8.	Kapitalistyczna ballada o Żydach z Bagdadu	49
9.	Przypadkowa wizyta u eunuchów	57
10.	Krótki proces	63
11.	Dzieci — robotnicy przemysłu włókienniczego	70
12.	Intermezzo pirenejskie	79
13.	Chińskie cienie	85
14.	Intratny proceder	91
15.	Dom wariatów	113
16.	Miniatury anglosaskie	119
17.	Świątynia kar	132
18.	Godown	138
19.	Nankin i czerwoni	145
20.	Jakże dziwna ulica	156
21.	Teatr chiński	164
22.	Taras na dachu Grand Hôtel de Pékin	173
23.	Stanisław Brodzki Posłowie	184

BIBLIOTEKA
ASG
NAUKOWA
13740